1404

SYZYF.

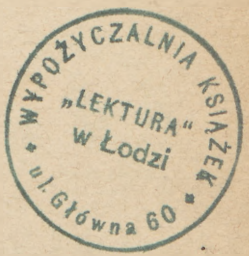
Druk Tow. Kom. St. J. Zaleski & Co., Złota 3.

Tanie wydawnictwo dzieł
Klemensa Junoszy.

Tom IX.

SYZYF

OBRAZY Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.



WARSZAWA.
Nakładem rodziny.
SKŁAD GŁÓWNY
w księgarni St. J. Zaleskiego i S-ki, Szpitalna 5.

1899.

Дозволено Цензурою

Варшава, Августа 19 дня 1898 года.



191437

Od samego rana organista Kąkolski z dziadem Łukaszem i dwoma chłopcami wiejskimi, pracował nad przyozdobieniem kościołka w Bosej Woli. Dokładał wszelkich starań, aby wnętrze tego ubożuchnego, drewnianego przybytku wyglądało wspaniale i gustownie.

Podłoga była zamieciona i posypana świeżym tatarakiem; ołtarz wielki przybrany kwiatami i mnóstwem świec, umajony młodemi świerkami i brzeziną. Na stopniach ołtarza rozłożono ogromny dywan, stary jak świat, spłowiały i łatany miejscami, ale dywan. W presbiteryum podłogę przykryto suknem czerwonem.

Łukasz, po drabinie się wspinając, dębowe wieńce na filarach zawieszał; chłopcy osadzali świece w ogromne lichtarze, a sam

pan Kąkolski, mały, pękaty i kulejący nieco człowieczek, roboty doglądał, dyspozycye wydawał, poprawiał, co mu się złem wydało. Co chwila cofał się na środek kościoła, odchodził aż do samych drzwi i patrzył zdaleka, jaki efekt sprawiać będzie ta moc zieleni i światła.

— Już niech pan Kąkolski aby nie wydziwia — mówił Łukasz, — wspaniałości większej tu nigdy nie bywało i nie będzie. Na Świętą Annę, kiedy u nas taki znaczny jest odpust i narodu tyle się zjeżdża, lepiej nie było. Dwie fury świerków i brzeziny wyszło... nie rachując tych oto kwiatków pachnących...

— Możnaby jeszcze...

— Już nie wiem co... Choćby miał sam biskup przyjechać, lepiej nie potrafię i nie mam też z czego. Lichtarzy, ile tylko jest, wszystkie pozwłóczyłem, co do jednego. W dwóch pająkach obsadziłem świece, a jak tyle światłości zajaśnieje, to będzie dopiero pięknie, aż oczy od patrzenia rozbolą! Nie wie też pan Kąkolski, o której mają przyjechać?

— Mówili, że o siódmej.

— Najlepsza pora; akurat o szóstej, przy ponurym dniu, mrok się robi, a o siódmej całkiem już ciemno.

— I cóż z tego, że ciemno?

— Światło się wyda, panie. Nie pierwszyzna mi, znam się na tem. Trzydzieści lat jestem tu w obowiązku, to wiem. Pan Kąkolski tego pamiętać nie może, bo niedawno u nas.

— Niedawno? ośm lat.

— Co to znaczy! Pamiętam ja różne wspaniałości. Biskup był dwa razy, hrabia z Kopiny ślub brał, w rok później matkę jego chowali. Wtedy okna były het zakryte czarnemi szmatami; katafalek na dziewięć stopni, z oranżeryi badyla pachnącego nawieźli furami, a świec! porachować nie mogłem, bo mi się aż w głowie pomąciło. Co zliczę dwa sta, to mi się pomyli, i znów liczę, i znów pomylenie. Tedy dałem pokój. Było, panie, wtedy, było... państwa, dziedziców i narodu różnego... Która teraz godzina?

— Blizko piąta.

— Toć jeszcze czas. Księży dotychczas nie widać, a ma ich podobno kilku przyjechać.

— Tak. Kanonik z Dzięgielewa mowę ma mieć. Wszystko to jedno przecie.

— Jakto?

— A czy po pańsku z paradą, czy bez

parady po chłopsku, jedno i to samo, aby błogosławieństwo Boże. Co pan Kąkolski tak pokaszluje? może według tego, że na słotę się ma.

— Ale gdzie tam. Gardła probuję, czy będę mógł śpiewać.

— Ola Boga! a czy to pan kiedy nie może! W trzeciej wsi słychać, jak pan Kąkolski głosu dobędzie. Nie pochlebiając, ale takiego organistego, jak pan, daleko szukać w świecie.

— Bajkiby to były, ale organy stare. Miechy łatam, jak mogę, dudom nie poradzę. Majstrów na to trzeba. Insza duda nie odpowiada, i rób, co chcesz! Dziś próbowałem tego marsza, co Łukasz wie.

— I co?

— A no piękny, ale parę tonów będzie brak.

— Zawżdy, ja myślę, że się ludzie poznają. Bywa człowiek bez ręki, może być i marsz bez tonu, a choćby i bez dwóch.

Kąkolski ręce rozstawił.

— Rady na to nie mam — rzekł. — Zagram, jak można, i myślę, że zagram pięknie.

— Spodziewać się—rzekł dziad—huku będzie dość.

Kościołek stał na wzgórzu, które nad okolicą panowało; okolica była smutna, ale ładna; łąki, pola, małe pagórki, gaje, bystra rzeczułka, dokoła lasy. Wśród pól i łąk wioski, folwarczki, parę wysokich, czerwonych kominów fabrycznych, młyn nad rzeczką, kilka wiatraków na wzgórzach.

Bosa Wola znajdowała się na najwyższym punkcie okolicy. Można było z tego punktu obejmować wzrokiem cały horyzont, widzieć wozy i bryczki, toczące się po drogach, ludzi na polach, bydło na pastwiskach.

Mrok zapadał szybko, jak zwykle na jesieni. Obejmował ziemię, rozścielał się na płaszczyźnie. krył w sobie drzewa, domy, wiatraki, szarzał coraz bardziej, czerniał aż wreszcie wszystko ogarnął, prócz błyszczących w oknach siedzib ludzkich światełek. Było ciemno i cicho, drewniana wieżyczka kościoła ukryła się w cieniach nocy, ani jedna gwiazda nie przyświecała na niebie.

Łukasz miał racyę, przepowiadając słotę, bo chmury zasłoniły całe niebo. Nagle od strony lasu zajaśniało.

Blask był czerwony od smolnej pocho-

dni, którą trzymał człowiek, jadący na koniu; za tą pochodnią ukazała się druga, trzecia czwarta; dalej kilka powozów z latarniami, bryczki i znów pochodnie. W świetle tem widać było pędzące wyciągniętym kłusem konie, sylwetki ludzi na bryczkach, od czasu do czasu rozległ się trzask długich biczów i nawoływanie woźniców.

Łukasz, ujrzawszy te światła, co prędzej do kościoła pobiegł i świece zaczął zapalać. Kąkolski z szafy dobywał najbogatszą kapę, z plebanii kilku księży nadeszło.

Wnętrze kościołka przy oświetleniu istotnie bardzo ładnie wyglądało; napełniał je zapach świerkowych gałęzi, których cienie w fantastycznych zarysach kładły się na ścianach, ołtarzach i posągach. Nawet wypłowiały dywan bogato się przy oświetleniu wydawał.

Niebawem przed bramą ogrodzenia kościelnego zadudniły koła, w przedsionku dał się słyszeć odgłos kroków i szelest sukień kobiecych.

Wnet też z pod grubych palców Kąkolskiego, który po bohatersku zaatakował klawiaturę i wszystkie pedały, rozległy się dźwięki imponującego marsza. Wirtuoz

z Bosej Woli zdobył się na znakomity pomysł: zamiast dwóch brakujących tonów potrzebnych, dał trzy niepotrzebne, i wywołał effekt nieopisany.

Orszak z przedsionka zbliżał się do ołtarza.

Naprzód szli panowie starsi, czarno ubrani i panie, w jedwabnych sukniach, młodzież wyfraczona i panienki w powiewnych tarlatanach: wszyscy ugrupowali się na stopniach ołtarza, pozostawiając wolne miejsce. Gromadka ciekawych wieśniaków cisnęła się także.

Po niejakiej chwili, ukazała się młoda osoba w białej sukni, z myrtowym wieńcem na głowie, z długim, przezroczystym welonem, osłaniającym jej prześliczne ramiona. Szła śmiało, promieniejąca radością, szczęściem i niezwykłą urodą. Oparta na ramionach dwóch braci, zbliżała się do ołtarza pewnym krokiem, a doszedłszy do stopni, uklękła i podniosła w górę duże, czarne oczy, jak gdyby tem spojrzeniem Bogu podziękować pragnęła, że spełnia jej marzenia.

Za nią dwie panienki, również biało ubrane, wiodły młodego człowieka, który spoglądał tak, jakby, co najmniej, świat zdobył i niesłychane trudności pokonał.

Zapewne, że jakieś przeszkody być musiały, bo siwy pan, ojciec pięknej oblubienicy, ze zmarszczonem czołem i, jakby niechętnie, do ołtarza się zbliżał, a matka pana młodego miała pełne oczy łez.

Po krótkiem przemówieniu, ksiądz zaintonował „Veni Creator", Kąkolski potężnym basem wtórował mu z chóru, poczem młodzi przysięgli sobie miłość aż do śmierci.

Wracano od ołtarza przy dźwiękach marsza, państwo młodzi prowadzili się pod ręce, prawdziwie młodzi, silni, rwący się do życia, szczęśliwi.

Zdaje się, że dokoła siebie nie widzieli nic, nie słyszeli życzeń, jakie im składano. Co ich to obchodziło? co dla nich istniało, prócz szczęścia?

Stanowili urodziwą parę, pobrali się z czystej, bezinteresownej miłości, patrzyli w przyszłość śmiało, ufni w swe siły, w moc ducha. On byłby gotów, nietylko los przeciwny, ale całe piekło wyzwać do walki; ona, oparta na jego ramieniu, poszłaby wśród niebezpieczeństw największych, bodaj na kraj świata, pewna, że jej się nic złego nie stanie.

Ufali sobie nawzajem, wierzyli w siły własne. Nie istniały dla nich niebezpieczeństwa, ani przeszkody.

On miał lat dwadzieścia sześć, ona dziewiętnaście—dopiero im słońce życia wschodziło. Wschód ten był pogodny, bogaty cudownemi blaski. Zalewał ich potokami złota i purpury. W świetle jego promieni wszystko wydawało się barwnem, wspaniałem, uroczem. Upajali się pięknością tego wschodu; nie straszył ich możliwy żar południa, nie trwożyły burze, nie lękali się szarego, posępnego zachodu.

Nie myśleli o nim wcale.

Znali się dziećmi jeszcze. Bawili się kwiatami, gonili wspólnie motyle, rośli i miłość rosła razem z nimi, aby później dziecięcą przyjaźń i sympatyę zastąpić.

Gdy po kilku latach rozłączenia, podczas których on naukę swą uzupełniał, spotkali się znowuż w Jaworówce, byli bardzo onieśmieleni. Nie wiedzieli, jak mówić do siebie: Jasiu i Maniu, jak dawniej? czy też: panie i pani? Wybrali drugie, ale ten pan i ta pani z trudnością przechodziły im przez usta i były nieznośnym dodatkiem. Tolerowali go jednak przez rok cały — aż raz, w alei lipowej, tam, gdzie ogród się kończy, a łąka zaczyna, przyszli do przekonania, że to niepotrzebne, że, kochając się, można sobie nawzajem mówić po imieniu.

Kochając się; więc się kochali. Bezwątpienia! Dowiedzieli się o tem przypadkiem. On wziął jej rączkę i do ust rozpalonych przycisnął; ona czuła, że ręka jej drży, bez żadnej widocznej przyczyny. Jemu było bez niej smutno, a gdy on nie pokazał się przez trzy dni w Jaworówce, Marynia miejsca sobie znaleźć nie mogła. Przyszli do przekonania, że jedno bez drugiego żyć nie może — i uwierzyli w to święcie. Ojciec jej nie podzielał tego zdania i nie chciał na małżeństwo zezwolić.

— Jesteście oboje nie bogaci — mówił, — co was czeka?

— Szczęście — szepnęła córka.

— Bieda — odrzekł ojciec.

I w długiej, długiej rozmowie perswadował pięknej Maryni, prosił, namawiał, błagał wreszcie, żeby sobie tę miłość z głowy wybiła.

— Dla was obojga lepiej to będzie — tłómaczył: — ty znajdziesz człowieka; który cię pokocha i dostatkami otoczy; on również spotka panienkę, która lepszą, niż ty, będzie partyą dla niego. Piękność więdnie, a miłość przemija, moje dziecko...

Oburzyła się na to, powiedziała, ze uczucie uczuciu nie równe, a to, które w jej

sercu mieszka, niewzruszone i niezmienne jest, że tak jeszcze nikt nigdy nie kochał i kochać nie będzie.

Ojciec perswazyj i próśb nie zaprzestał, owszem, jeszcze je częstszemi uczynił; ale gdy, zamiast uległości, znalazł łzy, gdy Marynia mizernieć i blednąć zaczęła, gdy powiedziała wyraźnie, że nie przeżyje rozłączenia, machnął ręką i rzekł:

— Niechże się Jaś oświadczy, skoro szczęście swoje w tem widzisz.

I oto Jaś oświadczył się, odbywszy poprzednio dysputę z matką swoją, która, mniej więcej takie same, jak ojciec Maryni, miała poglądy. Jaś matki nie straszył, nie wojował z nią łzami, lecz jednem zapytaniem ją pobił.

— Czyś nigdy nie kochała, mateczko?

Czy ona nigdy nie kochała? a ojciec Janka, jej mąż, ten niegdyś tak piękny, dzielny, waleczny! Pięć lat tylko z nim żyła, bo zginął na wojnie, ale te lata były najpiękniejszą epoką jej życia i pozostały skarbnicą wspomnień na długi czas wdowieństwa i osamotnienia.

Czy ona kochała? przecież tej miłości grób nawet nie przerwał, pozostała jej wierną, aż do siwych włosów, przechowywała

jej wspomnienie ze czcią religijną prawie. Była młodą i piękną, ubiegano się o jej rękę — ale naprożno, — nie zdjęła już nigdy czarnej sukni, odrzuciła pokusy wszelkie, o cieniu ukochanym myśląc.

I syn jej pyta: czy ona kochała?!

— Niech cię tak Marynia kocha — odrzekła, — jak ja twego ojca.

Nie oponowała już więcej, lecz podwoiła pracę, urządzała mieszkanko dla dzieci.

Ojciec panny liczył, że czas sprzymierzeńcem mu będzie, że może się to małżeństwo odwlecze i rozchwieje. Dom otworzył, gości spraszał, młodzi ludzie w Jaworówce bywali, lecz kombinacye ojcowskie nie przydały się na nic. Marynia bawiła się chętnie, tańce jej przyjemność sprawiały, ale Janek na każdej zabawie być musiał — i skończyło się na tam, że Kąkolski marsza weselnego na zdezelowanych organach odegrał.

Ostatnie tony tej kulawej melodyi ucichły, światła dziad pogasił, kościołek w mrokach nocnych stanął — a na drodze zajaśniały pochodnie, zaturkotały bryczki i powozy i potoczyły się przez las ku Jaworówce. Czerwone blaski świateł kładły się na konarach sosen, oświetlały krzaki le-

szczyny i paproci, ptactwo budziło się na gałęziach i uciekało spłoszone.

Państwo młodzi razem w jednym powozie siedzieli. Tyle myśli cisnęło im się do głowy, tyle mieli do powiedzenia sobie, i... słów im brakło. On ujął ją za rękę, ona oparła główkę na jego ramieniu, i tak, milcząc, przebywali drogę pełną cieni, świateł, fantastyczną niezwykle.

Dokąd ich ona zaprowadzi?

Do Jaworówki na wesele, później do domu Janka, do Stawisk, a dalej w przyszłość nieznaną, w odmęt życia...

Chlebem i solą przyjęto ich na progu. Ojciec Maryni, choć przeciw małżeństwu oponował, jednak, już po fakcie spełnionym, pogodził się z losem. Zresztą, zięciowi nie mógł mieć nic do zarzucenia, prócz nieświetnego stanu materyalnego. Nie zbrodnia to przecież.

Ucałował go i pobłogosławił.

— Kochaj ją — rzekł — i szanuj.

Wesele odbyło się po wiejsku, bez nadzwyczajnej wystawności, ale ze szczerą ochotą, do białego dnia tańczono. Nawet starsi panowie, ukończywszy pulkę, przypomnieli sobie dawne czasy i puścili się w pląsy.

Na drugi dzień państwo młodzi odjechali do Stawisk; matka Janka wyprzedziła ich o kilka godzin, aby synowę na progu starego dworku przywitać.

Jest dom, w którym osobliwego nic nie ma. Drewniany, poczerniały od starości, nizki; podwaliny w ziemię, zda się, wrosły, na dachu mech się pokazuje, w szybach okien tyle lat przyglądało się słońce, że przepaliły się i wyglądają, jak spłowiałe,— są jednak ludzie, którzy powiadają, że ten dom jest piękny.

Wewnątrz nie zdobi ścian jego ani malowanie, ani bogate tapety, pokoje są nizkie, podłogi z prostych desek sosnowych, tu i owdzie łatane, piece ze staroświeckich kafli zielonkowatej barwy, kominek ceglany; nie masz nic takiego, coby zapewniało komfort, żadnego przedmiotu zbytku. Meble staroświeckiego fasonu, włosienicą kryte, kilka portretów, namalowanych nieudolną

ręką, białe firanki w oknach, trocha kwiatów,—a jednak są ludzie, którzy powiadają, że ten dom jest najwygodniejszy.

Gdyby tę chałupę rozebrać i sprzedać na drzewo i cegłę, to może jaki chłop dałby za nią sto rubli z wielkim targiem, a może i nie, — a jednak są ludzie, którzy utrzymują, że ten dom jest najdroższy, że każda w nim belka, każdy gwóźdź, każdy grat nie ma ceny...

Dla czego? Cóż w nim jest?

Może ruchomości? Może ten kantorek gdański z czarnego drzewa z mnóstwem szufladek i skrytek, może zegar szafkowy, który cały kąt sobą wypełnia, może wielka ława dębowa i stół ogromny, może te portrety namalowane niezdarnie, płasko, z wadami rysunku i kolorytu? może nareszcie poczerniały wizerunek Matki Bożej, co od dwustu lat podobno wisi na ścianie?

Alboż ja wiem!

Szafy odwieczne, graty stare, fotel skórą obity, ciężki, z ogromnie wysokiem oparciem, dywan turecki, trochę sreber, papierów zbutwiałych.

Nie oddaliby tego za żadne skarby, tak im to drogie było.

Gdyby zapytać matki Janka, powiedziałaby, że w tym domu nie ma nic, prócz pamiątek, że o te ściany odbijały się okrzyki radości i jęki smutku, że tu dziadkowie i dziadkowie dziadków rodzili się, żyli i umierali, a przez to właśnie domek nie ma ceny.

Bywają i takie uprzedzenia.

Ogród, który się za domem rozciąga, także ma mnóstwo pamiątek. Pod cieniem jego starych lip igrała dziatwa, szeptali narzeczeni, opowiadali dawne dzieje starcy. Co rok wyrastały nowe liście, ale pień i konary były te same. Toż i z domem; pokolenia mijały, a on stał. Tulił w swych ścianach dziadów i wnuków, widział kolebki i trumny.

W ogrodzie do każdej gruszy, do jabłoni każdej była przywiązana jakaś legenda, a gdyby mogły przemówić te ławki z ciosowego kamienia, te altanki, w zwojach dzikiego wina i powoju tonące!... te świerki, klony, graby i dęby!

Gdy wiosna przyszła, gdy się te drzewa zielonością pokryły, gdy zapachniały bzy — prześlicznie tu było. Dom tonął w zieleni, słońce z trudnością przeciskało

promienie swe przez gałęzie, słowiki przyśpiewywały w gęstwinie...

Do tego to starego domu weszła młoda para, i, zdawało jej się, że drzwi raju otworzyły się przed nią. Matka przyjęła ich pocałunkami i błogosławieństwem, służba dobrem słowem i życzeniem.

Nie odbywali podróży poślubnej, nie dążyli do pięknych krain, by się zachwycać wspaniałemi widokami gór, lub morza; w głowach im to nawet nie postało. Na co? Szare niebo jesienne wydawało im się jasnem, płaski krajobraz malowniczym, nizki domek zaczarowanym pałacem. Kochali się.

Jej tak było ładnie w skromnej sukience, w fartuszku gosposi, z kluczykami u pasa. Objęła odrazu zarząd domem, a matka cofnęła się dyskretnie na plan drugi.

Młoda gosposia niecierpliwie oczekuje na męża, który do gospodarstwa pójść musiał. Nieznośne stodoły i obory! nieznośne szare zagony na polach, kradną chwile szczęścia. Kradnie je też ekonom, stary nudziarz, który co moment z jakąś wiadomością przychodzi, kradną parobcy, fornale, gajowi, żydzi, którzy za kupnem zboża

przyjeżdżają; wszyscy jakby zmówili się na to, żeby przerywać chwile szczęścia.

Lecz trudno, trzeba się z losem pogodzić, jesteśmy na dorobku i mamy zbierać. Młoda gosposia postanowiła to sobie; przekona ojca, że się mylił, że nie miał wcale słuszności. Czy im dziś co brakuje?

Jest jesień, stodoły pełne, sterty na polu, młocarnia po całych dniach warczy, w stajniach, w oborach za drabinami pełno, a na polu ślicznie się zieleni młodziutka ruń żyta i pszenicy.

Gosposia wie o tem, bo mąż zabrał ją z sobą i obwoził po całem dziedzictwie, pokazywał granice, a przytem opowiadał bardzo zajmujące dzieje swego majątku. Miał on tę szczególną własność, że się zmniejszał i zmieniał figurę. Za dziadka było sto włók z górą, w tem ogromny las; za ojca sześćdziesiąt i bardzo duży las; teraz, za syna, trzydzieści i las przetrzebiony, — ale za to wszystko w jednym kawałku, dogodnej figurze.

Janek powiada, że na małem gospodarować łatwiej; ma przytem na myśli rozmaite ulepszenia: wyszlamuje sadzawki, znalazł margiel, nawiezie nim pola, osuszy mokre łąki, a na nieużytkach zasieje las.

Trzeba na to, naturalnie, czasu i kapitału. Pierwszy tak jakby już był, — o drugi należy się postarać—na to są przewidywane dochody. Mówi o swoich projektach, a młodziutka żona słucha tego opowiadania, jak najciekawszego romansu. Jadą sami, bez stangreta, okoliczność ta pozwala im się kiedy niekiedy pocałować, co niesłychanie uprzyjemnia dyskurs o gospodarstwie.

— Widzisz, Maryniu, —mówi, pokazując na pola,—tu jest pusto; nie ma nic i nic być nie może. Niegdyś, w tem miejscu las rósł, ale go wycięto, przez kilka lat potem obsiewano zbożem z lichym rezultatem, boć to piasek. My na tem miejscu zasiejemy las. Będą tu drzewa rosły, może nie dla nas, ale dla dzieci, dla wnuków.

— Śliczna myśl! ty jesteś genialny, mój Janku, — kocham cię!

On dalej projekta rozwijał.

— Sadzawki wyszlamuję — mówił, — margle powydobywam, inwentarza dokupię, zobaczysz, co się z naszego folwarczku zrobi. Będzie zboże, dochody, a dalej, dalej... stanie gorzelnia, opasy...

— O, nie sądź tylko, że ja z założonemi rękoma siedzieć będę — wezmę się także do roboty. Czego jeszcze nie umiem, tego

mnie mateczka twoja nauczy. Jestem zdrowa i silna...

— Ty silna!—rzekł biorąc ją za rękę— a cóż ty zrobisz taką kocią łapką, delikatną, mięciutką?

— Nie kształt o sile stanowi. Ileż wypracowała matka twoja, chociaż ma rękę nie większą od mojej! Sam mi opowiadałeś, że umiała być ona panią i sługą. Ja chcę wstępować w jej ślady. Jesteśmy niebogaci, dorabiać się musimy — my dwoje, a raczej my jedno, bo ja nie wyobrażam sobie siebie bez ciebie, a ciebie bez siebie. Nieraz mi dziwaczna myśl przychodzi do głowy... oto wyobrażam sobie, że Bóg dał nam obojgu jedną duszę. Między nami nie może być nigdy nieporozumień i niezgody.

— A jednak, niedalej jak wczoraj, zadąsałaś się na mnie...

— Boś był niedobry, nie widziałam cię od rana aż do samego południa. Przyznaj, że ciężko jest rozłączać się na tak długo... Mówisz, że dąsałam się na ciebie; mogło to tak wyglądać, ale w gruncie rzeczy, było zupełnie co innego, — ja byłam tylko smutna, bom się stęskniła za tobą... Dąsy krótko trwały; pierwsza wyciągnęłam rękę do ciebie...

Szybko upływał czas mieszkańcom niepokaźnego domu. Zima była ostra i mroźna, ale pod poczerniałym dachem rozkosznie i ciepło. Gdy wieczór przyszedł, a pan Jan załatwił się z ludźmi i dyspozycye na dzień następny wydał, gromadzono się w największym pokoju, przy kominku, na którym ogień płonął. Rozmawiano, czytano książki i gazety; czasem gość zajrzał, w miłej pogawędce chwile szybko biegły. Ojciec pani Janowej dość często przyjeżdżał i cieszył się szczęściem córki; czasem znów państwo Janowie z matką sąsiadów odwiedzali. Dni mijały, niezakłócone niczem, szczęśliwe. Było cicho, zgodnie, spokojnie; matka Janka przylgnęła do młodej synowej całem sercem... nazywała ją najdroższą córką, pieściła... A niech-no którego dnia Marynia wyglądała trochę gorzej, niż zwykle, niech-no jej buzia pobladła,— już niepokój był wielki i przerażenie. Staruszka z pośpiechem wydobywała z szafy różne ziółka własnego zbioru, wypróbowane, niezawodne, skuteczne.

Kilka razy nawet, nie dowierzając umiejętności swej, po doktora posłała.

Był w najbliższem miasteczku doktór

Ditto, zabawna figura, trochę dziwak, ale bardzo dobry i szczęśliwy praktyk.

Powierzchowność jego nie była zachwycająca. Mały, pękaty, na krótkich nóżkach, miał ogromną głowę, całkiem łysą, twarz wygoloną, nos wielki, gruby, oczy małe, zerkające bystro z po za szkieł w złoto oprawnych.

Ubierał się z przesadną elegancyą, nosił kamizelki w kwiaty, obwieszony był brelokami i łańcuszkami, na palcach dźwigał kilka kosztownych pierścieni, pudrował się i miał o sobie przekonanie, że wygląda jak Apollo...

Gdy pierwszy raz przyjechał do Stawisk, znalazł oboje państwa i matkę przy stole, a po przywitaniu zapytał:

— Któż tu jest chory w tem zgromadzeniu zdrowych?

— Ach, panie doktorze—odezwała się matka,—Marynia pomizerniała, w nocy ją dręczył kaszel, i, zdaje mi się, że miała gorączkę.

— O... o, zaraz kaszel... zaraz gorączka! Proszę mi rękę podać. Jestem zachwycony. Puls jak zagarek, możesz pani być dumną z takiego pulsu. Kto tu opowiadał o gorączce? Śmiać się z tego. Nie udaje mi

się mieć pani za pacyentkę. Czy pamiętasz, pani, jeszcze za panieńskich czasów, temu z pół roku, na zabawie w domu ojca pani, żartowała pani ze mnie.

— Nie śmiałabym.

— Pani nie śmiała, a ja pamiętam. Gniewałem się na panią i pragnąłem zemsty. O, myślałem sobie, poczekaj, piękna panno, przyjdziesz na moje podwórko. Czy będzie potrzeba, czy nie, zaordynuję bańki cięte, synapizma, wezykatorye, pijawki, żeby pani popamiętała doktora...

— Ma pan teraz sposobność — rzekł pan Jan.

— Kiedy mnie już gniew ominął i, prawdopodobnie, nic nie przepiszę.

— Jednak ja jestem pewna, że Marynia jest chora — wtrąciła matka.

— Powoli, pani dobrodziejko, powoli; choćby była chora, mamy jeszcze czas. Zaręczam, że to nie jest ani apopleksya, ani paraliż, ani...

— Wiesz, Maryniu — odzwał się pan Jan — nim ci doktór co przepisze, uprzedź go i zaordynuj mu śniadanie.

— Doskonały jesteś, panie Janie, do konsultacyi; sam Hipokrates nie zdobyłby się na lepszą dla mnie receptę.

Panie wyszły, a doktór, zniżając głos, rzekł:

— Szczęśliwy człowiek z ciebie... porwałeś najpiękniejszą pannę w okolicy... chociaż właściwie okolica niewiele na tem straciła.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — rzekł pan Jan brwi marszcząc.

— A, chcę to powiedzieć, że okolica ma dziś najpiękniejszą mężatkę.

Rzekłszy to, doktór roześmiał się, pokazując dwa rzędy ogromnych, zdrowych, białych zębów.

— Zrobiłeś świetny wybór — mówił dalej, — każdy ci zazdrości, panie Janie.

Panie powróciły do pokoju, wnet stół nakryto i doktór zabrał się do śniadania. Jadł dużo, opowiadał przytem różne nowinki, śmiał się, rozweselił wszystkich. Nawet ta, dla której go sprowadzono, ożywiła się i dostała rumieńców.

— Powiedz jednak, doktorze — zapytał pan Jan, — co właściwie mojej żonie jest?

— Nie wiem, jakby to wyłożyć... Wyobraźcie sobie państwo naprzykład młodego lekarza, który, na widok chorego, dostaje nerwowego drżenia; nie może ani jeść, ani

spać, myśli ciągle o swoim pacyencie; gdyby się nie wstydził, odwiedzałby go dziesięć razy na dzień. Później, w miarę nabytego doświadczenia, traktuje zadanie swoje o wiele chłodniej, spokojniej, a jeszcze później, bo i to się zdarza, zaniedbuje po prostu swoje obowiązki, lekceważy je...

— Cóż to za związek ma?

— A przepraszam. Pozwólcie mi państwo przyjść do słowa; dam wam inny przykład, albo nie, powiem bez przykładów, wprost, a powiem to, co wiem z długoletniego doświadczenia i praktyki. Gdy jesteśmy w szczęściu, gdy nam nic nie brakuje, wówczas troszczymy się o swoje zdrowie, lub o zdrowie ukochanych, a później, w miarę przybywania innych trosk, niepokojów, kłopotów, kwestya zdrowia schodzi na plan drugi, trzeci, dziesiąty, ostatni. Jest to charakterystyczne. W pierwszym okresie robimy alarm i wzywamy lekarza w wypadkach, na które wybornie pomaga rumianek, lub kwiat lipowy—a dalej, gdy nas życie brzemieniem przygniecie, ciężkie nieraz cierpienia leczymy kwiatem lipowym—a właściwie, nie leczymy ich wcale. Jest to charakterystyczne, ale i naturalne, w moich oczach usprawiedliwione

zupełnie. Zaobserwowałem, że im więcej kto ma obowiązków, tem mniej myśli o sobie i dochodzi z czasem do tego, że zupełnie o własnem ja zapomina.

Matka westchnęła.

— Znałem — mówił doktór — ojców rodzin, którym trzeba było miesięcy odpoczynku i systematycznej kuracyi, znałem matki zagrożone zupełną utratą zdrowia — pytałem — dla czego nie ratujecie się? Odpowiadali mi jednakowo, jakby powtarzając wyuczoną rolę:— Owszem, doktorze, pomyślimy o tem, tylko niechno wpierw Michaś szkoły skończy, niech Mundzia za mąż wyjdzie etc... Wreszcie stało się, o czem marzyli. Michaś przywiózł patent, Mundzia włożyła czepeczek. No, cóż teraz będzie?— pytałem, — a, doktorku kochany, jeszcze musimy się wstrzymać... ale niechno Berka zapłacę. Po Berku przyszedł Icek, po Icku Szmul, potem Michaś się żenił, więc trzeba było dla niego zbierać, a ci biędacy skrzypieli, cherlali i leczyli się... kwiatem lipowym. Wierzcie mi, moi młodzi państwo, żem widział setki takich przykładów, a przecież nie powiem, żeby sfera moich obserwacyj była bardzo duża; kręcę się w ciasnem stosunkowo kółku, praktykuję w pro-

mieniu trzech do czterech mil. Gdybym był poetą, napisałbym epopeję o rumianku.

Marynia roześmiała się.

— Niech pani to bierze zupełnie na seryo — rzekł doktór, — mówię szczerze: poświęcenie, ofiara, zaparcie się siebie nietylko w poematach istnieją. W życiu jest ich mnóstwo; tylko trzeba je umieć widzieć, a ja mam do tego stokroć więcej sposobności, niż kto inny.

— Nie wiedziałem, że jesteś poetą, doktorze — rzekł pan Jan.

— Chyba poetą od pisania... recept, ale swoją drogą ja poezyę rozumiem i czuję, a widzę ją najczęściej tam, gdzieby nikt nie domyślił się jej istnienia, widzę ją w najpowszedniejszej prozie życia. Może to opaczne widzenie, ale ja takie mam i już się nie przerobię. Mnie się zdaje, że matka wyrobnica, która zastawia ostatnią poduszkę z pod głowy, aby chore dziecko ratować; że drwal, pracujący dwanaście godzin na mrozie, ażeby kupić chleba rodzinie, to poematy piękniejsze daleko i wznioślejsze, aniżeli owe romanse salonowe przy dźwiękach muzyki, w rytmicznych taktach walca... Pierwsze poruszają we mnie serce, drugie sprawiają ból głowy i rozstrojenie

nerwów. Nie narzucam nikomu mego zdania, ale też od niego nie odstąpię.

— Do pewnego stopnia masz pan słuszność – rzekł pan Jan.

Doktór się roześmiał.

— W samej rzeczy — odpowiedział,— mam słuszność aż do stopnia... bezwzględnej słuszności.

— Ja wiem, że pan jesteś pesymistą i mizantropem — wtrąciła młoda mężatka.

— Ani jedno, ani drugie, tylko niekiedy bywam smutny. Życie mnie na taką nutę nastraja; ale po cóż ja to mówię? wybrałem bardzo nieodpowiednich słuchaczów. Wy, moi państwo, powinniście być weseli, o wesołych rzeczach myśleć, wesołej mowy tylko słuchać. Używajcie, póki jesteście młodzi, tyle waszego.

— Możnaby z tego wnosić, że pan doktór przepowiada nam smutną przyszłość, a ja w to nie wierzę, mój Janeczku.

— I ślicznie pani dobrodziejka robi, tem więcej, że ja nic nie przepowiadam, nie mam się za proroka, mogę mieć tylko zdanie o tem, co widzę, a widzę przed sobą śliczny poemacik, który tymczasem jest sam w sobie skończoną zwrotką, piosenką, może wstępem do dalszych, dłuższych pie-

śni. Widzę dwoje młodych ludzi w najpiękniejszej dobie życia. Widzę młodość, zdrowie, siłę i wdzięk, łączy was miłość, kochacie się oboje szalenie.

— A to panu kto powiedział? — zapytała Marynia z przekąsem.

— Powiedziały mi to wasze oczy i uśmiechy. Zresztą, zakochani mają tajemnicę swoją wypisaną na czołach; tylko trzeba umieć czytać te niepochwytne i nieujęte w kształty literki. Ja się znam na takim alfabecie, chociaż do mnie w ten sposób nie pisano nigdy.

Rzekłszy to, wstał od stołu.

— Czas na mnie — rzekł. — Pani mama dobrodziejka niech się nie trwoży, pani Marya zdrowa, nic jej nie jest — zmęczenie chwilowe, przejdzie bez leków, na co aptekarzowi kieszenie nabijać?

— Serdecznie panu dziękuję, żeś mnie uspokoił, a byłam w takiej obawie. Zostań pan jeszcze! dokąd tak pilno?

— Śpieszę się do katarów, zapaleń, suchot, tyfusów... a wieczorem gości mam mieć. Moja pani siostra zaprosiła parę osób... mają urządzić mały koncert.

— Siostra pana muzykalna?

Biblioteka Pedagogiczna Filia w Olsztynie

— O tak. Jest to stara panna. Los obszedł się z nią po macoszemu, ponieważ nie dał jej ani urody, ani majątku. Te dwa minusy skazały ją na samotność... Nie mając kogo kochać, pokochała muzykę; gra też rzeczywiście dobrze, a że mamy w miasteczku amatora-skrzypka i wiolonczelistę, więc urządzają we troje koncerta.

— Jak imię pańskiej siostry?

— Właściwie powinno być Ironia...

— Ależ takiego nie ma w kalendarzu!

— Ja wiem, to też mówię, że powinno być, rzeczywiście siostrze mojej dano imię Gracya... przy jej powierzchowności jest to istotnie ironia.

— Obmawia doktór siostrę—rzekł pan Jan, bo ja przecież znam pannę Gracyę z widzenia; bardzo sympatyczna osoba.

— I to prawda. Sympatyczna ona jest, a na bliższem poznaniu dużo zyskuje. Serce złote, charakter prawy, dusza zacna. Dziwaczka trochę, jak stara panna.

— Panie doktorze,—rzekła Marynia,— niech pan kiedy siostrę do nas przywiezie; mam nadzieję, że zaprzyjaźnimy się prędko.

— Ona prawie nigdzie nie bywa...

— Może dla nas zechce zrobić wyjątek ja przepadam za muzyką... fortepian jest w domu! Cóż, wysłucha pan mej prośby?

— Owszem, skorzystamy z miłego zaproszenia.

— Siostra chyba niedawno mieszka u pana, bo dotychczas nie słyszałam o niej?

— Od roku niespełna.

— A poprzednio?

— Poprzednio, dużoby o tem mówić... Mieszkała i w kraju, i za granicą, i przez kilka lat aż w Azyi.

— Więc to podróżniczka?

— Nie, pani, tylko biedna guwernantka, którą los rzucał tak, jak wiatr liściem na jesieni; podróżowała nie dla przyjemności, lecz dla chleba. Od dawna prosiłem ją, aby porzuciła ten zawód gorzki i przykry, i aby osiadła przy mnie. Nie chciała mi być ciężarem! Zabawna kobieta, doprawdy!... pisałem do niej: Droga siostro! ja tyle żydowskich języków oglądam, że dochód mój starczy na to, abyś ty dzieciom francuskiego już nie pokazywała; przyjeżdżaj, chleba nam nie zbraknie. Nie przyjechała... przeszło parę lat, zrujnowała zdrowie do reszty, i dopiero uległa mym prośbom.

— Więc aż w Azyi była pańska siostra?

— A tak. Trafiła jej się posada, względnie korzystna, więc już bez namysłu prawie przyjęła.

— Panie doktorze—rzekła młoda mężatka, — nie odmów nam tej przyjemności i zapoznaj siostrę swą z nami.

— Owszem, ale...

— Co?

— Siostra moja, trzeba pani wiedzieć, ma dość dziwaczne usposobienie. Ona panią zaraz pokocha.

— A cóż w tem złego? i owszem, może pan być pewien, że jej najszczerszą wzajemnością odpłacę.

— Zastosuję się do pani życzenia, a teraz bywajcie państwo zdrowi.

Nie dał się namówić aby został — odjechał.

— Chwała Bogu — rzekła matka, — poczciwe doktorzysko! Zdjął mi ciężar z serca, bo, doprawdy, byłam w obawie o twoje zdrowie, Maryniu... I wiesz co, dla zupełnej pewności, ja jednak zaparzę dla ciebie ziółek od kaszlu. Powiadam ci, że są cudowne. Wypijesz?

— Jeżeli to mamie zrobi przyjemność.

— Dziękuję ci, moja jedyna. Jesteś poczciwe, dobre, najzacniejsze dziecko. Niech cię Bóg błogosławi, moja śliczna...

Chcąc odmalować Stawiska, tak jak wyglądają na wiosnę, trzebaby użyć tylko dużo, dużo zieleni, i tę zieleń oblać potokami światła. Innych barw, prócz zielonej, zdaleka przynajmniej—nie widać.

Siedziby ludzkie kryją się za drzewami, szara ziemia pokryta zbożem lub trawą, ale w zieleni tej, jednostajnej na pozór, jest niesłychana rozmaitość, moc odcieni, zmieniających się według tego, czy je blaski słoneczne z góry złocą, czy też od zachodu, purpurą oblewają. I układa się z tej zieloności przepyszna mozajka, najbogatsza kombinacya tonów; od tej trawki bledziuchnej, co na nowo żyć zaczęła, od złotawego listka wierzby, od brzóz, płaczek wiekuistych, aż do ciemno-zielonej olchy, do prawie czarnych jodeł. Hojna dłoń natu-

ry sypie na to perliste krople rosy, zawiesza je na trawie i listkach w sposób niewidzialny, każe im drgać za najlżejszym podmuchem wiatru, chwytać promienie słoneczne, bawić się niemi, migotać. Każe wszystkim gałęziom, liściom szumieć i szemrać harmonijnie, a w tym szmerze biorą udział zarówno konary potężnego dębu, jak i wiotka trzcina, która się nad wodą chwieje.

Ta dłoń niewidzialna, po królewsku szczodra, nieograniczona w hojności, rzuca w gąszcze leśne i przestworza powietrzne moc pierzastych śpiewaków, zawiesza skowronka nad zagonem, kryje słowika w gaju. Taż dłoń sypie po całej ziemi kwiaty różnobarwne i wzorzyste, i oto, jak za skinieniem laski czarodziejskiej, stroją się grusze i jabłonie biało, niby oblubieńce na gody, płoną rumieńcami róże, mienią się łąki od drobniutkich kwiateczków.

Przebudź się, ziemio, i żyj! powiedziano—i życie zewsząd tryska, i wonie słodkie biją w niebo, i pieśni płyną w powietrzu... Przebudź się, ziemio, i żyj — przebudź się, człowieku, i pracuj.

I oto wychodzą ciężkie woły na zagony. Pochyliły łby ku ziemi, poddały po-

tężne karki pod jarzma, oparły się na krótkich muskularnych nogach, i żelazo pługa wrzyna się w ziemię głęboko, odkłada długą skibę czarną, pachnącą świeżością. Za pługiem człowiek idzie, ciężki i spracowany jak wół, zapada w ziemię spulchnioną, pracą bezmyślnych zwierząt kieruje. I oto tysiące takich par wołów i tysiące oraczy takich, od wschodu do zachodu słońca kraje ziemię w różnych kierunkach, spulchnia ją i porusza — a niebawem za nimi siewcy pójdą i rzucać będą ziarna z ufnością, że im je ziemia z sowitym wróci naddatkiem. I poczekawszy niedługo, nim się srebrny miesiąc parę razy odmienił, już te ziarenka wyrosły, już ziemię runią szmaragdową pokryły, już ta ruń podniosła się wyżej zwartą ścianą, i faluje, kłania się, kołysze pod tchnieniem wiatru, jak morze...

I na widok tych cudów, takich przecie starych jak świat, a takich jeszcze młodych jak wiosna, w człowieka wstępuje duch lepszy, nadzieja, otucha... Zdaje mu się, że w tym wielkim akcie odrodzenia i on, niby pan świata, a w rzeczywistości robak nędzny, jak inne, odmładza się, nabiera sił świeżych i z większą śmiałością w przyszłość patrzy. Zdaje mu się, że dola le-

psza go czeka, że ciężar z jego bark spadnie, że stanie się coś, co go podźwignie i ukrzepi. Rozpogadza czoło zmarszczone, prostuje grzbiet od ciężaru życia już zgięty, a w źrenicach ma blask jakiś, jakby darowany, a może tylko pożyczony od słońca.

Przed domem w Stawiskach, przed tem starem domowstwem, które się jego mieszkańcom tak pięknem wydawało i wygodnem, na trawniku igra dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka.

Gonią motyle i zrywają kwiatki, które opodal na rabatkach rosną.

Chłopczyk jest wątły i bladziutki, o dużych czarnych oczach; dziewczynka młodsza od brata, wstrząsa długiemi blond włosami, pulchna, rumiana, zdrowa. Pierwszy ma około pięciu lat życia, druga trzeci roczek niedawno skończyła.

Zmęczyły się dziatki gonitwą za motylami—usiadły. Dziewczynka zaczęła rozmowę.

— Józiu — spytała dziecinnym swoim szczebiotem—dlaczego nas dziś nie wpuścili do mamy?

— Bo mama jest chora... moja Zosiu.

— A dlaczego mama jest chora?

— Bo mamę boli

— A dlaczego ją boli?

— Bo tak Bozia chce.

— A dlaczego Bozia tak chce?

— O to się pytać nie można — ale można prosić Bozi, żeby mama była zdrowa.

— To ja będę prosiła.

Złożyła rączki i zaczęła szeptać drobnemi usteczkami. Trwało to jednak bardzo krótko, gdyż spostrzegła biedronkę i zapragnęła ją schwytać. Owad rozpostarł skrzydełka i frunął.

— Niegrzeczny! — zawołała — brzydki! nie chciał się ze mną bawić.

Oburzona, porwała kamyczek i rzuciła go w stronę, w którą uciekł mały, centkowany robaczek.

— Józiu — rzekła, — gdzie tatuś? ja do tatusia pójdę.

— Tatko jest w polu, daleko.

— To chodźmy w pole.

— Poszedłbym, ale nie wiem, gdzie to pole jest; tatko pojechał na koniu...

— Na koniu!?

— Tak.

— Jabym też chciała jechać na koniu. Dlaczego nam tatuś nie da konia?

— Owszem, da, ale gdy dorośniemy. Tak powiedział.

— To dobrze, ja poczekam, a czy panna Gracya jest już dorosła?

— Jest.

— A dlaczego ona nie ma swego konia?

— Bo nie chce. Może się boi.

— Jabym się nie bała.

— Bo ty jesteś odważna, a panna Gracya nie.

— A ty czy jesteś odważny?

— Ja jestem—z całą pewnością siebie rzekł chłopiec:—ja się nikogo nie boję.

— A dlaczego wczoraj uciekałeś przed indykiem?

— Bo on mnie gonił.

— To po co mówisz, żeś odważny, kiedyś uciekał?

— A tak, uciekałem, bo indyk ma dziób;—przed koniem nie uciekam, bo koń jest dobry i dzieci nie goni.

— Józiu—rzekła po niejakiej przerwie dziewczynka,—chodźmy do ogrodu, tam są porzeczki.

— A to chodźmy.

— Dzieci wzięły się za ręce, przez furt-

kę weszły do ogrodu, przebiegły kilka ładnie wygracowanych dróżek i dostały się między krzaki porzeczek.

Zaledwie zaczęły obrywać czerwone grona, rozległ się donośny głos kobiecy:

— Zosiu! Józiu! a gdzieżeście się niebożątka podziały! Wołam i wołam i dowołać się nie mogę. Chodźcieże prędzej, powiem wam coś, hej! dzieci!

— Chodźmy—rzekł Józio,—to Kurpielska nas woła.

Kurpielska była to szafarka w Stawiskach; dawno służyła już w tym domu; zestarzała się w obowiązku. Powierzchowność jej świadczyła, że czasem praca idzie na zdrowie. Wyglądała babina jak ćwik, była czerwona, otyła, a głos miała tak donośny, że na drugim końcu folwarku można ją było słyszeć.

Ubrana była dostatnio, ale po wiejsku; nowomodnym strojem brzydziła się. Na głowie miała wielki czepiec z żółtą wstążką, na ramionach lekką czerwoną chusteczkę.

Usiłując dojrzeć, gdzie są dzieci, przysłoniła ręką oczy od słońca. Józio i Zosia wybiegli ku niej.

— Pewnie w porzeczkach byliście? — zawołała.

— A tak.

— Otóż masz! a wolno to wam tak bobrować po ogrodzie, co? wolno obrywać co się podoba—co? Ej, dzieci, obaczycie, powiem panu i będzie bieda... Zosiunia, jak Zosiunia, jeszcze maleńka — ale Józio, taki stary chłop i już do złego siostrzyczkę doprowadza. Wstydź się, Józiu, zaraz panu powiem.

— Niech Kurpielska nie powie! moja śliczna, złota, kochana, moja srebrna Kurpielska.

— Tak... teraz to srebrna i złota, a wczoraj Józio mówił, że Kurpielska jest brzydka baba.

— Ale śliczna! śliczna Kurpielska — ja już nigdy nie powiem, że Kurpielska jest brzydka.

— No, no, dość już — chodźcie no tu bliżej. Chodź, Józiu, i ty, Zosiuniu, chodź. Bieda na ciebie teraz, moje złotko; do tej pory mamunia pieściła, bo byłaś najmłodsza, a jakże, oczko w głowie, benjaminek—a teraz tiu! tiu! Jużeś ty, kochaneczko, nie najmłodsza, bo jeszcze młodszy od ciebie jest.

— Kto? moja Kurpielska, kto? powiedzcież nam.

— Mały braciszek, taki maleńki jak lalka. Śpi w kołysce i ma zamrużone oczka, bardzo ładny chłopczyk.

— Braciszek? mały? — pytała Zosia:— prawdziwy braciszek?

— Jużci, skoro wam powiadam, że prawdziwy, to prawdziwy. Takie ma czarne oczka, jak tareczki, do Józia podobny.

— A jak on się nazywa?

— Nijak.

— Albo jest takie imię? — spytał Józio.

— O! toć powiadam — odezwała się Kurpielska, — że nijak, to znaczy ni tak, ni siak, jak go ochrzczą, to wtedy będzie miał imię.

— A czy będziemy go mogli zobaczyć?

— Będziecie.

— To ja pójdę, narwę kwiatków i zrobię dla niego bukiet z samych róż. Prawda, Kurpielska, że takiego braciszka trzeba kochać?

— A dyć trzeba, Zosiuchno, a jakże.

— Ja mu kwiatków nie dam — rzekł Józio.

— Takiś to niedobry, żałujesz braciszkowi marnego badyla?! Nie wiedziałam, Józiu, żeś...

— O, nie! Kurpielska nie wie, co ja chcę zrobić. Ja dam braciszkowi mój biczyk i bębenek, com dostał od tatusia i przyniosę mu z ogrodu dwie marchwie. Kurpielska wie, te z pod parkanu, takie czerwoniutkie i słodkie.

— Ej, co Józio mówi? alboż taki malutki jadłby marchew, co znowu! Chodźcie, dzieci, pokażę go wam.

Na progu stał doktór Ditto. Przecierał chustką złocone okulary, na twarzy miał uśmiech. Zobaczywszy Józia, pochwycił go za rękę.

— Jak się masz, mój przyjacielu? — zawołał — daj buzi, i ty, Zosiuniu, także.

— Ja nie chcę, — rzekła dziewczynka, chowając się za Kurpielską.

— Dlaczego?

— Bo buzia jest taka koląca jak jeż... Widział pan naszego jeża?

— Nie.

— Gajowy, Marcin, złapał go i przyniósł.

— Aha, więc ty, Zosiu, powiadasz, że jeż jest podobny do mnie, a ja do niego.

— Jest kolący, jak broda.

Doktór wziął dziewczynkę na ręce i pomimo oporu pocałował.

— Widzisz, żem cię nie pokłuł, a teraz spróbuj sama pocałować jeża.

— Wolę małego braciszka.

— Więc już wiesz o nim?

— A wiem.

— Ja powiedziałam, proszę pana—odezwała się Kurpielska,—pani kazała przyprowadzić dzieci do siebie.

— No, no, niech idą, a sprawować się przy mamie grzecznie, bo mama jest chora, krzyczeć nie można. Idźcie, ja posiedzę trochę, tu, na ganku.

Doktór od sześciu lat nic się nie zmienił, na szerokiej jego twarzy nie pojawiła się ani jedna zmarszczka. Nie wyrzekł się też przesadzonej elegancyi, wyglądał jak gdyby wprost z pudełka wyjęty. Wciąż praktykował w miasteczku, w Stawiskach bywał częstym gościem, ale więcej w charakterze przyjaciela, niżeli lekarza. Chociaż zapraszano go szczerze jako gościa, o poradę jednak coraz rzadziej proszono, Chyba, gdy które dziecko zasłabło. Nie znaczy to, żeby w domu państwa Janowstwa wszyscy byli zawsze zdrowi, prócz

dzieci. Pani Marya zmieniła się dużo, wyszczuplała i pobladła, a matka pana Jana, którą od czasu przyjścia na świat Józia, wszyscy nie inaczej niż babcią nazywali, niedomagała coraz częściej. Sam doktór wszczynał nieraz kwestyę kuracyi, ale go ni tem, ni owem zbywano.

Panna Gracya od roku zamieszkała w Stawiskach. Brat namawiał ją, by nadal przy nim została.

— Czy ci tu źle?—mówił—jesteś niezależna gospodyni w swoim domu, boć ja nie rozdzielam, i co moje uważam za twoje, czego więc szukasz?

Odpowiedziała mu kategorycznie na te pytania:

— Jest mi tu źle, właśnie dlatego, że jestem samodzielną gospodynią, a na gospodarstwie domowem nie znam się i nie lubię go. Gram niezgorzej i, jako, tako umiem uczyć dzieci, ten rodzaj pracy jest dla mnie odpowiedni i oddawać mu się powinnam. Dlaczego masz mieć lichą gospodynię, kiedy możesz mieć dobrą?

— Więc mnie chcesz koniecznie opuścić?

— Naturalnie. Opuszczę twój dom,

a ty postąpiłbyś najrozumniej, gdybyś się ożenił.

— Ja?! — zapytał zdumiony.

— Przecież nie ja! Jesteś w sile wieku, masz stanowisko, masz majątek: dlaczego nie podzielisz go z jaką uczciwą, godną twego przywiązania osobą? dlaczego nie założysz rodziny? Jest to obowiązek, mój bracie. Nie mówię, żebyś się żenił z dzieciakiem, z jaką szesnastoletnią laleczką, ale poszukaj sobie osoby nie pierwszej młodości, rozumnej a uczciwej. Takie kobiety są na świecie, trzeba tylko poszukać. Nie potrzebujesz gonić za majątkiem, bo masz na utrzymanie rodziny aż nadto. Powiadam ci: ożeń się; radzę z całego serca. Wprawdzie nie jesteś wyjątkowo piękny, między nami powiedziawszy, jesteś nawet porządnie brzydki.

Doktór, który się miał za bardzo przystojnego mężczyznę, zaprotestował z oburzeniem:

— O! co do tego, moja kochana, to rzecz gustu. Znałem kobiety, które były wręcz przeciwnego zdania.

— A ty im wierzyłeś! ty! taki przecież rozumny i wykształcony człowiek.

— Dlaczego miałyby kłamać?

— Nie wiem, musiały zapewne mieć w tem swój cel do którego zmierzały przy pomocy pochlebstwa; ale wracam do rzeczy. Chciałam właśnie powiedzieć, że rozsądna kobieta nie zrazi się twoją powierzchownością i może cię szczerze pokochać dla wysokich zalet charakteru, jakie niewątpliwie posiadasz, dla twego wykształcenia, dla rozumu. Powtarzam ci, ożeń się, a mnie przy sobie nie zatrzymuj; ja wegetować tak nie mam zamiaru, chcę być pożyteczną ludziom. Zresztą, przyzwyczaiłam się do mego zawodu, chociaż ma on swoje przykre strony, jednak coś mnie do niego ciągnie. Lubię też dzieci; nie mając swoich, kocham cudze, jest to zapewne potrzeba serca, które musi się do kogoś przywiązać.

— Siostro—perswadował doktór,—kochasz cudze dzieci, a dlaczego nie kochasz rodzonego brata?

— Żartujesz! Chciałabym cię widzieć szczęśliwym i dlatego namawiam cię, żebyś się ożenił — nie zwłócz z tem; czas ucieka, czego ty, może bardziej niż kto inny, nie spostrzegasz, będąc nieustannie zajętym.

Doktór przyszedł do wniosku, że nie przekona siostry i pozostawił jej zupełną swobodę działania. Przykro mu to jednak było. Raz, przejeżdżając przez Stawiska, wstąpił do dworu i zwierzył się panu Janowi ze swojem zmartwieniem. Pan Jan na żonę spojrzał i zrozumieli się zaraz. Józio okazywał dużą chęć do nauki, można było powoli, choćby tylko od konwersacyi w jakim obcym języku zaczynać. Przytem i pani Janowa, i babcia lubiły bardzo siostrę doktora i rade widziały ją w swojem towarzystwie.

— Uparta jest—mówił doktór,—postanowiła szukać obowiązku, i już jej nic od tego nie powstrzyma, żadne perswazye nie pomogą. Gdyby choć nie wybrała się znów gdzie na koniec świata!

— Doktorze — rzekła pani Marya nieśmiało, — my potrzebujemy nauczycielki do dzieci... gdyby panna Gracya zechciała...

— A kogoż ona tu uczyć będzie? czteroletniego Józia, czy maleńką Zosię!... tu dla mej siostry zatrudnienia nie ma.

— Bądź pan spokojny, znajdzie się.

— Ja byłbym bardzo zadowolony, gdyby u państwa została; miałbym ją przynajmniej na oku.

Nazajutrz, pani Marya pojechała do miasteczka i odbyła z panną Gracyą długą konferencyę, a w kilka dni później, siostra doktora przeniosła się na stałe do Stawisk.

Z panią Janową zaprzyjaźniły się odrazu, więcej nawet: pokochały się serdecznie, jak siostry. Z początku, panna Gracya miała pewne skrupuły, co do swego stanowiska: takie małe dzieci, jak Józio, nie uczą się jeszcze; wkrótce jednak przekonała się, że tak nie jest, że dzieci mogą się uczyć od chwili, w której myśleć zaczynają, chociaż do takiej nauki książka niepotrzebna. Takie nauczanie sprawiało jej wielką przyjemność, przywiązała się do dzieci całem sercem i postanowiła zostać w domu państwa Janowstwa, jak będzie można najdłużej. Było jej z nimi, a i im z nią bardzo dobrze, spokojnie. Brat kiedy niekiedy przyjeżdżał, widywała go dość często, wiedziała, że zdrów i że mu nic nie braknie, prócz żony, ma się rozumieć. Niekiedy były z tego powodu długie dysputy, w których i pani Janowa, i babcia stawały po stronie panny Gracyi, nie szczędząc wymowy. Doktór perswazyi słuchał, głową kiwał, przyrzekał, że dobrej rady posłucha, i na tem się kończyło.

Pobawiwszy się z dziećmi, które Kurpielska później zaprowadziła do domu, doktór usiadł na ganku, zapalił cygaro i patrzał w niebo, po którem goniły się leciuchne białe obłoczki. Niebawem ukazał się na ganku i gospodarz. Był to jeszcze przystojny, nawet piękny mężczyzna, ale już nie taki, jak wówczas, kiedy mu Kąkolski marsza weselnego przygrywał... nie taki... Czoło wówczas pogodne i gładkie, przysłonięte było chmurą zadumy, oczy nie miały dawnego blasku, a brwi ściągnięte świadczyły o ciągłej trosce. Na ogorzałej twarzy uśmiech pojawiał się rzadko.

Doktór, ujrzawszy pana Jana, rzekł:

— Chodźmy się przejść.

— Dokąd?

— Do ogrodu, w pole; dokąd się panu podoba. Powietrza ci trzeba, panie Janie, orzeźwienia. O żonę się nie lękaj. Podźwignie się ona i wszystko będzie dobrze.

— Bardzo w ostatnich czasach zmizerniała i schudła.

— Ha! co chcesz, wszyscy się z czasem zmieniamy, i pan nie jesteś już taki, jak dawniej — i ja...

— Co do tego, przeczę. Musisz mieć, do-

ktorze, jakiś eliksir tajemniczy, bo wyglądasz zawsze czerstwo.

— Zdaje ci się, kochany panie Janie; czuję, żem już stary; nie dalej niż onegdaj, usnąłem nad książką, chociaż przedmiot, o którym traktowała, bardzo mnie zajmował. No, daj się namówić, chodźmy...

— Dobrze, pójdziemy w pole.

Wyszli na folwark dróżką, po której obydwóch stronach falowało bujne, gęste żyto.

— Śliczne masz zboże, panie Janie — rzekł doktór.

— Jedyna to nadzieja — odrzekł ojciec Józia z westchnieniem.

— Jak to jedyna? w czem?

— Dużoby o tem mówić, po różach się nie stąpa; ciężary gniotą, z każdym rokiem gorzej.

— Dla czego?

— Alboż ja wiem? zdaje się, że wszystko dobrze zrobione, wszystko w swoim czasie; sąsiedzi podziwiają, zazdroszą nawet, a rezultat niedobry. Zeszłego roku grad miałem, dwa lata temu pomór na bydło, a z tego zboża, które pan tu widzisz, już, co najmniej, czwarta część sprzedana. Pojęcia nie masz, doktorze, ile się na tem traci...

Doktór chciał odpowiedzieć, gdy wtem ujrzał człowieka, siedzącego w rowie, przy drodze. Chłop to był, pomimo gorąca ubrany w kożuch, blady; mizerny, trzęsący się od zimna.

Zobaczywszy pana Jana, podniósł się z trudnością, i, uchylając czapki, rzekł:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki. Co tu robisz, Walenty?

— Słaby jestem — odrzekł, — rozłamało mnie całkiem. Po plecach ból chodzi, po gnatach łamanie, a środkiem ziąb taki, jakby w siarczysty mróz. Robić nie mogę, w chałupie się kuczy samemu, wylazłem tedy w pole, układłem się w słońcu, żeby choć mnie trochę przygrzało.

— Niedobrze w takim stanie zdrowia kłaść się na ziemi — rzekł doktór, — może zaszkodzić.

— Ej, wielmożny panie, to bajki! gdzieby tam szkodziło? toć człowiek z ziemi jest i w ziemię się obróci. Koło ziemi robi, na ziemi sypia, a jak pomrze, to go też nie gdzieindziej, jeno w ziemię schowają. Takie prawo.

— Radziliście się też kogo? — spytał doktór.

— A jakże, wielmożny panie. Byłem

i u kowala, i u Berka felczera, i kobieta jedna, znająca, lekarstwo mi dawała, i owczarz proszek z ziela; nic nie pomogło, panie. Już mnie tak ze dwa tygodnie morduje.

— Czy wy mnie znacie?

— Nie, wielmożny panie, nie znam.

— Ja jestem doktór.

Chłop pokłonił się do ziemi.

— Już ja i to sobie miarkowałem— rzekł, — że wypadnie mi chyba do doktora pójść, żeby mi proszek na lekką śmierć zapisał, bo kiedy od dobrych ludzi lekarstwo nie pomaga, to snadź już taka wola boska, że trzeba umierać.

Doktór wcale się tą odpowiedzią nie zraził, położył chłopu rękę na ramieniu i bystro popatrzył mu w oczy:

— Nie — rzekł po chwili, — w twoich oczach, człowieku, śmierć jeszcze nie stoi.

— Albo to znać?

— Naturalnie, że znać, jak się kto zna. Ja chorobę widzę i wiem, jakie ci lekarstwa dawali. Berek zerżnął ci cały grzbiet bańkami.

— A dyć prawda.

— Kowal dawał ci wódkę z psim proszkiem.

— O la Boga, a wielmożny pan zkąd to wie?

— Z twoich oczu, mój człowieku; od owczarza dostałeś ziela tysiączniku, a owa kobieta znająca kazała cię natrząsać.

Chłop sądził, że ma z czarownikiem do czynienia i, miał wielką ochotę drapnąć.

Doktór z całą powagą mówił dalej:

— Oni nie leczyli cię źle, mój człowieku, tylko nie poznali się na chorobie.

Chłop oczy szeroko otworzył. Pierwszy raz w życiu słyszał lekarza, który się o kowalu i znającej kobiecie w ten sposób wyrażał...

Doktór mówił dalej:

— Już nie powtarzaj tych lekarstw, bo wiesz, że i dobre nawet, jeżeli go użyć za wiele, zaszkodzi...

— A no, dyć prawda... wielmożny panie.

— Przyjdź za godzinę do dworu, dam ci krople, będziesz je brał o samym wschodzie, o samym południu i o zachodzie słońca; a pamiętaj, na ziemi się nie kładź, bo ta słabość, co cię tak zmarnowała, w ziemi siedzi. Jeżeli chcesz leżeć, to się połóż w izbie, albo lepiej w stodole, na słomie. Postaraj się też o białą kurę, i niech ci

kobieta ugotuje z niej rosół, ale pamiętaj, żeby kura była biała.

— Właśnie, że mam taką kokoszę.

— To bardzo dobrze. Cóż? zrobisz, jak ci mówię?

— Zrobię, wielmożny panie.

Pan Jan, gdy odeszli od chłopa, śmiać się zaczął.

— Co też ci, doktorze, przyszedł za koncept z tą białą kurą!

— Niemożna inaczej. Przesądy, to chwast, który trzeba powoli wyrywać, od razu nie sposób. Ja bo zawsze idę drogą kompromisu w tym względzie i, przekonałem się, że dobrze robię. Tą drogą przyzwyczajam chłopów do leczenia się. Wypraktykowałem ten środek. Gdybym mu zalecił do jedzenia kurę, wzruszyłby ramionami i nie posłuchał; ponieważ mówiłem o białej, będzie jej szukał po całej wsi, dopóki nie znajdzie.

— A może...

— O, ręczę za niego, i to jest bardzo naturalne. On nie rozumie, że leczenie chorób odbywa się na pewnych wyrozumowanych zasadach, lecz uważa je za jakąś czynność tajemniczą, nadprzyrodzoną; dla tego tak się garnie do zamawiaczy i zna-

chorów. Baba nad nim szepcze wyrazy bez związku, okadza go dymem z ziół pachnących, i on w tem widzi jakąś tajemniczą potęgę. Moje lekarstwo tego uroku nie ma, więc nie wzbudza wiary. A no, i muszę się uciekać do kur białych, czarnych, pstrych, a przytem, niby kontrabandą, szwarcuję moje lekarstwo. Nie zalecam też nigdy, żeby brali lekarstwa podług zegaru, raz, że mało który z nich zegar posiada, a powtóre, że godzina nie robi wrażenia. Co innego słońce: chłopu się nie śni nawet, że w tym razie użyte jest ono jako czasomierz. Nie, on je uważa poniekąd za część składową lekarstwa, za czynnik uzdrawiający. Godzina razem z zegarkiem siedzi u pana w kieszeni — słońce na niebie jest. Takiemi drogami do tych ludzi trafiam, robię maleńki kompromis z ciemnotą i, powoli, zwalczam ją podstępnie. Z czasem, gdy się z lekarzem i lekarstwami oswoją, nie będzie potrzeby o białych kurach mówić. Mam już między chłopami pacyentów, którzy mi wierzą i ufają.

— Pan, bo na wszystko masz sposoby.

— No, nie bardzo — odrzekł śmiejąc się. — Siostra mi każe się żenić, a jednak...

— Bo się panu szukać nie chce.

— Ależ szukam, słowo daję, że szukam, lecz to trudna sprawa.

— Co prawda, nie znam łatwiejszej.

— Mówisz pan jak człowiek, który przepłynął szczęśliwie przez rzekę i zapomniał o tem, jak musiał walczyć z bystrym prądem; a ja stoję nad brzegiem i lękam się przeprawy, widzę wszelkie jej niebezpieczeństwa. Cóż robić? kochany panie Janie, nie każdy może o sobie powiedzieć, że jest nieustraszony i odważny. Ja się tem nie pochwalę.

— Cóż pana tak przeraża w tej sprawie?

— Cała sprawa, głównie wstęp do niej. Wizyty, konkury, a już najbardziej same oświadczyny. To jest, jak dla mnie, praca herkulesowa! Z chłopem poradzę sobie za pomocą czarnej kury, z panną, z rodzicami rzecz inna.

— To też zdaj pan tę rzecz na siostrę.

— Dziękuję, gdybym siostry słuchał, już od roku byłbym mężem panny Eudoksyi.

— Tej z Wólki?!

— A tak; przyznasz pan, że byłby to los nie bardzo godny zazdrości. Panna ma lat... albo ja wiem? zapewne mało co mniej,

niż ja; a ja mam ich, jak na jedną osobę, dużo. Ma być znakomita gospodyni i osoba pełna stanowczości i energii. Pierwsza zaleta nie przeszkadza zapewne, ale te dwie ostatnie dają dużo do myślenia. Umysł bardzo trzeźwy, tak przynajmniej moja siostra utrzymuje; wola niezłomna, tak mi ktoś z boku podszepnął; powierzchowność pozostawia nieco do życzenia.

— Nawet wiele — rzekł pan Jan.

— Ja bardzo wymagający nie jestem, uznałbym nawet pannę Eudoksyę za osobę kompletnie przystojną, gdyby nie to, że ją cokolwiek twarz szpeci. Siostra wymaga ode mnie wielkiej zaprawdę ofiary, ale moje poświęcenie aż tak daleko nie idzie. Bronię się przeto, jak lew...

— Przecież nie jedna tylko panna Eudoksya jest w okolicy.

— A wiem, wiem, znam je wszystkie.

— A cóż doktór powiesz o pannie Anieli z Sosenek? Mojem zdaniem, jest to osoba mająca wszelkie warunki, nie prawdaż?

— Istotnie, wszelkie—plus jeden, który tamte wszelkie przeważa. Ona ma strasznego ojca.

— Co też pan mówisz? najzacniejszy człowiek!

— Jedno drugiemu nie przeszkadza; dla mnie jest on straszny, dla tego mijam Sosenki zdaleka, i nawet, gdy mnie wzywają, wymawiam się wszelkiemi sposobami.

— Nie rozumiem.

— Otóż widzisz pan: pan Karol, ten zacny bez zaprzeczenia człowiek, dotknięty jest chorobą...

— On! ależ to kolos! typ zdrowego człowieka.

— A jednak ma chorobę straszniejszą od wszystkich razem wziętych; on jest chory na... medycynę. Czytuje dzieła lekarskie i zabija mnie swemi dysputami. Wierz mi pan, że jest to straszna rzecz. Usiądźmy sobie tu, na tych kamieniach, bom się już trochę zmęczył, opowiem coś o tym nieszczęśliwym człowieku.

— Słucham pana z wielką ciekawością —rzekł pan Jan siadając.

— Widzisz bo, drogi panie, nie ma na świecie człowieka, nie powiem szczęśliwego, bo byłoby to za wiele, ale mającego spokój przynajmniej. Pan Karol, o którym właśnie mówimy, ma owego spokoju mniej niż

pan, niż ja, niż nawet ten chłop, któremu rosół z białej kóry zaleciłem.

— Co pan mówisz? Człowiek majętny, zdrów.

— Prawda, prawda...

— Człowiek, który nie ma żadnych kłopotów, pożenił synów, wydał córki za mąż, prócz jednej tylko panny Anieli, no, ale i ta wiecznie panną nie będzie, bo prędzej czy później znajdzie się ktoś, co o jej rękę poprosi, choćby ty sam, doktorze...

— No, nie; powiedziałem, że boję się i nie cofam tego.

— Przyznasz pan jednak...

— Odchodzimy od przedmiotu. Zaczęliśmy mówić o panu Karolu. Masz pan słuszność: majętny on jest, kłopotów materyalnych nie zna, nie wisi nad nim, tak jak nad wielu innymi, jak i nad panem może, tak zwany „miecz Damoklesa“, wyposażył dzieci, nie brakuje mu nic, może spać spokojnie i być pewnym, że do końca życia kie będą go trapiły takie kwestye, jak kwestya bytu, deficytu i kredytu! Jest to jednak rzecz dowiedziona, że kto nieszczęścia nie ma, ten musi je sobie wytworzyć. Otóż pan Karol wytworzył sobie... medycynę. Przywidziało mu się, że zrobi na tem polu

nadzwyczajna odkrycia i zbawi ludzkość za pomocą środków niesłychanie prostych a potężnych. Sprowadził sobie kilka dzieł lekarskich i zaczął je zawzięcie wertować. Zdaje mu się, że już jest blizki znalezienia wielkiej prawdy. Myśl o nieszczęsnej sztuce Hipokratesa nie opuszcza go ani na chwilę; pana, sąsiadów, znajomych nie nudzi temi sprawami, gdyż uważa was za profanów, z którymi dysputować niewarto, ale niechno mnie spotka! Zamęcza po prostu o przedmiocie, o którym ma bardzo słabe pojęcie, żadne prawie; dysputuje, sprzecza się i koniecznie pragnie mnie przekonać, że ma słuszność. Ja, jak pan wiesz, jestem trochę prędki, więc, ile razy się spotkamy, jest wojna. W takich warunkach, trudno się starać o pannę.

— A jednak szkoda.

— Kłaniam uniżenie! panna podoba mi się, to prawda, ale zakochany nie jestem, a spokój domowy stanowczo przekładam nad dysputy o medycynie. Wyperswadowałem sobie tedy pannę Anielę i, omijam Sosenki, jak mogę najdalej.

— No, jest jeszcze młoda wdówka w Gzie... pani Malwina.

Doktór udał, że nie słyszy, i zaczął bardzo starannie strząsać popiół z cygara.

— Doktorze — powtórzył pan Jan, — wspomniałem o młodej wdówce...

— A tak, słyszałem, słyszałem, w samej rzeczy, tak sobie, miła kobiecinka...

— To mało powiedziane. Uroda, wykształcenie, majątek niewielki, ale na co panu majątek? masz z czego żyć.

— Zapewne, głodu nie doznaję, pieniędzy od nikogo nie pożyczam.

— Ja słyszałem, że pani Malwina ma zamiar Giez sprzedać i wyprowadzić się do Warszawy; mojem zdaniem, zrobiłaby bardzo rozumnie, bo sama z gospodarstwem rady sobie nie da. Mówiono mi, że stara się o kupców i że, w niedługim czasie, mieć ich będzie.

— Zkąd pan to wiesz?! — zapytał doktór.

— Wszyscy w okolicy tak mówią, i ja pochwalam jej zamiar. Kobieta młoda, czego się ma na wsi więzić? W Warszawie będzie się bawiła, za mąż wyjdzie.

— Dajże pan pokój! po co ma ztąd wyjeżdżać? po co wychodzić za mąż? do czego to podobne!

Rzekłszy to, umilkł, w umyśleniu kreślił laską dziwaczne jakieś znaki po ziemi, wreszcie, jakby sobie coś nagle przypomniał, podniósł się i rzekł:

— Powiedziałem głupstwo, nonsens, i odwołuję moje słowa. Niech wyjeżdża, niech idzie za mąż, cóż mnie do tego? jakie prawo mam się w to wtrącać? Młoda, niezależna, piękna, świat przed nią otwarty.

— Młoda i niezależna, zapewne; ale do piękności jej daleko. Nie przeczę, że przystojna.

— A! przepraszam, to rzecz gustu; według mego zdania, jest to osoba pełna wdzięku i ma jakiś szczególny, niewysłowiony urok...

— Jestem w domu, i rozumiem teraz, dla czego doktór nie stara się ani o pannę Eudoksyę, ani o pannę Anielę, dla czego głuchy jest na namowy panny Gracyi, a nawet mojej żony i babci. Ale ostatecznie, o cóż chodzi? Do Gza nie tak daleko; zacząć bywać i oświadczyć się; nie sądzę, żeby były nadzwyczajne trudności.

Doktór westchnął.

— Ej, widzę — odezwał się pan Jan,— że nie jesteś pan dobrodziej śmiały.

— Niestety! mówiłem ci już, że pod tym względem istotnie brak mi odwagi. Słuchaj, panie Janie, w zaufaniu ci to powiem, jako przyjacielowi, ufając, że tajemnicy mojej nie zdradzisz; wszak prawda?...

— Czyż pan możesz o tem wątpić?

— Więc dowiedz się, odkrywam przed tobą moje najskrytsze myśli, z któremi od kilku lat już bój toczę. Jeżeli ożenię się, to tylko z tą kobietą, z inną nie. Ona wywiera na mnie dziwny wpływ, magnetyzuje mnie swemi oczyma, z blizka i z odległości. Tego nikt nie wie, tylko ja i ty, panie Janie...

— A ona?

— Nie wiem. Odwiedzam ją nieraz, nawet dość często, rozmawiam z nią, zachwycam się i, po każdej bytności, wracam do domu, jak pijany. Wiesz co? przyszedłem do wniosku, że są pod tym względem pewne prawa, niewzruszone, z pod których nikt wyłamać się nie może. Prędzej czy później doścignę one człowieka, a jeżeli wykręcał się od nich przez czas dłuższy, to się zemszczą nad nim. Ja jestem w podobnem położeniu. Przez wiele lat nie poddawałem się temu prawu; zdawało mi się,

że sam sobie mogę wystarczać, że praca, nauka, wreszcie rozrywka i odpoczynek, wypełnią mi życie. Ugruntowałem się nawet w tem przekonaniu i śmiałbym się z człowieka, któryby twierdził, że się mylę... Teraz widzę, żem był w błędzie: czuję dokoła siebie próżnię, widzę, żem zmarnował życie, żem je źle, zupełnie źle urządził.. Cóż dziś jestem? nic. Jednostka, nawet nie jednostka, ale zero; dla kogo żyję? — dla nikogo...

— Dlaczego jej pan tego nie powiesz?

— Nie śmiem.

— Zabawne to, doprawdy — rzekł pan Jan — i gdyby nie szczera sympatya, jaką żywię dla ciebie, kochany doktorze, gotówbym żartować z tej nieśmiałości. Trzeba być odważnym i raz się zebrać na krok stanowczy.

— A potem co?

— Ożenić się.

— A jeżeli nie?

— Naprzód nie widzę racyi, dlaczego miałoby być „nie", a choćby, w najgorszym razie, spotkała pana rekuza, to, mojem zdaniem przynajmniej, lepiej już raz dowiedzieć się, aniżeli żyć w niepewności i zawieszeniu.

— Daj pokój, kochany panie Janie, nie znasz się na tem. Sądzisz po sobie, a ty i ja—to wielka różnica! Szedłeś na pewno, wiedziałeś, że masz sympatyę, nie wątpiłeś o wzajemności. Ja w zupełnie innych jestem warunkach; jedno niebaczne słówko może mnie pozbawić wszystkiego — nawet nadziei i złudzeń, a ja tego pozbywać się nie chcę. Śmiesznem ci się wyda, że ja, człowiek trzeźwy, praktyczny, niemłody, opowiadam ci takie historye, ale cóż robić, wola moja jest zbyt słaba, abym mógł zapanować nad sobą.

Doszli do dworku; doktór posmutniał i zasępił się, dopiero rozpogodził czoło, gdy mały Józio zaczął się do niego przymilać.

Po odjeździe doktora, pan Jan zamknął się w swoim pokoju, rozłożył księgi i regestra gospodarskie, zaczął rachować. Dodawał, odejmował, robił różne notatki i wyliczenia, a przytem tarł czoło i zamyślał się ciężko. Snadź, że go jakaś troska trapiła, że cyfry nie mówiły mu tego, czego się może spodziewał. Ciężka bo z niemi walka; są one zimne, nieubłagane, w wyrokach swoich stanowcze. Trzy od dwóch, powiadają, nie można—i rzeczywiście nie można, choć-

by człowiek krwawemi łzami płakał, choćby mur głową rozbijał. Pan Jan ani pierwszego, ani drugiego nie czynił, lecz wszelkiemi siłami dążył do tego, żeby owe dwa, od których trzeba koniecznie trzy odjąć, zamienić choćby tylko na trzy. Niechby wreszcie pozostało zero, i to już rezultat szczęśliwy! Dobija się tak o to od lat kilku, ale widzi, że i to skromne marzenie jest nie do osiągnięcia. Gospodaruje, jak umie, a ludzie powiadają, że dobrze umie; robi wszystko co można, stara się, zabiega; równo ze słońcem wstaje, późną nocą na spoczynek chodzi, nie wyręcza się nikim, sam wszędzie jest, sam pilnuje, dogląda. Wychodzi w pole, widzi, że tam nieźle, że praca nie idzie na marne, i otucha wstępuje w jego serce. Budzi się w nim energia, przychodzą myśli świeże: jeszcze to, jeszcze owo zrobić, zaprowadzić, ulepszyć. Może będzie lepiej, może nareszcie przyjdzie ten upragniony rezultat — zero. Inaczej marzyło się przed laty pięciu, inaczej dziś, a jakie marzenia będą dalej, za lat dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, któż to odgadnąć może?...

Bywało, powróciwszy po całodziennej pracy do domu, porozmawia z żoną, popie-

ści dzieci i czuje się ukrzepionym, na duchu silniejszym—lecz, zamknąwszy się u siebie, wejrzawszy w księgi, porozmawiawszy z cyframi, widzi, że nie jest tak, jak sobie wyobraża, że czekają jakieś nowe, nieprzewidziane wydatki, że owo fatalne trzy od dwóch, ciągle, na każdym kroku się nasuwa.

Marszczy więc biedny człowiek czoło i myśli, a ta zmarszczka rzeźbi się coraz głębiej i głębiej, i już nie rozgładza się wcale.

W miasteczku, najbliższem Stawisk, mieszka żyd stary, Wigdor Maneles, niegdyś handlarz, kupiec, spekulant, dziś używający spoczynku, dziadek licznych wnuków i prawnuków, pierwsza osoba w ostatniej mieścinie. Używa powszechnego miru i poważania w kole współwyznawców, a nawet i chrześcianie źle o nim nie mówią. Może za dawnych czasów, gdy na własną rękę interesa prowadził, gdy się dorabiał majątku i na dwukołowej biedzie, okolice objeżdżał, może wówczas, powiadam, zdarzyło mu się kogoś oszukać, procent wielki zedrzeć—jak zwyczajnie w handelku. Ale dziś, stary Maneles już żadnych interesów sam na siebie nie robi, nawet zboża nie kupuje, tylko odpoczywa i nabożnym się sprawom poświęca. Od rana do nocy siedzi

nad foliantami Talmudu, czyta i rozmyśla, rozmyśla i czyta; czasem wychodzi za miasto, jeżeli pogoda sprzyja, siada pod cieniem drzewa i znowu rozmyśla. Czasem którego prawnuczka czytać uczy, albo też, w szkole siedząc, mądrych opowiadań słucha, lub sam mądre rzeczy mówi.

Dziś już nikt starego Manelesa nie spyta, po czemu jest pszenica, albo jęczmień; lecz gdy idzie o to, ile można dać za tę pszenicę lub jęczmień, na odleglejszy termin, to każdy się starego Manelesa radzi; gdy idzie o to, komu i ile dać kredytu, to opinia Manelesa jest stanowcza. W zwykłych, codziennych sprawach nikt go nie niepokoi, w ważniejszych każdy się do niego ucieka. Jeden jego wyraz więcej niekiedy znaczy, aniżeli długa dyskussya.

Syn starego Manelesa, Abram, także jest już człowiek stateczny, prawie stary, także ma siwą brodę i wnuki, ale w porównaniu z ojcem, uważany jest za dzieciaka. Zawsze nazywają go „młody Maneles."

Doktór Ditto często do Manelesów musi przychodzić, bo stary i młody zapadają na zdrowiu, a synowie, synowe, zięciowie,

córki, a wnuczki delikatne także, dają lekarzowi niemałą praktykę.

Jednego dnia, wezwano doktora do starego, prosząc o pośpiech i mówiąc, że bardzo jest z nim źle. Doktór przyzwyczajony był do takich alarmów, ale poszedł natychmiast. Zastał chorego siedzącego w fotelu; był czerwony i z trudnością oddychał.

— Co to panu? — zapytał Ditto, ujmując go za rękę, by puls zbadać.

— Źle — odrzekł Maneles — bardzo źle.

— Ale cóż właściwie? co panu dolega? co boli?

— Wszystko, panie, a to najbardziej, że dziś jajko chce być mądrzejsze od kury... to mnie najbardziej boli, to, panie doktorze...

— Nie rozumiem...

— Prosty jest interes, panie, mnie gniew szkodzi — a ja byłem przymuszony, musiałem się na tego smarkacza rozgniewać.

— Na kogo?

— No, na Abrama, na mego syna. Wyobraź pan sobie, tu dziś przyjeżdżał ten młody szlachcic ze Stawisk.

— A on tu co robił?

— Pan doktór się pyta, — odrzekł z uśmiechem ironicznym żyd — co pan ze Stawisk mógł robić u młodego Manelesa? Przecież nie przyjechał do niego na herbatę, ani na zabawę—pieniędzy chciał. Co innego można żądać od żyda?

— No, dobrze, ale nie widzę powodu do gniewu...

— Tymczasem ja się gniewałem, ja byłem zły, ja krzyczałem, tak krzyczałem, że aż mnie porwał wielki kaszel, aż mi krew uderzyła do oczu, aż upadłem na krzesło... Oni myśleli, że ja bardzo zasłabłem, posłali po pana, a pan, zawsze poczciwy, nie pyta, kto chory? do każdego śpieszy... Mnie niedobrze, aj, jak niedobrze było, bardzo źle... teraz już cokolwiek przechodzi, ale było źle...

Doktór wziął chorego za rękę i przez jakiś czas patrzył na zegarek.

— Ile pan masz lat?—zapytał.

— No... tyle, ile Pan Bóg dał, nie pamiętam, nie rachowałem... jest ich dużo.

— Stu jeszcze nie ma?

— Pi! pi! chciałbym doczekać, chciałbym mieć to szczęście.

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK „LEKTURA" w Łodzi

— W każdym razie, panie Maneles, strzeż się na przyszłość wybuchów gniewu. Pomimo sędziwego wieku, jesteś jeszcze dość silny i możesz żyć, ale nie unoś się, bo ci to może zaszkodzić. Napij się teraz wody, a później dostaniesz proszki — główna rzecz — bądź spokojny.

— No... ja przecież już jestem spokojny, tak dalece spokojny, że mogę mówić o tem, co było. Nie jestem młodzik, mogę wybuchnąć gniewem, ale prędko stygnę. Co pan chcesz, jak człowieka nagle co kolnie — to człowiek krzyknie, a jeżeli ciągle kole, to człowiek stęka z bólu. Mnie i nagle kolnęło i ciągle kole... więc krzyknąłem — a teraz jęczę...

— Mój panie — rzekł doktór — przepraszam za ciekawość moją, może zbyteczną, ale wymieniłeś nazwisko człowieka, z którym łączy mnie przyjaźń — jaki ono związek mieć mogło z pańskiem uniesieniem? Czy możesz mi to powiedzieć?

Maneles skinął na domowników, żeby wyszli. Poprawił się w fotelu i, zniżając głos, rzekł:

— Ja mogę panu powiedzieć i to, i drugie i dziesiąte; mogę panu powiedzieć dużo, bo wiem, do kogo mówię. Jednemu nie

idzie do głowy małe ziarnko, drugiemu idzie cała góra; jeden nie widzi całej góry, drugi dostrzega ziarnko piasku. Pan masz głowę otwartą, pan ziarnko dojrzysz. Posłuchaj pan: kto długo żył, dużo słyszał, kto dużo słyszał, dużo wie. Ja żyję długo, przez ten czas widziałem dużo ludzi i dużo interesów i przekonywałem się z każdym rokiem, że świat do lepszego nie idzie. Owszem, on wcale na gorsze się przerabia. Ja nie będę panu opowiadał o tem, że panowie podupadli, że teraz dobrych interesów nie ma, że cały handel się popsuł, pan sam to wiesz; ale tego może pan nie wiesz, że się nasi żydzi popsuli; przez to ja cierpię, przez to stękam. Dawniej mówiono, że żydzi są gałgany, i w tem było bardzo mało racyi, teraz jest w tem dużo racyi; a jeżeli dalej tak będzie szło jak teraz, to z czasem będzie cała racya! Ja nad tem płaczę, ja modlę się, żeby do tego nie doszło.

Rzekłszy to, stary Maneles westchnął, odpoczął przez chwilę i znów zaczął:

— Nie będę panu opowiadał, co oni zaczynają wyrabiać z naszym starym zakonem, to nie przy panu pisane i pan się na tem nie pozna; dość będzie, gdy powiem, że oni go psują, oni go zaniedbują, a stoi

w księgach, że zguba żydów może wyjść tylko od żydów... Słyszy pan? to się już zaczyna! Musiałbym długo mówić i długo tłómaczyć tę rzecz ale ona pana nie obchodzi, ona należy do nas; powiem więc o tem, co należy i do nas i do was. Weź pan dwie kwarty, zwyczajne blaszane kwarty, niech jedna z nich będzie cała, druga dziurawa. Całą kwartę napełnisz pan drobnemi kropelkami, dziurawej nie napełnisz całą rzeką. Człowiek też może być uważany za kwartę: który wymaga mało, będzie lada czem nasycony, który jest chciwy, niczem się nie zaspokoi.

— Prawda to jest, panie Maneles, ale...

— Ale pan nie widzi w tem pana ze Stawisk?

— Istotnie, to chciałem zauważyć.

— Zaraz do niego przyjdziemy. Nie do każdej rzeczy dochodzi się od razu i wprost, a gdy się mówi o dużych pytaniach, o takich, co zastanowienia godne, nad któremi zapłakać można, to trzeba je obejść i z tej i z tamtej strony, obejrzeć z tego i z tamtego boku, i wprost, i na odwrót, i dopiero ma się rzecz gotową. Taki jest nasz sposób myślenia, stary, wypróbo-

wany, wypraktykowany przez mądrych ludzi. My przyjdziemy do młodego pana ze Stawisk i przyjdziemy do mojego gniewu, i do tego, co mnie boli przyjdziemy, ale wpierw zatrzymamy się jeszcze... Widziałeś pan kiedy wilka?

— Nie raz, zabiłem nawet kilku własnoręcznie.

— Więc pan wiesz, że to jest paskudne zwierzę, wielki drapieżnik, on potrzebuje gorącej krwi, żywego stworzenia, on w zębach nosi śmierć.

— Istotnie tak jest.

— Proszę pana powiedzieć mi, ile taki wilk musi zjeść na dzień baranów, żeby był całkiem najedzony?

— Sądzę, że jeden wystarczy mu zupełnie.

— Dobrze, niech będzie jeden. A czy pan widziałeś takiego wilka, coby zjadł dziesięć, albo sto baranów na dzień?

— Pan żartujesz?

— Nie, ja tylko pytam, czy pan widziałeś?

— Nie widziałem.

— Więc można ztąd miarkować, że wilk, gdy zjadł barana, gdy zaspokoił głód, jest syty? całkiem syty?

— No, tak...

— A proszę pana powiedzieć mi, czy pan widział kiedy sytego człowieka?

— Zadałeś mi, panie Maneles, pytanie, na które możnaby długo odpowiadać i jeszcze nie odpowiedzieć wyczerpująco. O ile mi się zdaje, masz na myśli sytość, czy nasycenie w znaczeniu przenośnem, widzę bowiem, że lubisz używać alegoryi.

— Nie rozumiem, co znaczy słowo, które pan doktór wymienił i które ja po raz pierwszy słyszę, ale mogę objaśnić moje pytanie. Da się ono rozumieć i tak i tak. Jeżeli pan doktór myśli o takich, co się najedli jedzeniem i już więcej jeść tej godziny nie mogą, to pan widział nasyconego człowieka.

— Mój panie, widziałem nietylko nasyconych, ale przesyconych, chorujących i często umierających z przesytu.

— No, tak, ale oprócz tego głodu, który można zaspokoić chlebem, i oprócz tego pragnienia, co się da ugasić wodą, człowiek ma jeszcze inny głód i inne pragnienie, a w tym innym głodzie i w tem pragnieniu nie ma granic. To się nazywa chciwość, chciwość, panie doktorze. Nie chcę mówić, że za moich czasów, za dawniejszych

czasów, chciwości między naszymi żydami nie było, ale miarkowało ją trochę sumienie, a trochę rozum. Dziś sumienia się stępiły, a rozum się zaostrzył, oj, i jak się zaostrzył! Dawniej dorabiali się przez lata, dziś są tacy mądrzy, że chcą mieć majątki odrazu — i zawsze im mało, zawsze mało. To są owe dziurawe kwarty, których cała rzeka nie napełni... Oni lubią opowiadać o swojej uczciwości i o swoim rozumie, a po prawdzie są prostaki i głupcy, mają kamień zamiast serca, a w głowach brak im prostego rachunku. Ja to powiedziałem memu synowi, i wnukowi memu też powiedziałem. Był tu dziś pan ze Stawisk, chciał pieniędzy, no, zwyczajna rzecz, on ma ciężary na majątku, on ma żonę, ma dzieci, musi dom utrzymać; chce sobie trochę los polepszyć, chce trochę pieniędzy w grunt włożyć, żeby miał później więcej zboża na sprzedaż; jemu potrzeba, jemu można dać, jemu należy dać i samemu przytem trochę zarobić. U niego pieniądze pewne, bo on uczciwy człowiek. On przyszedł do mego syna, bo gdzież miał się udać? Rozmawiali z sobą obok, w drugiej stancyi — ja ztąd każde słowo słyszałem. Mój syn takiego procentu zażądał, że mi się zimno, a potem

gorąco zrobiło. Dzisiejszą modą, od razu chciał się zbogacić! Targowali się, mój syn nie ustępował, słuchać nie chciał,—tamten pan zabrał się i odjechał. Syn przyszedł do mnie pochwalić się swoją mądrością, a ja mu powiedziałem: „Jesteś baran, jesteś cielak, nie masz w głowie nic! Chwalisz się—czem? Cóżeś zyskał?—nic. Powiadasz, że przyjdzie drugi i da ci tyle, ile żądasz; może, ale to będzie bankrut, u którego ci pieniądze przepadną. Czy, jeżeli masz konia, dobrego konia, co może długie lata pracować i wozić dziesięć centnarów, czy — pytam — włożyłbyś na niego sto centnarów? Nie, bo koń padłby; a dlaczego chcesz, żeby człowiek padł, kiedy możesz mieć z niego pewną i długoletnią korzyść? Gdzie twój rozum? gdzie twój rachunek?" Zgniewałem się strasznie, powiedziałem wszystko, co nakipiało mi w piersi, przeklinałem chciwość, bo z niej cała nasza zguba wyjdzie — i zasłabłem... bo to boli, panie doktorze, to bardzo boli...

Zakaszlał się i, zmęczony, oparł siwą głowę o wysoką poręcz fotelu; doktór wstał, przeszedł się kilka razy po stancyi, a po chwili milczenia rzekł:

— Smutną mi pan powiedziałeś nowi-

nę, panie Maneles. Czyż podobna, żeby pan Jan był w tak złych interesach?

— Ja tego nie mówiłem...

— Jeżeli chciał pożyczać....

— No, to co? to nie żaden dowód, żeby interesa jego były złe. Owszem, tymczasem on ma się jeszcze nieźle, gdybym ja jeszcze handlował, jabym mu dał kredyt, i tani kredyt, i długi kredyt, bo on gospodarz dobry i człowiek rzetelny jest.

— Wybacz pan, ale ja tego nie rozumiem, w głowie mi się nie mieści, żeby ktoś miał się, jak pan powiadasz, dobrze i jednocześnie...

— Szukał pieniędzy u nas, chciał pan powiedzieć?

— Tak, nie wydaje mi się to naturalnem.

— Nie dziw, pan doktór jest doktór, pan się na gospodarstwie nie zna...

— Być może, jednak...

— Ja panu wytłómaczę: Kto ma ziemię, ma dużo ciężaru; kto ma ziemię, nie ma nigdy pewności. Jeżeli, dajmy na to, posiadasz pan list zastawny, to pan wiesz, że dwa razy do roku dostaniesz pan jak najpewniej po półtrzecia procentu; jeżeli pan ma majątek, to się pan też spodziewasz

procentu, ale czy go pan dostaniesz w całości, czy w połowie, czy też wcale go pan nie dostaniesz, niewiadomo. Pracujesz, żeby mieć, dajmy na to, sześć, bo akurat tyle panu potrzeba, tymczasem ziemia dała panu tylko cztery, brakuje dwa. Trzeba łatać, trzeba się ratować... Może drugi rok da, i bywa tak, że da, bywa, że i trzeci da, a czwarty znów odbierze, i znów się trzeba ratować, znów łatać. Ja na takie rzeczy przez całe życie patrzałem i jeszcze trochę patrzę... ale wolałbym nie patrzeć... My dawniej dawaliśmy łaty... dziś nasze dzieci dają zgubę. Tylko tutejsza szlachta może takie interesa wytrzymać... To mocny gatunek ludzi, kiedy potrafi tyle dźwigać, ile nasze żydki nakładą...

— Panie Maneles—rzekł doktór—miałbym prośbę do ciebie.

— Słucham pana.

— Ale czy zrobisz to, czego żądam?

— Ile będzie w mojej mocy...

— Pan masz między swoimi znaczenie, oni pana słuchają, nie daj pan tego człowieka bardzo obdzierać.

— Dajmy na to, że nie dam, że go będę bronił. Obiecuję to panu, ale ta obrona niedługo potrwa, bom ja stary i słaby, a gdy

mnie zabraknie, oni będą robili po swojemu. Oni dużo zechcą kłaść na niego, bo wiedzą, że to człowiek mocny, on za kilku udźwignie.

— On mocny, powiadacie, dlaczego? taka siła w nim jak w drugim, trzecim, dziesiątym. Czem-że się on tak dalece od innych wyróżnia?

Maneles siwą brodę pogładził.

— Panie doktorze—rzekł Maneles,—ja się na tem znam, bo ja dużo w mem życiu miałem z ludźmi do czynienia, dużom ich widział i dużo rozmyślałem. Są gatunki ludzi, tak samo jak gatunki towaru; jeden słaby i nietrwały, jak ta nić, co ją pająk robi; drugi twardy jak stal. Ten pan, o którym mówimy, jest z twardego gatunku. O tem można dużo powiedzieć, i ja chciałbym panu dużo powiedzieć, bo pan moje słowa zrozumie, pan jest uczony i w swoich doktorskich interesach i tak... ale może ja pana nudzę, może pan się śpieszy?

— Nie, owszem, posłucham chętnie, panie Maneles, ta kwestya interesuje mnie bliżej.

— Niech pan doktór pozwoli szklaneczkę wina, mam dobre, stare wino.

Rzekłszy to, uderzył kilka razy tabakierką w stół. Natychmiast weszła stara żydówka w jedwabnej peruce, w czepcu z jaskrawych wstążek. On szepnął jej parę słów, wyszła i powróciła niebawem, niosąc na tacy flaszkę, dwa kubki kryształowe i piernik na srebrnym talerzu. Maneles powstał, nalał wina w kubek i przed doktorem postawił.

— Niech pan pije na zdrowie. Ja się dziś bardzo rozgadałem. Najczęściej to ja jestem sam jeden i nic nie mówię, tylko czytam i myślę, myślę i czytam; ale czasem przychodzi taka chwila, że chciałbym mówić, i dużo mówić, i wypowiedzieć to, co w mojem myśleniu, w mojej starej głowie się nazbierało. Wiadomo panu, że nie do każdego człowieka warto się odzywać. Są tacy, którzy mają ciało żyjące, a głowy umarłe są, w których dusza siedzi w palcach, a mózg w kieszeni; są i tacy, którzy widzą kawałek swego nosa, widzą miskę z jedzeniem, rubla na stole, ale na resztę mają ślepotę na oczach. To są barany, które idą w stadzie, nie myśląc, zkąd stado wyszło i dokąd zajdzie; aby miało dużo trawy, to im i dość! Mówić do takich, a do martwej ręki, to jedno. Na nieszczęście, takich ludzi jest na świecie coraz więcej.

— Masz pan najzupełniejszą słuszność, rzekł doktór.

— Ja o tem wiem, ja mam słuszność, dlaczego nie mam jej mieć? Tyle lat przecie myślałem i tyle lat kładłem sobie do głowy to co w księgach stoi, co mądre jest, co idzie, chociaż przez ludzi, ale nie od ludzi, tylko od samego Pana Boga. Trzeba panu wiedzieć, że w tych księgach, o których wspominam, wszystko jest: i to co było, i to co teraz jest, i to co będzie nawet, tylko trzeba umieć czytać, trzeba umieć wyszukać i przypasować co do czego należy. Wierz mi pan, panie doktorze, że nie jest żadna rzecz, któraby już nie była, i żadna myśl, któraby już nie była, i żaden interes, któryby nie miał wypraktykowania. Nie ja to powiedziałem, nie ja, marny żyd, kapociarz, ale wielki król Salomon rzekł: „Nic nowego pod słońcem;" to znaczy, że wszystko już było: i wielka złość ludzka, i wielkie grzechy ludzkie, i wielka pycha i chciwość ludzka, i wszystko paskudztwo ludzkie, i wielki gniew Pana Boga i wielkie Jego miłosierdzie. I od początku powtarzało się to samo, i szły na ludzi łaski i plagi, i znów łaski. Po niewoli egipskiej był Chanaan, potem znów niewola, i znów swoboda

i znów klęska, i znów rozproszenie po świecie. Widzę, że pan doktór poruszył się na krześle, że pan chce mi przerwać.

— Ależ nie.

— A ja widzę, pan chce powiedzieć, że ja tylko o żydach mówię. Nie, ja o wszystkich narodach powiadam. Pokaż mi pan jeden, któryby nie miał swego Egiptu i swego Babilonu, i swego rozproszenia, i swego cures i swego gzojres; aleco ja gadam? pan nie rozumiesz tego. Będę mówił jaśniej. Nim nastanie dzień, to musi być przedtem noc, a nim nastanie noc, to musi ją dzień poprzedzić. Po burzy jest pogoda, po pogodzie burza. Wiadomo panu zapewne, że jest siedmdziesiąt wiar i siedmdziesiąt języków, od Pana Boga wszystkie. Każda wiara, i każdy język, i każdy naród ma swoje złe i dobre, żaden nie zostawiony bez pomocy. To tak samo jak pan widzi na świecie: wilk ma zęby, wół rogi, a koń kopyta i przez to oni mogą bronić się i żyć. Dajmy na to, jest Anglik, on ma swój handel, i, dajmy na to, Francuz, ma swój rozum, Niemiec pracowitość; nasz szlachcic, nasz chłop ma żelazną trwałość...

— A cóż wy macie?

— My? pan o żydkach mówi?

— Tak...

— Nie potrzebuję panu opowiadać, bo pan to i sam dobrze wie, że my dostaliśmy więcej niż inni. My idziemy od Jakóba, inne narody od Ezawa, a Jakób miał pierworodztwo. To co my mamy, nam się z prawa należy.

— Ale co?

— Nie będę panu długo o tem mówił, bo moja mowa do czego innego idzie; Pan Bóg wiedział co nam dać. My nie mamy ziemi, nie mamy króla, nie mamy świątyni, my rozsypani jesteśmy po świecie; w naszej ziemi siedzi Turek, nasz król nie jest, a z naszej świątyni jest kawałek muru, pod którym tylko pielgrzymi płaczą, ale przecież my jesteśmy, myśmy nie zginęli, bo Pan Bóg, odebrawszy nam to, co każdy naród ma, dał nam to, czego żaden naród nie ma... Czytałeś pan zapewne historyę?

— No, naturalnie.

— Czytałeś pan o różnych ludach, które wojowały z żydami... no, choćby Filistyny i i inne, choćby nawet Rzymianie...

— Czytałem.

— To były wielkie narody! miały wojska i pieniądze i moc swoją miały, a dziś ich niema, śladu nie zostało!

— To prawda.

— A żydy dotychczas są; dlaczego są? to ja panu doktorowi powiem. Oni nie mają ziemi, ale mają coś lepszego niż ziemię, oni mają to, czego żaden naród niema.

— Cóż takiego?

— Bagatelny interes, im Pan Bóg dał kawałek dobrego kitu...

— O czem pan mówisz? ja pana nie rozumiem.

— Prosta to rzecz, panie doktorze, żebyśmy nie mieli połączenia z sobą, to jużby nas dawno nie było. Jeden żyd być nie może, musi ich być gromada; a ta gromada jest jak jeden żyd; a dużo gromad, to też nie dużo gromad, tylko jedna gromada, a ta jedna wielka gromada, to także jeden żyd. Dziś to się po trochu psuje, bo i wszystko psuje się na świecie, są gałgany co się od gromady odczepiają, i każdy taki odczepiony, to już nie żyd... Nas jedność trzyma, bo żyd sam w sobie całkiem bezsilny i martwy. Onby nie wytrzymał dziesiątej części tego, co każdy szlachcic wytrzyma; onby nie podźwignął i nie zniósł dziesiątej części tego, co chłop zniesie. Pan Bóg wiedział co robi: dał nam jedność, i przez to mamy życie. Bez ziemi, bez siły, z odrobiną

grosza żyjemy, i dobrzebyśmy żyli i mielibyśmy spokój, gdyby nie chciwość, nie dziurawa kwarta... Ja im o tej kwarcie zawsze powtarzam, tym młodszym, ale im się zdaje, że oni mądrzy są, że zaarendowali wszystek rozum... Źle się dzieje, panie, bardzo źle...

Oparł głowę na piersiach, wyczerpany długiem mówieniem, ciężko oddychał.

Doktór podniósł się z krzesła.

— Pan się połóż — rzekł, — wypocznij, zmęczony jesteś; na pogawędkę ja tu przyjdę kiedy, na dziś dość. Strzeż się pan uniesień i gniewu, a o obietnicy, jaką mi dałeś, nie zapominaj.

— Będę pamiętał, panie doktorze, niech ten pan przyjedzie pojutrze. Moja w tem głowa, żeby oni z nim inaczej gadali, niż dzisiaj.

Noc letnia, ciepła, gwiazdy świecą wysoko, lekka mgła wlecze się nad łąkami, wiatr ucichł, z liśćmi nie igra, wody nie marszczy.

Po grobelce wlecze się wóz, zaprzężony w jedną szkapinę, dwóch chłopów na nim siedzi. Obaj, zdaje się drzemią, a koń, nie przynaglany do biegu, idzie, łeb zwiesiwszy, powoli... Pachnie mu trawa w rowie, radby skręcić, boi się. Porusza dolną wargą obwisłą, jakby coś szeptał, czasem łbem kiwnie, stęknie i wlecze się dalej drogą dobrze mu znaną. Jeden chłop przebudził się i ziewnął przeciągle, głośno, a potem zaraz prawą rękę wzniósł do góry i szeroko otwarte usta przeżegnał, żeby w nie złe nie wpadło.

— Tęgo wam się spać chce, kumie —

ozwał się drugi, również głośno ziewnąwszy.

— A jużci, po gwiazdach miarkując, dobrze koło północka już będzie.

— Pewnie, że będzie. Co to teraz noc, nie użyje człek spania, ledwie wieczór, już i świt. Jarmark niezgorszy dzić był.

— Boć niezgorszy prawdziwie, nie tak podług dobytku, bo i mało kto teraz chce sprzedawać, jak podług drobniejszej potrzeby. Kosy, sierpy kupowali na urząd.

Umilkli. Jeden wydobył z zanadrza kromkę chleba i jadł.

Naraz, dostrzegli jeźdźca pędzącego galopem od strony łąki.

— Licho jakie, czy co? Widzicie, kumie?

— A dyć widzę, nie żadne to licho, tylko dziedzic.

— Niewola mu tak uganiać po nocy?

— Oho! nie wiecie? patrzy, czy kto nie pasie koni na łąkach. Mojego chłopaka raz tylko co nie ujął, jeno że się dzieciak wczas spostrzegł, bryknął na szkapę i uciekł. Gnał za nim chyba z pół mili, aż ziemia jęczała, ale że chłopak mądry, nie uciekał drogą, tylko bez krzaczki.

— O, wasz Wojtek na wszystkie cztery nogi kuty.

— A jeno! ale co strachu miał, to miał; powiada: Tatulu, drugi raz nie pojadę ja w jego łąki, chyba, że noc będzie całkiem ciemna i deszczowa.

— Dojrzy on i w nocy! Pamiętacie, jak Maćka Gdułę pojmał? ciemność była taka, choć oczy wykol, a dla tego wypatrzył.

— Ha, ale z fornalami był, nie sam.

— Jużci on napewno wtedy szedł, wiedział, że go złapie. Okrutnie swego pilnuje; z lasu, to nawet patyka trudno ściągnąć. Jeśli czasem się chlaśnie chojaczka, albo dąbek, to w innej stronie, u niego nic.

— Gajowych ma zawziętych.

— Nie byliby oni tacy, żeby ich nie pilnował. Wiadomość, jaki pan, taki kram. Dziwu nie ma, że za swojem obstaje, powiadają przecie, że kijem tego, co nie pilnuje swego.

— Toć prawda, ale zawdy po ludziach bywa inaczej. Panowie śpią, nie latają po nocach.

— A wy to, kumie, nie wstajecie no-

cą? nie patrzycie, czy wam kto zamku od stajni nie maca?

— Jużci wstaję i patrzę, bo koniowinę mam jedną, zginąłbym bez niej, a jemu co? choćby mu ścięli ludzie kilka sosen, on panem będzie, jak i był.

— Dla tego gospodarz on niezgorszy.

— Pewnie, że niezgorszy, mój kumie, u niego zawsze wszystko na czas: i rola doprawiona, i zasiane, i zawleczone, i zżęte, marudzenia nie lubi.

— Łońskiego roku niemało stert nastawiał po polach, a gdzieindziej tak nie było.

— Wyspekulował! chytry szlachcic je.

— Ale niezgorszy. Pamiętacie jak się Florkowi budowle popaliły jesienią, to mu troje bydła na zimowlę wziął, całkiem darmo, nawet odrobku nie chciał.

— Jużci, co prawda, to prawda.

— A i Maćkowi nieraz co uświadczył.

— No, świadczył, wiadoma rzecz... ale za szkodę szkaradnie zawzięty, marnego patyka nie daruje. Ciekawość, gdzie on tak pogonił tera?

— Ha, jak zawsze, granicami przeleci, na łąkę zajrzy, pod las podjedzie; posłucha,

czy kto siekierą nie ciapie, czy się jakie wozisko nie tłucze po leśnych korzeniach. Nie bójcie się: u takiego pana to i gajowy nie zaśpi, przed nocą jest w obchodzie—pilnuje!

Chłop znowu ziewnął przeciągle, spać mu się chciało, oczy przecierał; rozmowa nie kleiła się. Kumowie zaczęli się kiwać na wozie.

Jeździec tymczasem, tak jak chłop mówił, pędził granicami, zatrzymał się na łące, potem pod las podjechał i nasłuchiwał, czy kto siekierą nie ciapie.

Cicho było, zwrócił więc konia i wyciągniętym kłusem, polną dróżką, ku folwarkowi dążył. W kwadrans potem, we dworze w Stawiskach w jednem oknie błysnęło światło, ale zgasło zaraz. Widocznie ten kto je zapalał, zasnąć chciał.

Niedługa bywa noc w lecie. Jak słusznie chłopi mówią, ledwie się człowiek układzie, już i wstawać musi; ledwie się ściemni — już i świt.

Gwiazdy długi wypoczynek mają, pokażą się na niebie, pomrugają trochę, parę godzin zaledwie i nikną. Spędza je ten świt jasny, który się już o drugiem pianiu kurów zaczyna i okazuje się na wschodzie

bledziuchny, potem mieniący się w różne barwy, posrebrzany, różowy, złocony... i wkrótce po nim jasność nastaje, niebo w purpurę obłóczy, szkarłatem się po białych chmurkach rozleje.

I za tem srebrzeniem, złoceniem, różowieniem, za tą purpurą i szkarłatem w ślad, wychyla z po za lasu głowę swoją słońce, i leją się blaski, blaski i jasności takie, że człowiek patrzeć na nie nie może i musi powieki przymróżyć. Kładą się po ziemi cienie od drzew, wydłużone niezmiernie, kładą się na zagonach, na drogach. Od domów, od stodół, kanciaste, szare plamy leżą, a to słońce świeci i świeci coraz wspanialej, coraz jaśniej.

I wszędzie jest obecne, wszędzie wchodzi: do wnętrza lasu przez czarne konary sosen się przedziera, między leszczynowe gałęzie, między paprocie się wślizga, małe kwiateczki leśne, czerwone poziomki całuje, w krople rosy się wciska i całe je światłem swojem wypełnia, wody strumieni przenika tak, że i kamyczki na dnie, i drobne rybki, i te rośliny, co w wodzie żyją, a tylko liściem lub kwiatem na jej powierzchnię wychodzą, — widzieć daje.

Ono świat cały napełnia i przenika; snopek jasnych promieni na wieżyczce kościelnej, na złoconym krzyżu zawiśnie, i do piwnic, do pieczar, do mysich nór zajrzy, i do gąszczów się wedrze, i wszędzie go pełno, jak mocy Bożej, jak niedoli ludzkiej.

W kropli rosy się przejrzy, kielich drobnego kwiatuszka zgłębi, różę zarumieni, skromne pyłki z trawy dobędzie, niezabudkom nad wodami kwitnącym modrości doda. Ptaszęta pobudzi, śpiewać im każe, bujać w przestworzach, wywoła z larw szpetnych różnobarwne motyle, pszczołom skrzydełka pozłoci i tak wszelkie stworzenie żyjące rozrusza, że robi się gwar, szum, śpiew, i wszystkie te głosy, głosy radości, smutku, narodzin i konania, łączą się w przecudny chór, harmonijny, wspaniały, potężny.

Ono to promieniami jasnemi uderza w okna ludzkich siedzib i mówi: „Wstawajcie ze snu! idźcie na pola, tam, gdzie robota was czeka"!

I przebudzają się ludzie, jedni z uśmiechem, inni z westchnieniem, tamci ze łzami, a jeszcze inni ze spokojem pozornym, z rezygnacyą.

Takich podobno najwięcej.

Są oni niby woły robocze, idące z głowami schylonemi do jarzma, gotowe ciągnąć pług przez ciężką rolę, ciągnąć go od świtu do nocy, z tem przekonaniem, że jutro ich czeka to samo, i pojutrze, i za rok, i za dziesięć lat, tylko że rola z każdym dniem będzie cięższa, a siły wciąż słabsze.

Do takich to, co rano, słońce wschodzące mówi: „Wstań! otwórz oczy, wyprostuj grzbiet zgarbiony i idź, odwalaj ciężkie skiby życia, jednę po drugiej, jednę po drugiej, aż póki do ostatniej nie dojdziesz, oraczu...”

I idzie oracz ów, i skiby odwala, i nadzieją rychłego końca się cieszy. On już przywykł do tej orki codziennej; z początku dźwigał pług swój, dzierżąc głowę do góry, patrzał przed się hardo, ale z biegiem czasu, opuszczać coraz niżej ją zaczął. Pocił się, później pocił się krwawo; a później wcale już nie. Zrobił się jak kamień, zesztywniał, możnaby mniemać, że mu ręce do pługa przyrosły, że jednę z nim całość stanowi.

Jak to jednakowo się dzieje! I młody wolec szarpie się z początku, rzuca łbem, wierzga, błyska krwawemi ślepiami, gdy go mucha ukąsi, a potem, choć go obsiądą całe gromady bąków i ślepaków, choć

tną go do krwi, on ciągnie i nie ogląda się nawet...

Słońce i do dworu stawiskiego wpadło. Jedynie w pokoju dziatwy napotkało na opór w postaci ciężkich, ciemnych rolet, i tylko przez maleńką szparkę rzuciło jedną złotą plamę na ścianę; zresztą wszędzie miało wstęp swobodny. Zbudziło pana Jana, babcię, panią Maryę, pannę Gracyę, wyciągnęło z ogromnego łoża Kurpielską i, zaraz w całym domu zrobił się ruch, krzątanina, życie.

Pan Jan na folwark wyszedł. Żóraw studzienny skrzypiał, a skrzypiał, wciąż czerpiąc wodę ze studni, dla bydła, dla koni, dla owiec; wśród budynków rozbrzmiewał donośny, tubalny głos Muchowicza.

Ten Muchowicz był to człowiek średniego wzrostu, niezmiernie krzepki, barczysty; ile miał lat, trudno było rozpoznać, i on sam tego nie wiedział. W Stawiskach od lat dziesięciu był przy gospodarstwie, do budzenia ludzi, do dozoru, do deptania po piętach. Nie obrażał się, gdy go rządcą nazywano, choć właściwie niczem nie rządził; o tytuł ekonoma gniewał się, za zbyt podrzędny go uważając, Kurpielskiej an-

typatycznie nie cierpiał i wieczne wojny z nią toczył.

Mówił basem, tak głośno, że go o wiorstę było słychać; klął piorunami, siarką, smołą, marnością, nieszczęściem — i pod tym względem miał repertuar niesłychanie bogaty. Zdawało mu się, że przy takim wrzasku, krzyku, pogróżkach, wszystko w gospodarstwie inaczej idzie, że woły prędzej stąpają, konie wyżej łby noszą, a nawet marne owce w owczarni, lepszą chęć mają do jadła, słysząc, że ktoś wszystkich, a więc i owczarza, przeklina.

Taką miał metodę. W obecności pana Jana, cokolwiek głos zniżał, ale, gdy widział, że dziedzica nie ma blizko, wstrząsał wrzaskami powietrze.

— Co nie ubijesz, to nie ujedziesz— mawiał — a czego nie wykrzyczysz, tego nie masz, a czego nie masz, tego ci nikt nie da...

Muchowicz miał i do spirytualiów skłonność, ale służbista i rigorosus, upijał się tylko w miasteczkach, po za granicami majątku, żeby ludziom przykładu złego nie dawać. Swoją drogą, wiedzieli wszyscy o tej słabostce, i nieraz z tego powodu pan „rządca" przycinek jaki usłyszał. Udawał

wtenczas, że nie rozumie wcale, lub nie słyszy. Głównie dla dwóch zalet pan Jan go trzymał w Stawiskach: dla sumienności i uczciwości wielkiej. Pilnował folwarku, jakby własnego mienia, ani jednego grosza sobie nie przywłaszczył. Gdy pieniądze dworskie miał przy sobie, nie dał się wtenczas skusić, nietylko na zwyczajną siwuchę, ale nawet na ratafię, lub kümmel, które szczególniej lubił. Powiedział sobie: nie i nie—choćby mu głowę uciąć:—nie!

Nieraz dość znaczne sumy przywoził i odwoził, a zawsze się z poleceń najakuratniej wywiązywał.

Pan Jan, wyszedłszy na folwark, ujrzał Muchowicza i spytał go swoim zwyczajem:

— Co słychać?

— Nic, panie dziedzicu... psia kość... pogoda siarczysta... byle tylko deszcz, żeby go wilcy zjedli, nie chciał na wieczór psocić.

— Zresztą nic?

— Owszem, panie dziedzicu. Świtem przejeżdżał gościńcem ten... jakże go tam... żeby mu oko spuchło, Abraham.

— A cóż mnie on obchodzi? przejeżdżał, to przejeżdżał.

— Ale właśnie, jak mię zobaczył, to stanął i powiada, niedowiarek, że tu ma być pojutrze. Pytał, czy pan dziedzic będzie w domu.

— I cóż mu Muchowicz powiedział?

— Żeby mu ręce połamało... rzekłem, że nie wiem. Prorok nie jestem, dziś pan dziedzic jest, to wiem. Mówił, że interes ma i chciał, żeby pan dziedzic dał mu znać, czy pan dziedzic jeszcze jest w chęci jakiegoś interesu. Tyle chciał, rzekłem mu, żeby kark skręcił na drodze i obiecałem, że panu dziedzicowi powiem.

— Dobrze; trzeba, żeby Muchowicz, jutro rano sam wsiadł na konia, pojechał do miasteczka i powiedział Abramowi, że będę czekał pojutrze.

Z temi słowy, pan Jan oddalił się, a ekonom targał wąsy i mruczał.

— Aha, daj wilkowi znać, by do obory przyszedł... niedoczekanie jego! ale pan każe, sługa musi. Dam mu znać, dam, by się w pierwszej wodzie, jaką napotka, utopił, by go...

Sianokosy się zaczynały; ludzie z kosami dążyli na łąki. Muchowicz konno pośpieszał. W pół godziny później, już głos

jego, niby tuba, nad łąką brzmiał i echem się w poblizkim lesie rozlegał.

Pan Jan znalazł się tam również i dopiero koło ósmej na śniadanie do domu przyjechał. Oczekiwała na niego żona, piękna jeszcze, ale zeszczuplała i blada. Na jej czole także troskę znać było. Uśmiechnęła się do męża tym uśmiechem, w którym jest i przychylność, i współczucie, i smutek jakiś zarazem. On ujął jej rękę i przycisnął do ust.

— Dzień dobry, Maryniu — rzekł, — gdzie dzieci?

— Wyszły z panną Gracyą do ogrodu, a maleńki śpi. Może posłać po nie.

— Na cóż? niech się bawią, ja w tej chwili znów jadę.

— Dokąd?

— Na łąki, na obiad powrócę.

— Tak, w lecie jesteś gościem w domu, nie widzimy cię po całych dniach, a i w wieczór; gdy przyjdziesz, to ci obrachunki z ludźmi, wypłata czas zabiera. Mógłbyś się w tem przynajmniej Muchowiczem wyręczyć.

— Co znowu! trzymałby ludzi do północy. Wiesz, że w piórze nie bardzo biegły, a i z rachunkami nie dałby sobie rady.

— To ja pomagać ci będę.

— Masz ty dosyć własnego zatrudnienia, moje dziecko; gdzieżbym mógł pozwolić, żebyś mnie miała wyręczać? Ja sobie dam rady, aby jeszcze ten rok... tylko ten.

— A później?

— Później będzie lepiej.

— Biedaku! powtarzamy to sobie od lat kilku, i zawsze jest to samo. Powiedz mi, Janku, od kogo list otrzymałeś onegdaj?

— Jaki list?

— Nie pamiętasz już? z poczty. Widziałam go przecież, pismo zupełnie mi obce.

— To był list od Sakłakowskiego.

— Zapewne upomina się o procent?

— Gdyby tylko! Płaciłem mu zawsze najpunktualniej. On, moje dziecko, kapitału chce, mówi, że córkę za mąż wydaje, że przyszłemu zięciowi posag ma wypłacać, że na to funduszów nie ma i stanowczo żąda zwrotu sumy. Notabene, to już nie pierwszy list, pisał już o to samo przed miesiącem.

— I nic mi nie mówiłeś?

— Byłaś wówczas chora, nie chciałem cię martwić; zresztą, myślałem, że da się to

odrobić. Odpisałem, że gotów mu jestem dać cokolwiek większy procent, byle mi choć jeszcze na rok prolongował, że ja teraz gotowizny nie mam, że nie byłem na taki wypadek przygotowany, że to, że owo... i wszystko na nic.

— Na nic?!

— Niestety, — odpisał mi właśnie, iż pomimo najszczerszej chęci, zmienić swego żądania nie może, bo interesa jego rodzinne wymagają kapitału, że, że... jednem słowem, pięćdziesiąt powodów, z których ani jeden prawdziwy nie jest, ale to postaci rzeczy nie zmienia. Tak, czy owak, zapłacić trzeba, bo inaczej...

— Przypuszczasz, że będzie procesował.

Pan Jan uśmiechnął się gorzko.

— Co też mówisz, moje dziecko — rzekł, — gdzieżby znowuż pan Sakłakowski, taka zacna dusza, taki prawy człowiek, miał się plamić procesem?! On się takiemi rzeczami brzydzi, onby przechorował podobny wypadek.

— Więc?

— On tylko, przyciśnięty gwałtowną potrzebą, w konieczności ostatecznej, sprzeda osobie trzeciej swoją sumę, ma się rozu-

mieć, fikcyjnie, i ubolewać będzie, że ta trzecia osoba, ten człowiek bez serca, nie ma względu na takich godnych, zacnych ludzi, jak my. Cóż to, nie znasz Sakłakowskiego i jego sztuczek?

— I cóż ty zrobisz, biedaku?

— Otóż to, że jeszcze nie wiem. Wypadnie pożyczyć; krzątałem się już koło tego, byłem tu i owdzie, zaczepiałem Manelesa, ale ten żądał niemożliwego procentu, więc dałem za wygranę. Dziś przez Muchowicza zapytywał, czy jeszcze jestem w chęci traktowania o interesie — kazałem go prosić, żeby przybył do Stawisk. Jeżeli opuści trochę ze swoich żądań, to naturalnie skończę z nim, aby się pozbyć tamtego, ale to będzie drogo, drogo kosztowało; do ciężarów istniejących przybędzie nowy.

— Mój ty biedaku, kiedy nam lżej będzie?—zapytała z westchnieniem.

— Powtarzam ci, aby jeszcze ten rok, ten tylko. W polu bardzo ładnie, na łąkach trawa w pas, jakoś zapowiada się niezgorzej.

— Daj Boże, mój Janku, daj Boże.

— Do widzenia, kochana — rzekł pan Jan wstając — trzeba iść, ludzi mamy dziś dużo przy robocie.

Ucałował szczupłą rękę żony i wyszedł. Pani została sama. Oparła głowę na rękach i wpadła w głęboką zadumę. Ktoby ją obserwował zdaleka, taką zamyśloną a piękną, ktoby wpatrzył się w jej czoło białe, delikatnie zarysowany profil, piękne, jakby rozmarzone oczy, mógłby mniemać, że myśl tej kobiety buja w poetycznych wyżynach, że wybiegła po nad świat pospolity, poziomy, że tonie w zachwycie. Wcale nie. Pod gładkiem, białem czołem odbywała się forsowna praca myśli; ładna głowa była pełna liczb, najzwyczajniejszych liczb i drobnych, groszowych kombinacyj, jakby mały dochód z kobiecego gospodarstwa powiększyć, jakby wydatki domowe zmniejszyć, jedną służącę odprawić, jedną potrawę z obiadu wykreślić, bez nowej sukni się obejść, tanim kosztem ubranie dla dzieci sporządzić. I nie było to chwilowe jej umysłu zajęcie, lecz stałe, codzienne, od lat kilku powtarzające się. Zawsze cyfry, cyfry i cyfry, i oto takie maleńkie, takie drobne, przysłowiowe ziarnka, z których się podobno miary zbierają. Dziś Józio jeszcze nieduży, Zosia jeszcze mniejsza, a najmłodszy w kołysce, prawie nic nie potrzebuje, ależ te dzieci podrosną,

zaczną się kształcić; matka dziś już nad tem się zastanawia. Myśl jej wybiega w przyszłość, ową przyszłość różaną, która z po za cierni teraźniejszości tak ponętnie w wyobraźni naszej wygląda. Ileż to ziarnek trzeba nazbierać, ile trudów jeszcze podjąć, aby do tej przyszłości się zbliżyć?...

Zadumanie matki przerywa mała Zosia. Wbiega do pokoju, jak ptaszyna, ze szczebiotem; tuli się, pieszczot żąda.

— Mamo, mamo, czy to prawda?

— Co, kochanie.

— Czy to prawda, że mamy dziś pojechać na łąki wszyscy, wielkim wozem, i mama, i ja, i panna Gracya, i Józio.

— Któż ci to powiedział?

— Józio. Powiedział, że on będzie grabił, ale i ja chcę grabić. Będę grabiła kwiatki, prawda mamo, że na łące są kwiatki?

— Są, nawet bardzo dużo: czerwone, białe, niebieskie, żółte, małe i większe, i bardzo malutkie.

— To ja wszystkie zgrabię — a mamo! motylki na łące są?

— Są i motylki.

— Czy ładne?

— Bardzo ładne.

— To ja wszystkie dogonię i wszystkie złapię, a jak się pobawię, to je puszczę, niech sobie latają. Dobrze, mamo?

— Dobrze.

— To jedźmy, zaraz jedźmy.

— Poczekaj, pojedziemy, ale wieczorem.

— Dla czego tak późno? Tatuś podobno cały dzień się bawi na łące: słyszała mama? Józio mówił, że będę stawiali stogi takie wielkie, wielkie stogi! Józio powiedział, że on będzie na stogu, na samym wierzchu, tak wysoko! Moja mamo, czy to może być prawda?

— Dla czego nie?

— A jakże się Józio tam dostanie?

— Zobaczysz, bądź tylko grzeczna, to i ty będziesz na stogu, na samym wierzchu, będziesz siedziała tak wysoko, jak bocian na lipie.

Dziewczynka wyrwała się z rąk matki i ucieszona pobiegła do brata, aby podzielić się z nim tą wiadomością, że i ona będzie także na stogu. Przed wieczorem, zajechał przed dwór fornal drabiniastym wozem. Pani Marya, panna Gracya, Zosia i babcia umieściły się na siedzeniach ze słomy, Józio zaś usiadł obok fornala i, jako

mężczyzna, oraz przyszły gospodarz, z wielką dumą trzymał w ręku bicz, który zaledwie mógł udźwignąć w swoich drobnych rączętach.

Łąka szeroko rozciągała się nad rzeką, zapach świeżego siana napełniał powietrze, ludzie układali ogromny stóg.

Wóz wartko toczył się po drodze, następnie wjechał na łąkę, ku wielkiej radości Józia i Zosi. Pan Jan znajdował się przy robotnikach, Muchowicz, na widok pani uciszył się trochę i kląć przestał.

Sliczny wieczór był tego dnia, pogodny, cichy, bez wiatru; ledwie kiedy niekiedy listek się poruszył na krzakach. Słońce zachodziło w blaskach i purpurze, ruchliwa fala rzeki przelewała się srebrem, rzucając białą pianę na muszle i kamyki nad brzegiem leżące. Małe ptaszki przelatywały z krzaczka na krzaczek, z gałęzi na gałąź, różnobarwne motyle unosiły się nad łąką.

Zosia zapytała o kwiatki i spotkał ją zawód. Nie ma już kwiatków, padły biedne, podcięte ostremi kosami, padły razem z trawą, wśród której rosły. Słońce je wysuszy i ze ślicznych kwiatków będzie siano. Zosi jest to bardzo przykro, pociesza się tem tylko, że nad rowem, gdzie nie koszą,

są niezapominajki, także bardzo ładne kwiatki, które i mama szczególnie lubi. Dziewczynka pobiegła je zrywać, wtem słyszy zdaleka głos i śmiech braciszka.

— Zosiu, Zosiu, patrz, gdzie ja jestem!

Szczęśliwy, on już na stogu! na takim ogromnym, wielkim stogu. Dostał się na owe wysokości przy pomocy fornala i teraz tryumfuje. Zosia zaczyna płakać, ona także chce być na stogu. Muchowicz zrobiłby wszystko dla Zosi; bierze ją więc na ręce i wchodzi na drabinę. Stóg jest duży, można chodzić po nim, jak po pokoju. Tuż przy nim ustawiony jest żuraw, taki sam, jak przy studni, tylko, zamiast wody, podnosi wiązki siana, które parobcy rozkładają na stogu. Skutkiem tego, stóg jest coraz wyższy. W samym środku stogu jest ogromny drąg, około którego można biegać w kółko. Ze stogu widać całą łąkę, krzaki; rzekę, drzewa, które nad nią rosną i las, widać kosiarzy, którzy posuwają się szeregiem. Przed nimi trawa wysoka, gęsta, po za nimi długie, równe pokosy. Czasem który z kosiarzy przystanie, kosę poostrzy i znów kosi, towarzyszów dogania. Dalej kobiety grabią, ściągają wyschłe już siano na kopiec, a te znów parobcy ciągną do

stogu. Zosia mówi, że równie pięknych rzeczy w życiu swojem nie widziała. Namawia mamę, babcię i pannę Gracyę, aby weszły na stóg, ale one nie chcą.

Józio dostrzegł z wysokości bryczkę, toczącą się po gościńcu. Była to bryczka pocztowa, zaprzężona w parę koni dość chudych, lecz biegnących względnie szybko; pocztylion w ciemno zielonym płaszczu powoził.

— Mamusiu! mamusiu!—zawołał Józio z góry—to pan doktór!

— Ach, jak to dobrze—rzekła panna Gracya,—żeby go też można jakim sposobem sprowadzić. Panie Muchowiczu!

— Słucham, co pani rozkaże?

— Mój panie, czyby pan nie był łaskaw zawołać, żeby brat mój, który tam oto jedzie gościńcem, zatrzymał się i tu do nas na chwilę przyszedł, lub przyjechał, ale to tak daleko, on zapewne nie usłyszy.

Muchowicz wzruszył ramionami z politowaniem.

— Proszę pani—rzekł,—choćby o wiorstę dalej był, to także można zawołać, przecież nie na końcu świata!

Rzekłszy to, przyłożył dłonie do ust i odezwał się, jak przez tubę, głosem, któryby umarłego obudził.

— Panie doktorze! prosimy tu do nas, prosimy!

Pocztylion konie zatrzymał, a doktór, zrzuciwszy z siebie biały kitel, którym był okryty od kurzu, żywym krokiem puścił się ku łące. Był tego dnia szczególniej wyświeżony i wyelegantowany, w zgrabnym garniturze letnim, w jasnych rękawiczkach.

Wszyscy powitali go serdecznie.

— Dokądże pan Bóg prowadzi?—zapytał pan Jan.

— Do chorego, jak zwykle; dokądżebym ja mógł jechać?

— Widzicie państwo — rzekła panna Gracya, — co to za idealny doktór ten mój braciszek. Oszczędza koni swych pacyentów i jeździ ekstrapocztą. Wszak to bryczka pocztowa stoi na drodze, czy tak?

— Zdaje się... no, jużcić pocztowa w samej rzeczy, bo też nie każdy pacyent ma konia.

— Musi to być jednak bardzo dystyn-

gowany pacyent, skoro tak się wystroiłeś do niego. A może to pacyentka?

— To wszystko jedno.

— A przepraszam, wcale nie wszystko jedno. Przyznajże się, mój braciszku, dokąd jedziesz? przecież nie masz z czego robić sekretu.

— Zdaje mi się—rzekł pan Jan,—że ta droga prowadzi do Gza...

— Proszę pana, mówią, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu... ale mniejsza o to... jadę do chorego i niedługo zabawię.

— W takim razie, prosimy, żeby pan wstąpił do nas, wracając; z herbatą czekać będziemy—rzekła pani Marya.

— Tak, tak, mój braciszku — dodała panna Gracya—biedaku, wynudzisz się przy chorym, wymęczysz, a u nas odzyskasz humor.

Doktór nie odpowiedział. Zaczął się przekomarzać z dziećmi, siedzącemi na stogu, opowiadać różne anegdotki, ale widocznie śpieszył się, gdyż co chwila na zegarek spoglądał. Wreszcie pożegnał wszystkich i odszedł.

Pan Jan zaprowadził go do bryczki.

— Tam pan śpieszysz?—zapytał.

— Nie mylisz się, kochany przyjacielu, tam... Śmiej się ze mnie, szydź, żartuj, ale ja bez tego żyć nie mogę... nie mogę.

Dworek w Gzie był dość dziwacznej konstrukcyi i bardzo odbiegał od ogólnego typu dworów, jakie po wsiach widzimy; nie był on ani pałacem, ani zwyczajnym domem drewnianym, ani starą ruderą. Postawił go jeden z poprzednich właścicieli, amator cudzoziemszczyzny, w stylu niby szwajcarskim, a właściwie nie wiedzieć jakim,—cudacznym.

Na wysokiej podmurówce wznosił się drewniany szalecik, z gankami, galeryjkami, z wieżyczką.

Miał kilka pokojów na parterze, kilka na piętrze, a dokoła balkony, werendy z płóciennemi markizami. We wszystkich oknach były żaluzje z malowanych na zielono deszczułek, a całość wyglądała niby willa

podmiejska jakiegoś przemysłowca, który przez kilka miesięcy letnich chce świeżego powietrza używać.

Po za willą ogród się rozciągał, także dość pretensyonalnie i kosztownie urządzony. Były w nim i sztuczne wzgórza, i sadzawka, i szerokie rowy z mostkami chińskiemi, dużo krzewów, altanki w kształcie pagód, sztuczne groty, a nawet niegdyś, jak powiadają, wodotrysk.

Folwark stał sam, mieszkania służby i budynki gospodarskie znajdowały się w dość znacznem oddaleniu, odcięte od tak zwanego „pałacu" grupą drzew, które latem zupełnie osłaniały nieestetyczne węgły obór, stodół i owczarni, oraz zapadłe i poczerniałe dachy czworaków.

Rezydencya i folwark o trzydziestu kilku włókach przestrzeni były własnością młodej wdówki, pani Malwiny. Przypatrzywszy się bliżej, dostrzedz było można, w ogrodzie zwłaszcza i w folwarku, pewne zaniedbanie i spustoszenie. Nie ma się czemu dziwić; piękna wdówka nie posiadała dość energii, aby się wszystkiem zajmować, a rządca rządził jak chciał i jak mu było dogodniej. Historya pani Malwiny jest taka: Śliczną dzieweczkę, sierotę, gdy zale-

dwie ukończyła szesnaście lat życia, wydano za mąż, za człowieka niemłodego, ale zamożnego. Było to małżeństwo ułożone przez krewnych, dla zabezpieczenia losu sieroty,— sierota zaś, dziecko nieświadome, zgodziła się na wszystko; z uśmiechem na ustach jechała do ślubu, ciesząc się z oczekującego ją pałacyku, powozu, stanowiska gospodyni domu. I stało się to, co w tego rodzaju związkach się staje... niezawsze— małżeństwo było szczęśliwe. Pani Malwina przeżyła z mężem lat ośm, zgodnie, spokojnie w najlepszej harmonii. Śmierć jego opłakała nieudanemi łzami, przez rok i sześć tygodni nosiła grubą żałobę, w której jej było prześlicznie, a potem wróciła do jaśniejszych kolorów i do wesołego usposobienia. Kobieta mająca lat dwadzieścia pięć nie może ciągle płakać, zwłaszcza, gdy jest piękna i zupełnie niezależna. Należy się jej jeszcze coś od życia.

Pani Malwina była to osóbka średniego wzrostu, szczupła, nadzwyczaj zgrabna, ruchy miała wdzięczne, układ pełen naturalnej prostoty. Blondynka jasna, o ładnie zarysowanym owalu twarzy, cerze białej i delikatnej, miała duże, czarne oczy, zgrabny nosek i drobne usta. Cała powierzcho-

wność robiła dodatnie wrażenie; dość było raz spojrzeć, aby rysy jej, a zwłaszcza oczy, na zawsze utkwiły w pamięci.

— Po śmierci męża, nie chcąc mieszkać sama, zaprosiła do siebie swoją siostrę, osobę już nie młodą, panią Martę Wolską, ta zastępowała jej matkę. Zaglądali do Gza sąsiedzi, a wśród nich i kilku młodych ludzi z widocznemi aspiracyami do ręki pani Malwiny, ale wdówka umiała tak jakoś manewrować, że nie dopuszczała do uświadczyn. Mówiła też nieraz, że jest jej dobrze, że lubi swobodę i wychodzić za mąż nie ma zamiaru. I doktór słyszał z ust jej takie zdania, ale się nie zrażał. Z początku bywał dość rzadko, co miesiąc, później co dwa tygodnie, co tydzień, wreszcie co trzy dni, jeżeli tylko znalazł czas wolny. Pani Malwina grywała w szachy, doktór udawał namiętego szachistę. Zachwycał się, gdy jego partnerka, zamyślona, opierała twarz na ręku i drobny jej paluszek wytłaczał na policzku dołek pełen wdzięku... lubił też patrzeć, gdy w niepewności, jaką figurę posunąć, wyciągała nad szachownicą białą rączkę i trzymała ją tak przez kilkanaście sekund w zawieszeniu nad konikiem, lub wieżą. Widok

ten psuł zakochanemu doktorowi wszelkie kombinacye i burzył najpracowiciej obmyślane plany. Przegrywał też nieborak, aczkolwiek pani Malwina nie była wcale biegłą szachistką. A co było przytem śmiechu i żartów!...

Opuściwszy towarzystwo na łące i pożegnawszy pana Jana, doktór wsiadł na bryczkę i kazał pocztylionowi pośpieszać. Pocztylion, stary wyga, rozumiał potrosze co się święci, i nie żałował bicza. Wiedział albowiem, że za drogę do Gza dostaje zawsze wyjątkowo dobry napiwek.

Niebawem też przed oczami doktora zarysowała się wieżyczka, werendy i żaluzye szwajcarkiego domku.

Pani Malwina przywitała gościa bardzo uprzejmie.

— Jakże zdrowie pani?—zapytał.

— Co to jest przyzwyczajenie!—odrzekła ze śmiechem,—jak zdrowie, czy jest apetyt? jaki sen? Po doktorsku. Gotowa jestem pomyśleć, że podajesz mi pan rękę nie na powitanie, ale poprostu dla tego, żeby się przekonać, czy puls mój uderza tyle razy, ile wymagają przepisy medycyny.

— Ależ pani, jeżeli gdzie, to właśnie w tym domu o medycynie zapominam, i to

jest moja jedyny rekracya, dla tego też tak często naprzykrzam się pani.

— Bardzo często! rzeczywiście! tak dalece często, że już nie umiem odróżnić królowej od laufra.

— Ostatnią partyę graliśmy, jeżeli się nie mylę, przed czterema dniami.

— I jeżeli się nie mylę, dostał pan doktór mata.

— Niestety! pani, zawsze prawie bywam pobity, chociaż...

— Chociaż co?

— Zdaje mi się, że gram nieźle.

— Tem większy tryumf dla mnie, że dobrego gracza zwyciężam. Ileż dziś partyj zagramy?

— Ile pani każe, choćby... pięć.

— A do sześciu pańskie poświęcenie nie sięga?

— O, tyle ile pani każe, gotów jestem grać i przegrywać.

— Trzymam za słowo, a teraz chodźmy do ogrodu, tam jest ciocia.

Poszli, ale pani Marty nie znaleźli; zapędziła się ona na folwark, a potem i w pole, gdyż stała się jakaś awantura z powodu drobiu, który szkody zawsze wyrządzał- a pani Marta była gospodyni zawzięta i te,

go rodzaju sprawami zajmowała się bardzo gorliwie. Doktór z panią Malwiną chodził po ogrodzie i rozmarzał się. Zapomniał o chorych swoich, o medycynie, o całym świecie—było mu zupełnie dobrze. Widział piękne oczy, napawał się dźwiękiem metalicznego głosu, który w jego uszach brzmiał jak najcudowniejsza melodya, i pragnął, żeby się ten spacer w zdziczałym i zapuszczonym ogrodzie nigdy nie skończył. Zatrzymywał się co chwila, pytając o drzewa, o krzaki róż. Zkąd się wzięły? kto je sadził? kiedy?

Wdówka śmiała się.

— Co się panu stało? — mówiła — zkąd taka skłonność do badania przeszłości? Czy przypuszczasz pan, że jestem starsza od tej ogromnej lipy, kiedy mnie zapytujesz o datę jej zasadzenia?

— Myślałem, że są jakieś tradycye do miejsca przywiązane, że je pani z opowiadania znasz.

— Ani trochę. To nie jest moje miejsce rodzinne. Kiedy przybyłam tu po raz pierwszy, zastałam te lipy, klony, graby, świerki. Były one już wszystkie tak wysokie, jak dziś, i takie grube, jak dziś. Zdaje mi się, że nic a nic nie urosły, a przecież to

już kawał czasu... to już blizko dziesięć lat, doktorze... Doprawdy, czas jest bardzo względny dla drzew, dla ludzi natomiast nie ma miłosierdzia. Ja się bardziej zestarzałam aniżeli te lipy, które, jak pan doktór powiada, setki lat już przeżyły...

— Proszę! pani się zestarzałaś? a któż młodym się nazwie, jeżeli nie pani? Nie, piękno nie starzeje się nigdy, tak jak prawda.

— Panie doktorze, przypominam naszą umowę!—rzekła z uśmiechem.

— Ach!...

— Tak, panie. Pamiętaj pan, że jesteśmy dobrymi przyjaciołmi, i że wszelkie komplementa wykreślone są raz na zawsze z naszego słownika... Pan nie powinien o tem zapominać.

— Czy uważa pani, żem umowę naruszył?

— Do pewnego stopnia—tak.

— A więc przyrzekam, że się to już nie powtórzy, będę się starał wyrażać myśli moje takiemi słowy, które w żadnym razie za komplement uważane być nie mogą.

— Pod tym warunkiem możemy zawsze być w zgodzie. Zdaje się, że byliśmy

błędnie poinformowani co do cioci; ja jej tu w ogrodzie nie widzę. Wracajmy.

— Jak pani rozkaże, tak będzie.

W saloniku był fortepian. Wdówka zagrała mazurka Szopena, doktór rozmarzony słuchał. Gdy skończyła, rzekł:

— Bardzo pięknie, prześlicznie!... to jest... przepraszam: prześlicznie to komplement, więc tak sobie, niezgorzej, bez rażących błędów; jestem zachwycony... a raczej nie... jestem do pewnego stopnia kontent. Upajałem się... albo jeżeli pani woli, jej gra nie raziła moich uszu i nie rozdrażniła mi nerwów. Może pani jeszcze zechce powtórzyć to ćwiczenie, posłucham bez niechęci.

Pani Malwina śmiała się.

— Tak to lubię — rzekła, — przynajmniej szczerze: bez rażących błędów i z jakiem takiem zachowaniem taktu! Powtórzyć to ćwiczenie? dobrze. A może pan doktór życzy sobie usłyszeć co innego? jaką dumkę ukraińską naprzykład, smętną, rozmarzoną? Po sielance, na którą pan niedawno patrzył, dumka będzie odpowiedniem dopełnieniem. Zagrać więc dumkę?

— Wszystko, co pani zagra, będzie

dla mnie miłem... to jest, chciałem powiedzieć: niedenerwującem.

Gdy pani Malwina grała, doktór stał w otwartych drzwiach, wychodzących na ogród i patrzał na pogodne niebo, zarumienione blaskiem zachodzącego słońca. Świat wydawał mu się dziwnie piękny, upajała go łagodna melodya dumki, i szmer liści poruszanych przez wiatr, i zapach róż dolatujący z ogrodu, i szczebiot ptasząt wśród gałęzi. Zdawało mu się, że odmłodniał, że mu serce przyśpieszonem tętnem uderza, w oczach jaśniej się robi; chciałby zostać tu na długo, na długo... na zawsze. I już, już ma na ustach słowa wyznania, już chce się zbliżyć do grającej, powiedzieć co czuje, co myśli, i cofa się. Jeżeli nie powie, to będzie mógł tu powrócić za tydzień, za parę dni, znowu słuchać dumki, patrzeć na jasne niebo, być przy niej blizko, rozmawiać z nią, widzieć jej oczy cudowne; a jeżeli powie, od razu może to wszystko utracić: ujrzy przed sobą przepaść, próżnię, której nie zapełni nigdy i niczem. Za wielkie to ryzyko, wszystko na jedną kartę postawić... Niemożna.

Ostatni akord dumki brzmiał jeszcze

w powietrzu... Pani Malwina wstała od fortepianu i rzekła:

— Teraz grajmy oboje; nim ciocia nadejdzie, damy wielki koncert na szachownicy, mam wielką chęć zwyciężyć pana dzisiaj.

Doktór zasiadł przy małym stoliczku i zaczął szachy ustawiać. Rozpoczęli grę. Nim jednak zrobili kilka posunięć, dały się słyszeć ciężkie kroki i w salonie ukazał się pan Karol, ów szlachcic zamożny, który z amatorstwa studyował medycynę.

Doktorowi na ten widok zrobiło się zimno.

— Sąsiadkę szanowną i dobrodziejkę witam!—rzekł gruby jegomość, całując rękę gospodyni.—Prześlicznie się składa, przyjechałem właśnie z córeczką.

— A gdzież jest panna Aniela?

— Konferują już o czemś z panią Martą i w tej chwili tu przyjdą. Powiadam, że się przepysznie składa — panie będą gawęwiły sobie, a my z kochanym doktorem sobie; tem bardziej, że mam niezmiernie ważną kwestyę dla pana.

— Proszę!

— I nietylko dla pana, ale dla całej ludzkości, dla świata! Najstraszniejsza cho-

roba, która czyni takie spustoszenia wśród ludzi, już pokonana. Suchoty nie istnieją.

Doktór wiadomość tę przyjął bardzo zimno; nie mógł nawet ukryć pewnego wyrazu niechęci, jaki się na twarzy jego odmalował. Bo i jakże! było mu tak słodko, obiecywał sobie przepędzić cały wieczór w miłem towarzystwie, aż tu naraz spada, jak piorun z jasnego nieba, pan Karol ze swoją medycyną.

— I cóż pan na to?—woła.—Do licha! przecież to odkrycie, mogące zbawić ludzkość, wynalazek cudowny; a jaki prosty, jaki prosty! Panie! ja powiadam, że to rzecz zdumiewająca; tyle wieków trzeba było czekać na znalezienie tego, co jest dla każdego dostępne, co zawsze znajduje się pod ręką. Cóż pan o tem myślisz?

— Nic.

— A, panie doktorze, wstyd, doprawdy. Jak to! i pan, człowiek uczony, stojąc w obec największego tryumfu nauki, zachowujesz się tak obojętnie. Doprawdy, tego pojąć nie mogę.

— Panie szanowny, mam z natury temperament dość chłodny, wrażeń moich na zewnątrz nie objawiam, co się zaś tycze wielkich wynalazków, uznaję je wtenczas

dopiero, gdy są stwierdzone, sprawdzone i wypróbowane. Gdy się przekonam o istotnej ich wartości, wtenczas, kto wie, może złożę ręce do oklasku. Inaczej...

— Ach, pojmuję, wynalazcą jest profan, człowiek z po za korporacyi cechowej, naturalnie, więc się go lekceważy...

— Mogę pana zapewnić, że jesteś pan w błędzie.

— Tak to się mówi, znam ja się na tem panie, znam, ale nie macie racyi. Razem z patentem na mądrość lekarską, chcielibyście stworzyć kastę zamkniętą, otoczoną chińskim murem, niedostępną dla obcych. Ja was znam. Ale co będzie, jeżeli jakiś obcy i profan przekona was, że potrafi zrobić coś więcej, aniżeli wy wszyscy razem, jeżeli ocali tysiące skazanych na śmierć, to co, panie? to co?

— To ja pierwszy zaproponuję, żeby mu wznieść pomnik, jako zbawcy i dobroczyńcy ludzkości.

— Hm, tak pan powiadasz, a jednak, nie zapytałeś pan dotąd, jaki jest środek, który do tak znakomitych rezultatów prowadzi?

— Sądziłem, że to tajemnica szanownego pana i że naruszać jej nie mam prawa.

— Zapewne, w zasadzie tak, gdyby chodziło mi o zbogacenie się, o zyski materyalne, ale znasz mnie pan, że interesowany nie jestem. Chleba mam dosyć, daje mi go rola, czem innem zajmuję się tylko z zamiłowania, nie dla zysku, nie dla czczej chwały, o którą nie dbam, ale dla dobra bliźnich, dla ludzkości.

— Bardzo to pięknie z pańskiej strony.

— I ja tak sądzę; nie można żyć tylko dla siebie, jak ślimak zasklepiony w skorupie, trzeba czynić coś i dla drugich; tą właśnie powodowany myślą...

Wejście pań przerwało tyradę, która obiecywała być długą. Pan Karol brwi zmarszczył, zły, że mu przerwano; doktór zaś uszczęśliwiony z tej dywersyi, witał się z panią Martą i panną Anielą tak, jak gdyby ich Bóg wie jak dawno nie widział. Pani Malwina starała się zająć gości rozmową, i, może chcąc ratować doktora od naukowej dysputy, zwracała się głównie do pana Karola. Odpowiadał krótko, z roztargnieniem i ciągle oglądał się na doktora. Mówiono o Warszawie, teatrze, nowych książkach, a doktór podtrzymywał tę rozmowę wszelkiemi siłami, dokładając starań, żeby się nie przerwała. Pan Karol kręcił się na krześle,

nareszcie uchwycił moment i zapytał wprost doktora:

— Czy pan znasz gips?

— Zapewne, znam—odrzekł.

— A wapno?

— Bezwątpienia.

— Powiedzże mi pan, co też myślisz o gipsie?

— Myślę, że jest to znakomity środek do użyznianiu roli.

— To wiadomo, ale mi chodzi o co innego, o zastosowanie tego cudownego środka w medycynie.

— Ależ stosujemy go, panie dobrodzieju, przy złamaniach kości.

— Proszę państwa na herbatę — odezwała się gospodyni domu. — Panno Anielo, panie dobrodzieju, doktorze.

Zrobił się ruch, wszyscy wyszli na werendę. Kilka świec w kloszach szklanych rzucało światło na stół zastawiony elegancko i obficie. Doktór usiadł pomiędzy panią Malwiną a panem Karolem. Rozmowa toczyła się o przedmiotach ogólnych, o nowinkach okolicy, o stosunkach sąsiedzkich. Pan Karol kilkakrotnie usiłował głos zabrać i do ulubionej medycyny powrócić, ale doktór paraliżował te usiłowania i bro-

nił się wytrwale; pomagała mu w tem pani domu, a także i panna Aniela, którą bliżej interesowały wiadomości z sąsiedztwa, aniżeli dysputy naukowe.

— Dawno pan był w Stawiskach? — spytała doktora.

— Dziś pani.

— Pan tam bywa bardzo częstym gościem, nie tak jak u nas; siostra pańska jest na nas łaskawsza i przyjeżdża niekiedy. Pani Janowa także nas odwiedza czasem, niedawno była z dziećmi; ale zauważyłam, że w ostatnich czasach posmutniała jakoś. Dawniej uśmiech nie schodził z jej ust, a teraz często wzdycha i zamyśla się bez żadnego powodu.

— Bez powodu? — wtrąciła pani Malwina; — nie sądzę, musi być jakaś przyczyna.

— Może ma zmartwienia?

— I pan Jan także na humorze stracił, czy doktór nie zauważył tego?

— Istotnie.

— Tak — rzekł pan Karol, — zdrowie fizyczne, tak samo jak zdrowie ekonomiczne; a raczej ekonomiczne tak samo jak fizyczne, może, iż się tak wyrażę, szwankować. Otóż zdaje mi się, że tam jest ane-

mia finansowa, jedno z cięższych cierpień, jakie mogą dotykać człowieka. Przydałyby się środki wzmacniające, ale o te dziś trudno. Zdaje mi się, że dyagnoza moja jest dość trafna.

Doktorowi groziło to nowem niebezpieczeństwem, bo skoro pan Karol już o dyagnozie wspomniał, to prostą drogą szedł do patologii, szeroko rozwodził się o cierpieniach, a przytem ordynował niesłychaną massę leków, cudownie, według jego przekonania, działających. Biedny pan Jan znalazł się jak gdyby w klinice.... Pan Karol wykazywał wszystkie jego słabości finansowe i określał je zmanierowaną na lekarski sposób terminologią. Tak lubił te porównania, że rad był bez końca je powtarzać. Rachunek nazywał mózgiem, pieniądze krwią, długi żółcią, dochody przybytkiem wagi i tłuszczu.

Panie, rade nierade, musiały tego wykładu słuchać; doktór kręcił się niecierpliwie na krześle i kilkakrotnie usiłował nadać rozmowie inny obrót, ale napróżno. Amator medycyny niełatwo dawał się zbić z tropu...

— Wiadoma to rzecz — mówił. — że prawie każdy z nas finansowo niedomaga. Powiedziałbym, że jest to epidemia. od któ-

rej mało kto jest wolny. Ja na to cierpienie skarżyć się nie mogę, ale pan Jan, Piotr, Michał, Ignacy, wszyscy sąsiedzi nasi, dalsi i bliżsi, są zakatarzeni i grubo. Co tu mówić?... źle jest, choroba przewlekła, wchodzi w stan chroniczny, a w takim razi trzeba zachowywać dyetę, żyć hygienicznie, — a oni jak żyją! Powiedz pan, jak oni żyją? czem się wzmacniają? — i chcą być zdrowi! To komika jest, doprawdy. Potrzeba buljonu, oni zaś jedzą najniestrawniejsze rzeczy..

— Naprzykład co? — zapytał doktór.

— Surowiznę, najszkaradniejszą surowiznę, kwasy...

— Nie rozumiem, co pan chcesz przez to powiedzieć.

— Ależ na Boga, doktorze! zgodzisz się przecie, że taki pan Jan i setki, tysiące jemu podobnych, są to organizmy finansowo i ekonomicznie chore, osłabione, powiedziałbym nawet bezsilne, Taki każdy chudeusz potrzebuje buljonu, mięsa, wina, — inaczej mówiąc: banku, czy jakiegokolwiek kredytu, któryby ich rzeczywiście wzmocnił, podniósł na nogi, sił dodał — a oni czem się wzmacniają? w czem szukają pokrzepienia? — w żydzie. A wiesz pan co to jest? to to samo, co gdyby człowiek cier-

piący na katar żołądka lub kiszek, najadł się surowych ogórków, rzepy, brukwi i octem to popił. Nie mam ja racji? Chciejże mi pan powiedzieć nareszcie, czy się mylę? czy nie, — ale zdaje mi się, że chcąc czy nie chcąc, musisz mi pan przyznać słuszność.

— Przyznaję.

— Bo musisz pan przyznawać, — bo prawda sama za siebie mówi, bo długoletnie moje doświadczanie, obserwacya...

— Przepraszam — nie mamy się o co spierać. Owszem, poprę nawet pańskie twierdzenie. Przed dwoma tygodniami miałem pacyenta w ostatnim stopniu wyniszczenia. Człowiek ten chwiał się na nogach. Ma się rozumieć, że zaleciłem mu jak najpożywniejszą dyetę. Mięso, kawior, ostrygi, stare wina... Doradzałem nawet kuracyę klimatyczną i wyjazd na południe.

— Zapewne, doskonale, bardzo dobrze. Któż to był ten pacyent? Zapewne pan...

— E, wcale nie pan... to był pastuch gromadzki z Białej Wsi, człowiek, który ma do jedzenia tylko chleb i kartofle, i to nie zawsze, nieraz po kilka dni żyje powietrzem i wodą...

— Ach, pastuch! to zupełnie co innego. Sądzę, że żartowałeś sobie z biedaka, doktorze, ordynując mu ostrygi i stare wino...

— Zupełnie tak samo, jak pan żartuje ze swoich sąsiadów, ordynując im banki, kiedy oni mogą mieć tylko lichwiarzy.

Panie się roześmiały. Pan Karol się zarumienił, ale usiłował bronić swego zdania.

— Wziąłeś pan przykład niemożliwy — jakiegoś wyjątkowo marnego biedaka — a ja nie mówiłem o ludziach straconych, dla których żadnego ratunku już nie ma, lecz o takich, którzy mają jeszcze siły...

— Zgoda, bardzo dobrze. Zostawmy w spokoju pastucha, weźmy innych, którzy pozornie mają się niby dobrze, ludzi należących do tak zwanej intelegencyi; tych, którym praca daje mały dochód, a względna oświata wytwarza duże potrzeby. Mówię, panie, o tych nieszczęśliwych, którzy kosztem nadzwyczajnych wysiłków, chcą żyć jak ludzie, chcą coś czytywać, kształcić dzieci,—a nie mają na to. Mówię wreszcie o tych, którzy posiadając kawałek ziemi, chcą się przy nim bądź co bądź utrzymać, wkładają więc w niego cały zasób

funduszów i intelegencyi, pracują jak woły — a ciężarów nie mogą podźwignąć, nie potrafią walczyć z siłą wyższą, to jest z deszczami, suszą, gradem, pomorem, idą ciągle, jak ów pielgrzym pokutnik, który trzy kroki naprzód, a dwa w tył się posuwa. Cóż im pan za receptę przepiszesz? jaką radę im dasz? słucham, słucham ciekawie, chciałbym zobaczyć, co dla nich apteka szanownego pana posiada? Radzisz im jakiś bank... bardzo ładnie — ale pokażże, gdzie on jest? którędy iść do niego?

— Można go wytworzyć...

— Zapewnie... można nawet na księżyc zajechać w teoryi, ale tymczasem to, co niby wytworzyć, jak pan powiadasz, można — nie istnieje — a żyć trzeba. Twierdzisz pan, że żyd jest niehygieniczny i niezdrowy — spierać się oto nie myślę — ale panie, w danym razie on jest jedyny... do kogóż więc ma się udać człowiek, który instytucyj odpowiednich nie ma, od swoich pomocy ani poparcia spodziewać się nie może, który jest absolutnie sam, nie podtrzymywany przez nikogo, a wyzyskiwany przez wielu, człowiek obarczony obowiązkami, którym choćby kosztem własnego życia, zadość uczynić musi — do kogoż, py-

tam pana, człowiek ten pójdzie? czego się czepi? Wiadomo panu zapewne, że tonący chwyta się brzytwy... pokaleczy ręce, ale może nie utonie, a w każdym razie, walkę ze śmiercią przedłuży. Jeżeli pan potrafisz tonącego namówić, żeby brzytwy nie chwytał, jeżeli go pan przekonasz, że lepiej jest bez oporu puścić się na dno, wtenczas uwierzę we wszystko — nawet w to, żeś pan na suchoty skuteczne lekarstwo wynalazł.

— Ech, szanowny doktorze — rzekł p. Karol, — co do suchot jest zupełnie inna historya. To już kwestya załatwiona i nieprzedstawiająca żadnej wątpliwości; jeżeli pozwolisz, to z największą przyjemnością rozwinę moją teoryę.

— Ależ, panie...

— Co! może wyobrażasz sobie, że jestem zazdrosny? ani trochę. Com wynalazł, com wykrył, do czego doszedłem przez długie lata rozmyślań i przez rozumowanie, to bezinteresownie oddaję na użytek ludzkości. Korzystajcie z tego, leczcie ludzi, dorabiajcie się choćby największych fortun, to mi wszystko jedno. Imię moje będzie zapisane w kronikach świata — i dość na tem. Otóż przystępuję do rzeczy. Przedewszystkiem określmy, co jest mianowicie, że tak

powiem, właściwą istotą tak zwanych suchot...

— Wie pan dobrodziej co — rzekł doktór, — kwestya ta jest w ogóle tak ważna i tak poważna, że nie sądzę, żeby ją można było przedyskutować w pobieżnej pogawędce, przy herbacie, zwłaszcza w towarzystwie dam, dla których przedmiot ten jest pewno niezbyt zajmujący...

— No, to zależy... ale tak rzadko mam sposobność widzieć szanownego doktora, że rad jestem korzystać z okazyi...

— Cóż łatwiejszego, jak sposobność tę znaleźć? Niech pan dobrodziej przyjedzie kiedy do mnie, a z wielką chęcią do wszelkich dysput służyć będę...

— Trzymam za słowo: więc mi pan poświęcisz jaką godzinkę...

— Choćby trzy — o tyle ma się rozumieć, o ile nie będę wezwany do chorego.

— A naturalnie — więc zapowiadam swoją wizytę na pojutrze. Odkrycie przeze mnie zrobione, musi stać się jawnem i głośnem, liczę na pańską pomoc pod tym względem...

Doktór uszczęśliwiony był, że przerwał nareszcie tę rozmowę i że mógł odetchnąć

trochę swobodniej. Swoją drogą, wieczór, o którym marzył od kilku dni i po którym obiecywał sobie tak wiele — przepadł dla niego bez ratunku. Gospodyni domu prawie ciągle rozmawiała z panną Anielą i, zajęta gośćmi, nie mogła ani grać w szachy, ani bawić doktora wesołą gawędką, którą tak lubił.

Po herbacie wszyscy wyszli do ogrodu. Noc była ładna, po nad drzewami wysoko jaśniał skrawek nieba usiany gwiazdami; wietrzyk liśćmi szeleścił, trwało to krótką chwilę. Naraz wietrzyk zaczął się wzmagać coraz bardziej, poruszać gałęźmi, i nie wietrzyk już, ale wiatr, wicher chwiał drzewami, a jednocześnie gwiazdy niknęły zasłonione przez chmury, które bardzo szybko ogarnęły firmament.

— Wracajmy — rzekła gospodyni: — będzie deszcz.

— Pani dobrodziejko—odezwał się pan Karol, — ja się o co gorszego obawiam, to się na burzę zanosi.

Ledwie te słowa wymówił, oślepiająca błyskawica jak wąż przebiegła po niebie; panie krzyknęły z przerażenia i szybko wbiegły na werendę.

— Jeszcze ona daleko — rzekł do-

któr, — a wnosząc z kierunku wiatru, sądzę, że bokiem przejdzie. Wspaniały to objaw, imponujący swoim ogromem i potęgą. Człowiek widzi się wówczas malutkim, drobnym jak robaczek, w obec rozszalałej potęgi żywiołów; zostaje olśniony majestatem tej siły, mimowoli korzy się przed jej źródłem.

Pan Karol wstrząsnął się nerwowo.

— Zapewne--rzekł,—poezya. Dziękuję panu za te majestaty i olśnienia, niech je licho porwie!

— Ojczulku — zawołała panna Aniela, — nie można tak mówić, zwłaszcza podczas burzy.

— A cóż to? nie wiesz, że mamy pszenicę, jęczmień, groch. Co! nie słyszysz, jak huczy tam w górze?

— Grzmoty.

— Głupstwo grzmoty! cóż mi tam? w stodołach pustki, a budynki assekurowane; w górze huczy grad, — wiesz, co jest grad?

Zapomniał o medycynie, o swoich odkryciach i wybiegł na środek gazonu, żeby módz łatwiej dostrzedz, na co się zanosi.

Tymczasem burza szalała coraz bar-

dziej, drzewa się chwiały, błyskawice krzyżowały się po niebie; przerażający odgłos grzmotu wstrząsnął powietrze, kilka grubych kulek lodowych spadło na trawę...

Pan Karol na dłoń je zebrał i do pań pobiegł.

— No—mówił,—macie państwo, grad! słowo honoru daję, grad, i jaki jeszcze, możemy sobie powinszować!... Pani niech się nie obawia, tu bardzo rzadko pada, nawałnica bokiem przechodzi, wschodnią stroną. Właśnie nad moim folwarkiem, nad Lipką, Borkiem, nad Stawiskami może. Znam ja się na tem. To, co tu widzimy, nic nie jest, ale tam, tam co się dzieje, u nas! Pani dobrodziejko, ja poślę, żeby mój stangret zaprzęgał.

— Na taką burzę? niepodobna żeby państwo mieli odjechać!

— Nim on się wyguzdra, burza przejdzie, a tam u mnie, Bóg wie co się mogło porobić. O, o, patrzcie państwo — mówił, wskazując przez okno, — łuna! Pali się, od pioruna widocznie.

Wszyscy do okna pobiegli.

— Tak, jakby u mnie — zawołał pan Karol. — Na Boga, muszę jechać... niech

zaprzęga natychmiast! ty, Anielciu, zostaniesz.

— Jadę z ojcem — rzekła.

— Nie, to nie u państwa się pali — rzekł doktór. — Znam całą okolicę wybornie i oryentować się umiem. Trzymam zakład o co kto chce, że nie u państwa ten ogień.

— Ja poślę kogo na wieżyczkę — rzekła wdówka, — ztamtąd dalej widać.

Pan Karol udał się z chłopcem kredensowym po schodach na ową wieżyczkę dziwaczną i powrócił znacznie uspokojony.

— Doktór miał słuszność — rzekł, — istotnie ten ogień nie u mnie.

— Więc gdzież?

— Albo bardzo blizko Stawisk, albo w samych Stawiskach. Widocznie pali się folwark, bo ogień rozkłada się szeroko.

Doktór, usłyszawszy to, doznał jakby elektrycznego wstrząśnienia.

— A może nie w Stawiskach? — rzekł.

— Jestem prawie pewien — odpowiedział pan Karol. — Trudno, żebym się mylił, mieszkając od lat tylu w tych stronach i znając okolicę, jak swoją własną kieszeń.

Burza wyraźnie tam ciągnęła i ta przeklęta chmura gradowa. Bóg wie, co z mojem zbożem się dzieje.

— Jeżeli w Stawiskach, to okropne — odezwała się pani Malwina. — Biedny pan Jan i bez tego ma dosyć kłopotów... Serdecznie mi go żal.

— Panie Karolu, dobrodzieju — odezwał się doktór, może teraz powiesz, gdy ten człowiek u żydów pożyczki poszuka, że niehygienicznie żywi swój ekonomiczny organizm, że przy katarze kiszek jada surową rzepę i pije ocet?

Pan Karol zarumienił się.

— To, widzisz pan—rzekł,—to jest inna historya, to zupełnie co innego... to wypadek...

Burza letnia, jak niewiadomo zkąd przyszła, tak niewiadomo gdzie się podziała... Grzmoty ucichły, wiatr chmury rozpędził, na niebie znowu ukazały się gwiazdy i księżyc wśród nich. W powietrzu świeżość czuć było i chłód, na gałązkach drzew, na liściach drgały krople wody, grube, ciężkie, drżące. Pan Karol z córką, zaraz, jak się tylko wypogodziło, odjechał, aby pola swoje, chociaż przy księżycowem świetle zobaczyć. Kazał się wieźć najkrót-

szą drogą, manowcami, byle tylko jak najprędzej dowiedzieć się, co zaszło.

Po doktora też pocztylion zajechał. Poczciwy eskulap był bardzo zakłopotany o pana Jana.

— Wie pani — mówił do pani Malwiny, — nie jestem człowiekiem nerwowym, a jednak drżę z obawy. To tacy dobrzy ludzie, tacy poczciwi i serdeczni!...

— Panie doktorze — rzekła, podając mu rękę, — ja ich nie znam tak blizko i sama i nie śmiem się narzucać, ale gdyby potrzebowali, gdybym mogła być im w czem pomocną, to z całą chęcią, szczerem sercem uczynię. Bądź pan w tym razie pośrednikiem między nimi a mną... wdzięczna panu będę.

— Jesteś pani zawsze szlachetna — rzekł zakochany doktór i białą rączkę pani Malwiny przycisnął do ust. Sam zdziwił się swojej śmiałości, ale nie żałował jej. Pożegnawszy panie, wsiadł na bryczkę i kazał pocztylionowi przez Stawiska jechać.

— Pośpieszaj tylko—mówił,—pośpieszaj, bo radbym jak najprędzej wiedzieć, co się tam stało.

Pocztylion uderzył batem wychudzone szkapy, targnął lejcami i po kuryersku pojechał. Na niebie widniała jeszcze łuna czerwona, szeroka, później zaczęła się zmniejszać się i blednąć, i znów czerwieniała, ale już światło jej nie mieniło się, była już tylko odblaskiem zarzewia. Z drogi, z tego miejsca, na którem, w tamtą stronę jadąc, doktór zatrzymał się i na łączkę schodził, widać było nietylko łunę, ale czerwone płomienie i dym, gęstym, czarnym słupem wznoszący się w powietrze. Opalone, poczerniałe słupy trzymały się jeszcze, gdzie niegdzie tlały belki, zapadały się przepalone krokwie, i, uderzając swym ciężarem o zgliszcza, podnosiły snopy iskier. Koło tego wielkiego pogorzeliska uwijały się drobne, czarne sylwetki ludzi, walczących nadaremnie z wyższą od nich potęgą. Tam kilku chłopów uczepiło się bosaka, aby ocalić gorejącą już belkę, owdzie ktoś w morze ognia wlewał konewkę wody, słychać było nawoływania i krzyki, ogień przenosił się z budynku na budynek, z dachu na dach, nie darował nawet płotom, strawił je i położył na ziemi długą linią żarzących się węgli. Cały folwark w zgliszcza się zamienił: dwie duże stodoły, oborę, stajnię, owczar-

nię, szopę na narzędzia i śpichrz. Cud jakiś, że inwentarz zdołano w porę wypędzić. Ocalał tylko dwór i opodal folwarku stojące czworaki, reszta z dymem poszła.

Doktór aż pobladł, widząc to zniszczenie. Pocztylionowi na wieś kazał odjechać i w karczmie się zatrzymać, a sam poszedł pieszo do pogorzeliska.

Z daleka zobaczył p. Jana, jak chodził wśród dopalających się budynków i rozporządzenia ludziom wydawał, pragnąc jeszcze cokolwiek ratować.

Nie spostrzegł nawet doktora, który do niego się zbliżył.

— Panie Janie—odezwał się doktór,— panie Janie!...

— Ach, doktór! dobrze, żeś pan przybył... tam w domu żona i matka rozpaczają... Pójdź do nich...

Mówił spokojnie, nie rwał włosów z głowy i nie rozpaczał; przynajmniej nie okazywał tego na zewnątrz. Był tylko bardzo blady, ale głos mu nie drżał, oczy suche, spojrzenie jak zawsze pełne energii. Umiał panować nad sobą.

— Dostrzegłszy łunę—mówił doktór— pośpieszyłem do was natychmiast.

— Dziękuję za współczucie, ale cóż tu

można pomódz? Była straszna burza z gradem, z piorunami. Co mi grad w polu zrobił—nie wiem; co zrządził piorun—widzisz. Uderzył w starą stodołę, a burza już ku końcowi się miała; już sądziłem, że przechodzi—uderzył w starą stodołę, i objęły ją płomienie w mgnieniu oka, prędzej, niż opowiedzieć można. Wybiegłem na folwark jak oślepiony, we wsi, w kościele ksiądz kazał w dzwony uderzyć... Zbiegli się moi ludzie, zbiegła cała wieś, ale znasz pan ich przesąd, że takiego ognia nie godzi się gasić. Zaledwie pod wpływem próśb i gróźb pomogli inwentarz z niezajętych budynków wyprowadzić. I to za cud mogę poczytać. Kazałem konie i bydło za ogród, na ogrodzoną łączkę przepędzić, owce pod las niedaleko. Co jutro z tem wszystkiem zrobię? — nie wiem. Pługi, brony, narzędzia poszły z dymem, nieco zboża w śpichrzu, na ordynaryę i na obroki, zgorzało — nie wiem, czy ocalono kilka wozów... Budowle asekurowane nizko, ruchomości wcale nie, a tu żniwa nadchodzą i zwózka. Gdzie zbiory podzieję?... gdzie inwentarz pomieszczę?... kiedy nowe budynki postawię i za co? Zrujnowany jestem, kochany doktorze... ale idź już, idź do

kobiet, one ciebie bardziej potrzebują niż ja...

Doktór zatrzymał się jeszcze.

— Słuchaj no, panie Janie—rzekł, biorąc go za rękę, — spodziewam się, że o życzliwości mojej nie wątpisz. W czem ci będę mógł być użyteczny, mów szczerze. Jestem do twojej dyspozycyi; a i to jeszcze dodam, że ona poleciła mi wyrozumieć, czy będzie mogła przyjść wam w jaki sposób z pomocą.

— Jaka ona? — zapytał pan Jan.

— No, wiesz... przecież wracam ztamtąd, od niej. To złote serce, to anioł; jak cię poważam, panie Janie, anioł...

— Mój drogi przyjacielu—odrzekł pan Jan, — wiem, żeś człowiek zacny, w przyjaźń twoją wierzę, ale teraz, w tej chwili, czegóż od ciebie mogę żądać? Niech się opamiętam trochę, niech ochłonę — obecnie zajmuje mnie tylko jedna myśl: jakby zalać co prędzej tę kupę węgli i głowni opalonych i chociaż cokolwiek ztamtąd wydobyć? Idź do kobiet, pociesz je, pokrzep na duchu, ja tu muszę pozostać; a jutro, rozpatrzę się w położeniu, myśli zbiorę, to pomówimy... Idź do nich, proszę cię, twoja obecność uspokoi je cokolwiek...

Doktór odszedł, pan Jan pozostał na pogorzelisku prawie do rana. Towarzyszył mu Muchowicz, tak przerażony, że kląć zapomniał. Może sumienie go gryzło, że w klątwach swoich piorunów nieustannie wzywał, a może tak szczerze nieszczęście swego pracodawcy odczuł, dość, że przemawiał do ludzi cicho i łagodnie, prosił ich najgrzeczniej, by wodę nosili, by rozgrzebywali zgliszcza bosakami... Sam, jakby dobry przykład chcąc dawać, wodę wiadrami dźwigał, fornalom i parobkom pomagał, żelaztwo przepalone, ogorzałe belki z pomiędzy węgli wyciągał.

Nad pogorzeliskiem wschodziło piękne, uśmiechnięte słońce i zabarwiało różowym odcieniem dymy, które się nad zgliszczami wlokły. Ludzie jeszcze nosili wodę, jeszcze zalewali tlejące głownie, a wśród zielonych drzew sterczały czarne, osmolone słupy budynków, niby szkielety potworne. Nic nie ma smutniejszego nad pogorzelisko, nad widok zniszczenia, zrządzonego przez potężny, nieokiełznany żywioł. Jest ono posępne jak grób, grób zabiegów ludzkich, starań i mozolnej pracy. Gdzie tak niedawno jeszcze był ruch i życie, dziś pustka i zniszczenie. Biały dym wlecze się nad

czarnemi zgliszczami — dwie barwy żałobne; gdzieniegdzie jeszcze płomyk błyśnie, jeszcze się kupa węgli zaczerwieni, nim je szary popiół przysypie...

Konie oglądają się za stajnią, bydło ryczy, szukając obory, człowiek łamie ręce i wzdycha...

W polu grad znaczne spustoszenia poczynił. Bujne trawy, zboża przerzedzone, pokładzione, pocięte. Zielone kłosy, które wczoraj jeszcze wznosiły się do góry, stojąc w zwartym jak ściana szeregu, pozwieszały się smutnie, pokładły, poplątały jedne z drugiemi. Chcą się podnieść pod wpływem ciepła i słońca; okaleczałe i zbite nie mogą. Trudno im się rany, przez grad zadane, zgoją.

Siodłowski, cieśla na całą okolicę sławny, architekt od obór i stodół, z dwudziestu kilkoma ludźmi biwakował na folwarku w Stawiskach; dworskie i wynajęte furmanki zwoziły drzewo, które wnet chłopi oprawiali siekierami podług informacyi majstra. Dwa warsztaty trackie, pierwotnej konstrukcyi, na kozłach wzniesiono; zgrzytały piły, stukały siekiery i topory, a wśród tego zgrzytu i łoskotu, Siodłowski kombinował, łokciem mierzył, ołówkiem kreślił, wiązania składał. Opodal trzej gonciarze gonty z osiny strugali; mało co widać ich było z po za ogromnej kupy wiórów i strużyn. Należało korzystać z krótkiej chwili, jaka jeszcze do żniw pozostawała i całą forsą ruszyć, żeby budynki postawić. Muchowicz jak oparzony biegał,

już mu głos i fantazya dawna wróciła, już znowu jak dawniej przeklinał. Pan Jan coraz częściej do miasteczka zaglądał, ale dzięki poradzie doktora, już nie z młodym, lecz ze starym Manelesem traktował, i po długich certacyach, łagodniejsze nieco warunki uzyskał. Musiał pozaciągać znaczne zobowiązania, bo nietylko koszta stawiania nowych budynków tego wymagały. Sakłakowski, dowiedziawszy się o nieszczęściu, jakie pana Jana spotkało, napisał list pełen współczucia: „Panie dobrodzieju najszanowniejszy, brzmiał list, żeby ten ogień, który folwark pański zniweczył, spadł na moją własną głowę, to nie wyrządziłby mi większej przykrości. Ja rozumiem, co to znaczy: pojmuję, jakie kłopoty i zmartwienia za sobą pociąga. Gdybym, jak niegdyś, rozporządzał swemi kapitałami, sam oświadczyłbym się z gotowością przyjścia panu dobrodziejowi w pomoc; gdybym nie wydawał córki za mąż, cofnąłbym w poprzednich listach wyrażone żądanie zwrotu pożyczki, ale pan dobrodziej nie masz wyobrażenia, co to jest zięć. To pożar, który pochłania nietylko ukochane dziecko, ale i umówioną, a znaczną część ciężko zapracowanego i kosztem niesłychanych prywa-

cyj zaoszczędzonego grosza. Pożar można ugasić wodą, pragnienie zięcia tylko gotówką. Proponowałem mu, żeby rok poczekał, a on w odpowiedzi dał mi do zrozumienia dość wyraźnie, że małżeństwo zerwie. Byłoby to to samo, co rozedrzeć serce mego dziecka, do czego, jako ojciec i jako człowiek z sercem, bezwzględnie zdolny nie jestem. Będąc tedy pomiędzy młotem a kowadłem, nie mogąc skrzywdzić dziecka, a zarazem nie czując się na siłach wyświadczenia panu dobrodziejowi przykrości, postanowiłem zcedować moją sumkę na Stawiskach niejakiemu Noechowi Glass, bardzo uczynnemu kapitaliście z Warszawy, z którym, jak słusznie zapewne mniemam, droga układów będzie dla pana dobrodzieja otwarta. Jest to człowiek do wszelkich komplanacyj skłonny, i przypuszczam, że porozumienie z nim przyjdzie z łatwością. Przykro mi etc."

Pan Jan wcale już na ten list nie odpisywał, starał się o pieniądze, zaciągał zobowiązania, robił kontrakty na zielone jeszcze, mocno przez grad uszkodzone zboże, i kilka razy był w lesie, dla zbadania, coby ztamtąd, bez wielkiej dla całości krzywdy, sprzedać można.

Wśród takich czynności czas schodził mu nadzwyczaj szybko; ranek gonił południe, południe uciekało przed wieczorem, wieczór przed nocą.

Gdy zaś noc przyszła, to nie goniła poranku, ale wlokła się jak zmora powoli, jak zmora dusiła, spędzając sen z powiek, strasząc widmami przyszłości, rzucając potworne znaki zapytania przed oczy. Co? jak? zkąd? od kogo? kiedy? Ohydny słownik!... nie jednemu on życie złamał, energię odebrał, nie jednego przedwcześnie do grobu zaprowadził. Nie masz bardziej jadowitego i bardziej mnożnego owadu, nad te pytajniki nieubłagane. Brzęczą nad uszyma, rzucają się do oczu, świdrują czaszkę, sprawiając ból nieznośny, aż do obłędu — do szaleństwa. I sen przed temi dyabelskiemi znaczkami ucieka: spokój odbiega i chęć do życia. Wśród ciemności nocnych świecą one fosforycznym blaskiem, jak błędne ognie na cmentarzysku lub bagnie, wdzierają się pod powieki, rażą źrenice, pieką.

I ani ich odpędzić, ani się od nich uwolnić nie sposób; natrętne i uprzykrzone jak komary, powracają, mnożą się, uderzają całą chmarą, rojem.

Pan Jan poznał już te ukąszenia bole-

sne i zjadliwe, wpijały mu się one w mózg, wierciły czaszkę, piekły żywym ogniem; pod wpływem tego bólu widział żonę swoją ukochaną i dzieci w smutku, w opuszczeniu, w niedostatku, biedne i zmarnowane; widział, jak gromada jakichś cieniów rzuca się na jego mienie: chwyta po grudce ziemi i unosi; uczuł, że jakiś straszny ciężar gniecie mu barki, zgina krzyż, przywala go, miażdży.

Ranek dopiero jakieś uspokojenie przynosił; przy blasku słonecznym, ciemne barwy jaśniejszy nieco przybierały odcień, budziła się w sercu nadzieja.

Długa była dyssertacya z żydami w miasteczku, kilka dni zeszło na układach i targach. Już, zdaje się, skończony układ przerywało nowe wymaganie, nowy warunek, i znowuż dysputy, znów targi...

Stary Maneles dotrzymał danego doktorowi słowa: bronił pana Jana, o ile mógł trzymał jego stronę.

— Ja do tego zdrowia dołożyłem, — mówił później, gdy do doktora zaradzić się wstąpił, — niech mi pan wierzy. Nie tak prędko ciasto na drożdżach rośnie, jak rośnie chciwość młodego pokolenia. Oni by

chcieli od razu majątki zebrać. Dziurawe, nienapchane worki.

— Spodziewam się jednak, że pan trzymałeś stronę tego człowieka?... Wiesz, że go nieszczęście dotknęło? powinni to wyrozumieć.

— Nie, panie, jedna jest tylko mowa, którą oni rozumieją — to pieniądz. Ja ich musiałem rachunkami przekonywać. Ja wziąłem kawałek kredy do ręki i obliczyłem im, że tak jak ja widzę, będzie lepiej. To było trudno, bardzo trudno, bo oni swój rozum mają, i zdaje im się, że ich rozum lepszy, bo młodszy. Oni są głupcy. Mądrość lubi się trzymać białych włosów i białych bród. Wszyscy nasi uczeni, wielcy uczeni byli starzy. Naszym dzieciom zdaje się, że doświadczenie nic nie znaczy.

— Powiedzże mi, panie Maneles, czy warunki, jakie dali panu Janowi, są takie, że ich nie można wytrzymać?

— To, proszę pana doktora, jak dla kogo. Jest gatunek ludzi, którzyby nie wytrzymał, jest taki, który wytrzyma. Szlachcic dużo wytrzyma, a pan ze Stawisk jest z trwałego gatunku. Na takiego można dużo kłaść. Mnie się zdaje, że moje oczy

nie zobaczą jego upadku, i daj Boże, by go nie zobaczyły. Ale, panie, moje oczy już stare, one długo patrzeć nie będą, one już dziś na ziemię więcej patrzą, niż przed siebie, aniżeli na świat dokoła. Niedaleki czas ich zamknięcia, a co będzie później na świecie... ja nie prorok...

Stary siedział na krześle, brodę gładził, tabakę zażywał—i milczał; doktór zamyślony po pokoju, od kąta do kąta, chodził. Nareszcie zatrzymał się nagle i zapytał:

— Chciej mi pan powiedzieć, ale szczerze, czy dla takich biedaków, jak ten, którzy zmuszeni są szukać u was pomocy — są jakie drogi wyjścia? czy nie?

Żyd uśmiechnął się nieznacznie.

— Na takie zapytanie—odrzekł—może być bardzo długa odpowiedź; jeżeli pan chce, może być nawet kilka.

— Ale powiedz pan wprost, bez obwijania w bawełnę.

— Owszem powiem panu: droga jest... drogi nie ma... droga mogłaby być...

— Nie rozumiem.

— Prosty interes. Gdyby taki pan, kopiąc ziemię, znalazł skrzynię pieniędzy, gdyby miał szczęście i wygrał wielki los, gdyby oddziedziczył znaczną fortunę, gdy-

by, póki jeszcze czas, zlikwidował interes i wycofał się z majątku — to mógłby powiedzieć: droga jest; ale, że on nie wykopie skrzyni pieniędzy, nie wygra na loteryi, nie oddziedziczy fortuny, a majątku nie sprzeda i nie zlikwiduje — to może sobie z góry powiedzieć: drogi nie ma!

— Ugrzęźnie w tem bagnie, mówisz pan?

— W jakiem bagnie? dla czego w bagnie? po co on ma iść przez bagno, kiedy ma prostą drogę? On będzie prostą drogą szedł. Z początku, będzie nawet ostro szedł... z wielkim zamachem i impetem... Ludzie dziwić się będą i zazdrościć; ale zapewne panu doktorowi wiadomo, że do chodzenia człowiek potrzebuje mieć zdrowe nogi i zdrowe piersi. Tymczasem, jemu zaczną się do nóg przyczepiać kamienie, a na piersiach będzie miał położony ciężar. Ciężko mu będzie nogi dźwigać, ciężko oddech złapać... Słaby zaraz padnie i przepadnie — mocny będzie szedł. Na kamień znajdzie siłę, na dźwiganie ciężaru znajdzie siłę, i będzie szedł, coraz wolniej, coraz wolniej, wolniej, ale nie ustanie. Jak zechce na chwilę spocząć, to go popędzi bat... bardzo twardy bat, do żywego uderza.

— Jaki bat znowuż?

— Nie z konopi, panie doktorze, ten bat, ani z rzemieni. On ukręcony jest wcale z czego innego. Z honoru on jest, z żony, z dzieci, z przywiązania, ze wszystkich nici, które są we krwi moczone i z serca wydarte. Ten bat okropnie jest bolący, strasznie bolący.

— Mocno on bije—dodał po chwili namysłu—bardzo mocno. Jest on bat, ale jest także i sprężyna... porusza ona wielu ludzi, panie doktorze, i wiele interesów na świecie. Dużoby o tem można powiedzieć, ale na co? Nie odmienimy tego, co jest, bo nie mamy na to dość mocy.

— Smutne rzeczy powiadasz, panie Maneles.

— I to jest prawda — smutne, bo na świecie mało wesołości... więcej zasiał Pan Bóg płaczu i jęków, aniżeli śmiechu, i przez to żniwo płaczu bogatsze jest, niż żniwo radości... Pójdę ja już, panie, do domu— dać wypoczynek starym kościom; pan obiecał, że to lekarstwo, które mam zażyć, da mi sen...

— O, niezawodnie!

— To ja panu doktorowi bardzo dziękuję. Od siwej głowy sen ucieka, a prze-

cież wypoczynku jej trzeba, nim Pan Bóg da długi, długi sen... Ja idę, kłaniam się panu doktorowi, dziękuję za radę—a o swego przyjaciela niech pan spokojny będzie. Póki ja żyję, będą go jedli, ale będą jedli po kawałku—całkiem go nie zjedzą przynajmniej.

Stary żyd powlókł się przez błotniste uliczki miasta do swojego domostwa, a doktór został sam i zamyślił się głęboko.

— Ma racyę Maneles—dumał—ma najzupełniejszą racyę, mówiąc o tym biczu, uplecionym z nici, wyrwanych z serca i ukąpanych we krwi... Ten boleśnie zacina i skutecznie popędza. Jednak, czy nie ma środka, żeby biedakom przez ten bicz smaganym, drogę, po której biegną, ułatwić, żeby na niej tylu przeszkód i szkopułów nie było.

Nim zdążył dać sobie na to pytanie odpowiedź, usłyszał turkot bryczki przed domem i niebawem zobaczył przed sobą pana Karola.

Medyk-amator był w doskonałym humorze. Twarz mu płonęła rumieńcem, oczy miał pełne blasku.

— Co za szczęśliwe zdarzenie!—zawo-

łał zaraz od progu—a jechałem do pana nie bez pewnej obawy.

— O co?

— No, chciałem skorzystać z łaskawego zaproszenia, co do tej konferencyi, a w zaproszeniu pańskiem był warunek: „jeżeli jaki chory nie przeszkodzi". Lecz umyśliłem ryzykować, i przyjechałem. Na szczęście —ani jednej bryczki przed gankiem, jesteś pan zatem wolny i niezależny w tej chwili.

— Istotnie.

— A więc, panie doktorze, nie tracąc drogiego czasu, przystąpmy do rzeczy.

To rzekłszy, pan Karol usadowił się w fotelu wygodnie, jak gdyby miał zamiar przepędzić w nim co najmniej kilka godzin. Wydobył chustkę z kieszeni, włożył okulary, odkaszlnął. To uroczyste przygotowanie przerwał mu doktór.

— Tak nie idzie — rzekł. — Konferencya konferencyą, szanowny panie, a zwyczaj zwyczajem; skoro zaś mam szczęście widzieć pana w moim domu, to przedewszystkiem należy pomyśleć o kieliszku i przekąsce.

— Wiesz pan, że ja nie jestem zwolennikiem starych tradycyj; przeciwnie, ideałem moim jest postęp, czego najlepszy

dowód masz pan w tem, że poświęcam wszystkie wolne chwile studyom naukowym i że, w stosunkowo krótkim czasie, doszedłem do zdumiewających rezultatów na polu medycyny. Metoda, z którą właśnie pragnąłbym pana zapoznać, zasadza się...

— Posłucham chętnie i z największą ciekawością, ale od swego nie odstąpię; pod tym względem konserwatysta jestem i takim już do końca pozostanę.

Pomimo opozycyi, zaciągnął pana Karola do stołu, a przy kieliszku rozmowa ożywiła się i dotykała najrozmaitszych kwestyj, oprócz znakomitego odkrycia. Doktór bo co innego miał na myśli, i właśnie chciał się z panem Karolem rozmówić. Nie zwłócząc, przystąpił wprost do kwestyi.

— Proszę pana — rzekł, — jedna rzecz daje mi dużo do myślenia.

— Cóż takiego?

— Był tu przed chwilą stary żyd, Maneles, znasz go pan zapewne?

— Jeszczeby też! Doskonale go znam Niezgorszy to człowiek! nawet dość rozsądny, miewałem z nim niegdyś interesa, tak jak obecnie miewam z jego synem. O czemże doktór z nim rozmawiał? Ponieważ zbo-

ża sprzedawać nie potrzebujesz, więc zapewne była mowa o zdrowiu. On rzeczywiście jest chory, ma marasmę, z wieku; nie sądzę, żebyś mu pan mógł co na to poradzić, bo na starość lekarstwa nie ma, chociaż, powiem panu pod wielkim sekretem, że ja studyowałem i ten przedmiot, i zdaje mi się, że jestem na drodze do bardzo ciekawych odkryć, których wszakże przed czasem publikować nie chcę. Okaże się to później, po przeprowadzeniu doświadczeń na starych i zupełnie zniedołężniałych zwierzętach.

— Ja rozmawiałem z Menelesem o pewnych kwestyach ogólniejszej natury, powszechnym prawie upadku ekonomicznym, o braku kredytu, o...

— A więc o epidemii. Że jest ona, to fakt, jest w powietrzu, w czasie. Epidemia, jak słusznie powiedziałem. Jednostki silniejsze, zahartowane, bardziej odporne, wychodzą z tego obronną ręką, słabsze giną. Wiadomo panu bardzo dobrze, iż tak się dzieje.

— Otóż chodzi o to, czy nie ma rady, czy nie może dziać się inaczej?

Pan Karol zrobił minę bardzo poważną.

— Zapewne — odrzekł, — ale na to trzeba hygieny, dyetetyki i, że się tak wyrażę, dezinfekcyi społecznej, a któż ma się tem zająć?

— Ja myślę, że wszyscy.

— To jest, jakto wszyscy? Jak pan to rozumie? Proszę się jaśniej tłómaczyć.

— Niech pan rozumie tak, jak powiedziałem. Wszyscy, to znaczy wszyscy ludzie, których łączy wspólność położenia i zawodu, wspólność pewnych dążeń, idei, celów. Mocniejszy powinien wspierać słabego, słaby podtrzymywać słabszego od siebie i, tym sposobem, wytwarzać odporność ogólną; połączone siły dużo stanowią, przyznasz pan chyba?

— Jak w jakim wypadku. To bardzo względne.

— Ja myślę, panie, że w każdym, a w tym bardziej niż w innych. Nie byłoby tego co jest, gdybyście szli ręka w rękę.

— To znaczy, gdyby zamożny oddawał swoje mienie bankrutom! Nie, łaskawy panie, każdy dla siebie, Bóg dla nas wszystkich. To najmądrzejsza maksyma. — Bóg dla nas wszystkich, to prawda, ale tenże Bóg, który bez wątpienia jest dla nas wszystkich, nakazał, żebyśmy byli jeden

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK „LEKTURA" w Łodzi ul. Główna 60

dla drugiego. Skoro on nam ojcem, to myśmy bracia, a jako tacy, powinniśmy się wspierać i bronić nawzajem.

— Panie—rzekł pan Karol,—nie wiem, co mam panu odpowiedzieć. Przedewszystkiem, jako człowiek oddany badaniu tak racyonalnej i pozytywnej nauki, jak medycyna, bawić się nie mogę w idealne marzenia. Nie moją rzeczą jest dysputować o tem, czego nie widzę, ani też nie do mnie należy stosowanie różnych chimerycznych teoryj w praktyce. Co kto lubi, panie: jeden poezyę, drugi prozę, jeden fantazyę, drugi grunt... Ja wolę prozę i grunt, marzeń znać nie chcę i dziwię się, że pan medyk, człowiek uczony, przyrodoznawca; dajesz się unosić jakimś niepochwytnym marom, chcąc rozkładać ciężary jednostek słabszych na karki silniejszych. Nie, panie, to nie idzie, to się na nic nie zdało.

— Czy pan dobrodziej zna bajkę o ojcu, trzech synach i pęku trzciny?

— I tę, i dziesięć podobnych znam, ale cóż mnie to obchodzi? Ja mam swoje, swojego pilnuję; czy mi lekko, czy ciężko, to mnie obchodzi, nie narzucam się nikomu. Od nikogo nic nie chcę i pragnę, aby nikt nic nie chciał ode mnie. Taki stosunek

uważam za najlepszy; bo, widzisz, doktorze, jeżeli, naprzykład, w płucach każda komórka jest zdrowa i fukcyonuje doskonale, to całe płuca są zdrowe; jeżeli zaś jedna musi wspierać drugą, trzecią i dziesiątą, to z tego wynika kaszel, suchoty...

— Porównanie niczego nie dowodzi.

— Owszem, dowodzi, więc zostawmy na stronie całą ekonomię i kwestye społeczne, pomówmy o suchotach.

Tu pan Karol szeroko rozwodzić się zaczął nad istotą suchot, nad okropnością tego cierpienia, i, po długiej rozprawie, przyszedł do konkluzyi, mianowicie do tego, że po długich i mozolnych badaniach, odkrył, że wapno, lub gips, tę dolegliwość ludzką, najradykalniej leczy. Doktór, jako gospodarz domu, przez grzeczność słuchał cierpliwie aż do końca, a kiedy pan Karol, zmęczony długiem mówieniem, ocierał z czoła krople potu i oczekiwał okrzyków zachwytu, nie odpowiedział ani słowa.

Pan Karol upomniał się o odpowiedź.

— No, i cóż pan na to powiadasz?—zapytał.

— Nic—odrzekł doktór obojętnie.

— Rozumiem. Jesteś pan olśniony

i na razie nie wiesz, co masz rzec. Istotnie, domyślałem się poniekąd, że tak będzie.

— A cóż naprowadziło pana na ten domysł?

— Powszechnie, drogi panie, wiadomo, że wielkie wynalazki uderzają jak maczugą swoją prostotą, i że nie każdy umysł może je odrazu ocenić. Gdyby komuś, ciemnemu od urodzenia, przywrócono nagle wzrok, to zaniewidziałby powtórnie, olśniony promieniami słońca. Historya wielkich odkryć i wynalazków daje nam na to aż za wiele dowodów. Wynalazcę kolei żelaznych miano za waryata, Galileusz... ale na co mam to panu powtarzać?... Dziś, będąc już wtajemniczonym w moje odkrycie, zaczniesz pan nad niem rozmyślać i, po niejakim czasie, jak mniemam, gdy się pan trochę przyzwyczaisz do myśli, że nadzwyczajne może być zwyczajnem, a niemożliwe możliwem, gdy ochłoniesz z pierwszego wrażenia i spokojnie zastanowisz się nad wartością mego wynalazku, wtenczas jeden z pierwszych oddasz hołd zasłudze i będziesz głosił światu imię jego dobroczyńcy. Ja, co już panu powiedziałem, zysków materyalnych na widoku nie mam, i daleki jestem od chęci korzy-

stania z mego wynalazku; zastrzegam sobie tylko honor, tego się nie wyrzeknę. Ludzkość powinna wiedzieć, komu zawdzięcza swoje ocalenie. Przyznasz pan bowiem, że ocalenie jest...

— To jeszcze wielka kwestya, łaskawy panie.

— Jak dla kogo, dla mnie nie.

— Jednak, może mi pan raczysz przyznać pewną kompetencyę pod tym względem.

— Bez kwestyi, ale kompetencya nie wyklucza możności olśnienia, a pewna, że tak powiem, zarozumiałość i zawiść zawodowa, bo widzisz, kochany doktorze, aczkolwiek mam cię za człowieka o wiele wyższego nad pospolitych, to jest tak, nie cofam wyrażenia, nad pospolitych recepciarzy... jednak rozumiem dobrze, iż możesz doznawać pewnego przykrego wrażenia na myśl, że to, czego wy, cechowi, nie mogliście zrobić w ciągu tylu wieków, od Hipokratesa począwszy, dokonał człowiek prywatny i z cechem waszym nic wspólnego nie mający...

Wywiązała się z tego bardzo żywa dysputa, która następnie zmieniła się w sprzeczkę. Pan Karol aż ochrypł; doktór o mało ataku apoplektycznego nie dostał.

Rozstali się bardzo źle.

Medyk-amator, siedząc na bryczce, jeszcze powtarzał półgłosem:

— Fuszer... recepciarz... zazdrośnik... on sądzi, że z patentem monopol na trucie ludzi zyskał! Ciasna, zakuta głowa, rutynista! empiryk!

Doktór znów, okno otworzył, żeby świeżego powietrza zaczerpnąć.

— Waryat—mruczał przez zęby,—maniak, zboczenie umysłu, szaleniec zarozumiały... skąpiec i egoista!

Z okienka małego domku, który doktór zajmował, widać było jasne, pogodne niebo, usiane gwiazdami; z małego ogródka dochodził zapach lewkonii, rezedy i róż. Orzeźwiający wietrzyk chłodził szerokie czoło doktora. Pod jego tchnieniem uspokoił się znacznie, uśmiechnął się pobłażliwie.

— Czego ja się gniewam? — rzekł cicho—iluż było takich maniaków i waryatów! czem sobie głowę zaprzątać?!

Wkrótce też zapomniał chwilowo o panu Karolu i o jego wynalazku—postać amatora-medyka zniknęła z przed jego oczu; natomiast, w wyobraźni zarysował się szalecik szwajcarski, z werendami, z wie-

życzką, a na jednym z jego balkonów piękna pani Malwina.

— Jutro tam być muszę—pomyślał;— od wczesnego ranka chorych odwiedzę, wszystko w ciągu dnia załatwię, wieczór zaś muszę mieć na swoją wyłączną własność. Ranek mego życia był smutny, południe nie weselsze—może chociaż wieczór jasny będzie.

Znaleźć się tam, porozumiewać, zapomnieć o swojej samotności, było to szczytem marzeń doktora...

Postanowił też nieodwołalnie nazajutrz stawić się u pięknej wdówki.

— A może—myślał,—okoliczności złożą się tak szczęśliwie, że będę mógł chociaż w części odkryć jej stan mego serca... że, jeżeli nie otwarcie i wprost, to przynajmniej pośrednio potrafię dać jej do zrozumienia, że moje szczęście jest w jej ręku, że... że...

Przeląkł się swojej śmiałości.

Noc była piękna, pogodna, pachnąca. Długo, długo siedział stary kawaler przy okienku, oddychał wonią kwiatów z ogródka i marzył. Dopiero chłodniejszy powiew wiatru przywołał go do porządku. Spojrzał na niebo, już bladawa światłość znaczyła

się na wschodzie, lampa dogasała w pokoju, zegar blizko trzecią godzinę wskazywał...

Doktór na spoczynek się udał. Zaledwie oczy zmrużył, ktoś do drzwi gwałtownie zaczął się dobijać. Po chwili już nietylko do drzwi, ale do wszystkich okien naraz kołatano, krzycząc gwałtu.

Doktór zerwał się z łóżka, pobiegł do okna, lufcik otworzył.

— Co to? —zapytał—pożar?!

— Aj waj, panie doktorze! gorzej, jeszcze gorzej, gwałt!

— Niech pan wstaje prędzej, niech pan idzie, niech pan śpieszy.

— Ależ co? gdzie, do kogo?

— Nieszczęście!

— Mówcież nareszcie, co się stało?

— Oj, panie! Maneles, Maneles umiera!

— Dziś był u mnie.

— Był, a teraz już nie jest, może już wcale nie jest! Niech pan doktór śpieszy, na gwałt niech pan śpieszy.

Ditto szybko się ubrał i pobiegł na miasto. Pomimo tak wczesnej pory, właściwie pomimo nocy, przed domem Manelesa zgromadził się tłum żydów. Wieść o bliskiej śmierci starego bogacza, jak iskra elektryczna, obiegła całe miasteczko. Kto żył,

biegł dowiedzieć się o człowieku, który był w całem miasteczku najstarszy, miał opinię mądrego i sprawiedliwego, opiekuna biednych i sierot.

Gdy doktór nadbiegł, przywitano go okrzykiem radości; tłum rozstąpił się, robiąc mu wolne przejście.

Na progu spotkał doktora najstarszy syn chorego.

— Co jest?—zapytał doktór.

— Nie wiem, panie, jest źle. Ojciec wieczorem położył się i usnął. Koło północy przebudził się z krzykiem. Myśmy się wszyscy zerwali, chcieliśmy po pana posyłać. Ojciec bardzo ciężko oddychał, nareszcie, kiedy mógł słowo przemówić, rzekł: Nie posyłajcie po doktora, ja wiem, że już jest mój koniec. Myśmy zaczęli płakać, a on powiada: Nie bądźcie jak głupie dzieci, życie nie może trwać wiecznie. Sprowadźcie dziesięciu żydów, niech odmówią ze mną modlitwy; więcej ja od was tymczasem nie chcę. Posłuchaliśmy rozkazu ojca, przyszedł rabin, modlili się, czytali Psalmy z półtorej godziny. Ojcu zrobiło się trochę lepiej. Kazał zawołać do siebie dzieci i wnuki, przemawiał do każdego, błogosławił... Dużo mówił, a potem opadł z sił zu-

pełnie i rzekł: Teraz poślijcie po doktora, ja już nie potrzebuję jego rady, ale chciałbym go widzieć. Myśmy posłali po pana, ratuj go pan, jeżeli można.

Doktór wszedł do stancyi. Maneles leżał na łóżku: długa biała broda spadała mu na piersi, oczy miał jakby zamglone. Gdy zobaczył doktora, podniósł się trochę na ręku.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł— rzekł głosem słabym i bezdźwięcznym,—ja chciałem pana pożegnać.

— Ależ panie!

— Ja wiem, co mnie czeka.

— Pozwól-że pan, zobaczmy.

— Już czas przyszedł, mnie pomódz nie można. Może pan sądzi, że mi co dolega? Nic, tylko siły nikną. Pan Bóg woła, trzeba iść. Ja chciałem pana jeszcze raz widzieć, bo myśmy z sobą czasem rozmawiali, i dużo nawet rozmawiali, a ja panu jeszczebym niejedno powiedział...

Zwiesił głowę na piersi, oczy przymknął. Blady był jak płótno; na wysokie, gładkie czoło wystąpiły grube krople potu. Wyschłemi, kościstemi palcami skubał bieliznę na sobie.

— Wina mocnego proszę—zawołał doktór,—prędzej!

W tej chwili przyniesiono wino, doktór wlał umierającemu w usta kilka kropel, Maneles po chwili znowu oczy otworzył.

— Mówiłem dzieciom moim i wnukom moim—szeptał,—żeby byli uczciwi, ja im to mówiłem. Mówię panu i wszystkim waszym, bądźcie wyrozumiali... nie rzucajcie kamieniem. Ach, krzywda rodzi krzywdę, złe jest matką złego, bądźcie dobrzy...

Znów przerwał, zapadł w senność. Wyschła pierś jego podnosiła się i opadała powoli, oddech był coraz cięższy.

Doktór napisał parę słów na karteczce i kazał natychmiast posłać do apteki, pragnął energicznym środkiem podtrzymać jeszcze przez chwilę słabo tlejącą iskierkę życia...

W stancyi zapanowała cisza, przerywana tylko tłumionemi westchnieniami kobiet.

Nim przynieśli lekarstwo, starzec raz jeszcze oczy otworzył, westchnął głęboko i—skonał.

Siwa głowa bezwładnie opadła na poduszki.

Gdy stary Maneles umarł, w całem miasteczku zrobił się wielki płacz i lament. Bądź co bądź, ten starzec, uważany powszechnie za patryarchę, był świadkiem lepszych czasów, o których wymownie opowiadać umiał. Uważano go za bardzo bogatego, nabożnego, uczonego; szanowano jego słowa, zasięgano rady, a cały biedny, pół nagi, wiecznie zgłodniały tłum miał go słusznie za swego opiekuna i dobrodzieja. Ci płakali najgłośniej i szczerze, naprawdę płakali.

Ten stary żyd chodził za życia między najuboższych, badał ich potrzeby, ich nędzę—i, jak mógł, swojemi funduszami dopomagał, a gdy te nie starczyły, przemawiał w kahale, kłócił się z gospodarzami

miasta, wojny toczył, aż ostatecznie sprawę biednych wygrywał. Uważali go za ojca biednych i opuszczonych, a takim też był istotnie. Pomagał im wszelkiemi sposobami, dając nietylko wsparcia, ale i zatrudnienia rozmaite, zarobki. Dlatego też, gdy umarł, płacz wielki po całem miasteczku się rozległ; słychać było krzyki i lamenty, biedacy rwali sobie włosy z głowy, rozdzierali szaty na znak pokuty i żalu, bili głowami o ściany.

Smierć Manelesa nastąpiła w nocy; pogrzeb odbył zię nazajutrz w południe. Żałoba była w całem miasteczku: pozamykano sklepy, cała ludność wyległa na kirkut. Zdawało się, biedakom zwłaszcza, że miasto osierociało zupełnie, że biedacy stracili jedynego opiekuna, przyjaciela i orędownika. Doktór patrzył na tłum, objawiający głośno swoją boleść i zastanawiał się nad tem zjawiskiem. Dla czego podobne manifestacye nie zjawiły się na pogrzebach innych bogatych i, niby uczonych, żydów? dla czego tamtym żal powszechny nie towarzyszył do grobu?

Zainterpelował o to jakiegoś biednego krawca.

— Panie — odrzekł zapytany, — są na

świecie różne żydy: bogate, biedne, takie, owakie... dobroczynne, sprawiedliwe — ale takich, jak stary Maneles, już nię ma. On był ostatni... On szedł z tego rodu, który się już nie odrodzi, i z tych ludzi, którym już podobni nie będą; on był z tych, którzy byli dobrzy, nieinteresowni bardzo, niechciwi, sprawiedliwość przed nim chodziła.. a on szedł za sprawiedliwością. Gdyby człowiekowi żyjącemu odjąć oko, odjąć dwoje oczu, odjąć głowę,—byłoby to samo, co naszemu miastu odjąć starego Manelesa. Taki drugi już nie będzie... Teraz, ma się rozumieć, młody Maneles zostanie starym Manelesem... On naprawdę jest stary, i on Maneles—ale, wierz mi pan, panie doktorze, on nie będzie stary Maneles... Jemu brakuje tego, co tamten miał.

— Czegoż to?

— Albo ja wiem, wielmożny panie? ja, prosty człowiek, opowiedzieć tego nie potrafię. Mówię jak krawiec: ze zgrzebnego płótna nie będzie atłasowa kapota, a nieboszczyk był czysty atłas, czysty jedwab... jedwabny człowiek, niech pan wierzy. Jego syn będzie chciał naśladować ojca; może będzie wspierał biednych, dla czego nie?

On bogacz jest — ale nie ma tego co stary Maneles miał...

— Może serca?

— Panie doktorze, ja nie wiem, jak się to po pańsku nazywa, ja nie wiem nawet, jak to po żydowsku nazwać, ale ja czuję. Może to serce, może dusza... może, albo ja wiem co? Coś, czego młody Maneles nie ma, ani jego dzieci, ani jego wnuki mieć nie będą. Pewnie o tem stoi pisane w Gamure, ale ja nie jestem uczony, ja sądzę po prostemu, swoim głupim rozumem, takim, jaki mi Pan Bóg dał. Panie, mnie się zdaje, że stary Maneles był dusza—był dobra dusza, czysta dusza! niech on ma raj, a my, my będziemy mieli płacz i gorzkość.

Kiedy chowano starego, doktór poszedł za orszakiem żałobnym na kirkut. Wywołało to ogromną sensacyę wśród żydów. Dumni byli, że człowiek obcy im przekonaniami, religią, poszedł, aby odprowadzić do grobu szczątki ich współwyznawcy.

Niektórzy wprost zaczepiali o to doktora—i nie taili zdziwienia.

— Jak to?—mówili—pan tu? między nami?

— Cóż was to dziwi?

— No, pan jest pan, pan chrześcianin

jest—pan uczony, pan doktór, idzie pan z nami na cmentarz?...

— Dla czego nie?

— Nas to bardzo dziwi...

— A mnie wasze zdziwienie gniewa. Kogoż to chowacie?

— Kogo? no—żyda chowamy.

— Nie, dobrzy ludzie, nie za żydem ja idę, nie żydowi oddaję pośmiertne honory.

— Co pan mówi? alboż Maneles nie był żyd? Właśnie był sprawiedliwy, nabożny, uczony żyd—żyd co się zowie.

— To mi wszystko jedno. Dla mnie był to przedewszystkiem człowiek. Człowiek moralny, uczony, zasługujący na szacunek. Z tego powodu, uważałem za obowiązek oddać mu ostatnią przysługę.

Żydzi kiwali głowami, ale to uznanie pochlebiało im.

Przy wyjściu z kirkutu, kiedy już nad szczątkami Manelesa wznosiła się świeża mogiła—doktór zwrócił się do bogatszych honoratiorów miasteczka i rzekł:

— Bardzobym pragnął, aby zasady tego człowieka, którego pogrzebaliśmy przed chwilą, nie były zakopane w ziemi z nim razem—aby te nauki, które on dawał, stały się waszem przekonaniem—abyście pamię-

tali o owych kwartach dziurawych, których cała rzeka nie napełni...

— No, rzeczywiście, on tak lubił mówić.

— Pamiętajcie o tem, panowie.

— Co nie mamy pamiętać?... zawsze będziemy to mieli na uwadze!

Kłamali.

Może w pierwszej chwili, pod wrażeniem świeżej straty, mieli na myśli nauki starego i doświadczonego żyda, ale jeszcze ziemia na jego grobie nie zdążyła się zazielenić, gdy zapomnieli o nich zupełnie... I wspomnienie postaci siwowłosego starca zatarło się szybko. Wszystkich unosiła fala geszeftu, pochłaniał płomień chciwości, żądzy zbogacenia się zaraz, natychmiast, bez zwłoki.

Uczuwali to wszyscy klienci Manelesów i drobniejszych kapitalistów, w spółkę z nimi związanych, a najbardziej uczuwał pan Jan, który, z przyczyny wypadków losowych, musiał ciągle mieć z nimi stosunki. Darli go bez miłosierdzia, bez litości, a on, jak ów tonący, który brzytwy się chwyta, gdyż tę tylko ma pod ręką, czepiał się tego jedynego środka, bez względu na to,

że on kaleczy go i zakrwawia. Może też liczył na swoje siły, na pracę.

Siodłowski z gromadą robotników pracował; zręby nowych budynków już się bieliły zdala, już i wiązania na dachach się wzniosły, już i gonciarze ze swym wyrobem na tych dachach pracować zaczęli, a pieniądze szły jak woda, leciały niby wióry z pod hebla.

I nie dość na tem. Oprócz robotników, przy budowie zajętych, przychodzili po wypłatę żniwiarze, bo sierpy i kosy już zaczęły dzwonić po polach, garście leżały na zagonach, wiązano snopy, aby je zwozić do stodół. Ruch to wtenczas na wsi gorączkowy, szalony. Młody Maneles, któremu w sukcesyi po ojcu tytuł starego przypadł, bywał częstym gościem w Stawiskach. Kontraktował zboże ledwie zżęte, lub niezżęte, dawał zaliczenia, spisywał umowy. To kupił, tamto kupił, a czego sam nabyć nie mógł, lub nie chciał, na to przysyłał „kupca", ma się rozumieć swego wspólnika, który się jednak do spółki nie przyznawał i na Manelesie psy wieszał, wystawiając go przed panem Janem jako najgorszego oszusta i łotra. Maneles ze swej strony, znów tamtemu epitetów najgorszych

nie szczędził — i tak owi dwaj, pozornie wrogowie, usiłujący nibyto kopać dołki jeden pod drugim, nie znoszący się jakoby, w miasteczku godzili się, jak rodzeni bracia i dzielili zyskami ze Stawisk w najprzykładniejszej harmonii. Wprawdzie z Sakłakowskim kłopot minął, suma była zapłacona, w hypotece miejsce niecierpliwego wierzyciela zajął Maneles, który miał zupełnie inny temperament i z góry oświadczył, że nie będzie wymagał przez dłuższy czas kapitału, zadowoli się procentem, a jeżeli i na procent gotówki nie będzie, to poprzestanie na wekslu, zwyczajnym rewersie, czy jakimkolwiek świstku papieru, dla podstawy do obrachunku, dla porządku.

W ogóle, ten Maneles lubił mieć wszystko na piśmie; po za tem okazywał wielką życzliwość, bezinteresowność i obojętność na własne nawet interesa. Do rady był jedyny.

— Proszę pana — mówił raz do pana Jana. — niech pan mnie posłucha, ja panu dobrze radzę i dobrze życzę. Pan potrzebuje mieć pachciarza, nie tyle może dla dochodów, ile dla wyręczenia w interesach. Pan ma przy gospodarstwie dużo zajęcia, brak panu czasu na jeżdżenie, na kramarze-

nie się z kupcami. Ja panu dam młodego, obrotnego żydka... będzie pan z niego kontent. Interesowany nie jestem, bo ów żydek nie jest mój brat, ani swat, ani mnie obchodzi. Żydek, jak żydek, stręczę go przez życzliwość dla pana.

Pan Jan nie godził się na propozycyę.

— Jak pan chce — mówił Maneles, — ale ja radzę. Niech pan z nim zgodę zrobi, on da półroczną ratę z góry, on da kaucyę, ja jemu każę dać kaucyę, i zapowiem, żeby służył panu wiernie, a o pańskie interesa dbał, jak o swoje własne. Ja wiem, że pan będzie z niego kontent, bo to zdolny człowiek, ma głowę na karku, a obrotny jest i do wszystkiego ma spryt. On się na bydle zna, potrafi kupić i sprzedać, doświadczony w tem jest, po jarmarkach ciągle się włóczy. On panu każdy sprawunek zrobi, kupca na każdą rzecz znajdzie. Pan będzie miał z niego prawą rękę, a kosztować będzie tyle, co nic.

— Jakto nic?

— Proszę pana, co takiemu potrzeba? On młodzik, niedawno się ożenił, ma całej parady dwoje dzieci. Trzeba mu tylko dać mieszkanie, trochę zboża, trochę drzewa, kawałek ogrodu, to mu chłopi przez grze-

czność uprawią, a jak cokolwiek zarobi na mleku, cokolwiek dostanie za fatygę od pana, mały procent od sprzedaży, to już będzie, aj! nie wiem, jak będzie kontent. Panowie trzymacie oficyalistów. Ja nie wiem, czy to dobry interes; podług mego rozumienia, to całkiem zły.

— Dla czego?

— Proszę pana, oficyaliście trzeba dać pensyę, ordynaryę, i co z niego jest? Co pnn ma ze swego Muchowicza? Czy on potrafi choćby najmniejszy interes załatwić? Czy się na czem zna?

— Na gospodarstwie się zna.

— A przepraszam pana dobrodzieja, ja wiem, jakie to znawstwo...

— Alboż rozumiesz się na gospodarstwie, panie Maneles?

— Ja się na wszystkiem rozumiem, i napróżno nie mówię. Całe gospodarstwo podług panów jest w tem: chłop krzyczy na woły, Muchowicz krzyczy na chłopów, a na Muchowicza pan dziedzic krzyczy. Z tego może być co najwyżej zorana rola i zasiane zboże.

— Alboż to nie ważne?

— Jak kiedy. Jeżeli jest rola, są woły i ziarno, to dobrze, to i Muchowicz może

być gospodarz, ale jeżeli wołów nie ma, a ziarna do siewu braknie, to co on zrobi? co potrafi? Nie sztuka dać sobie rady z tem, co jest, niech on poradzi wtenczas kiedy nie ma.

— Cóż jego to obchodzi, to rzecz właściciela.

— Pan dobrodziej się myli. Taki interes to nie Muchowicza rzecz, to jest żydowska rzecz; w tem tylko żyd może być dobry gospodarz.

— Mój panie — przerwał niechętnie pan Jan, — tego rodzaju sprawy obchodzą tylko właściciela majątku... Oficyalista dobry jest, gdy spełnia to, co do niego bezpośrednio należy i do czego jest obowiązany.

— A jednak ja panu powiadam... i radzę praktycznie. Taki żydek, jakiego ja panu chcę dać, to skarb — on piętnastu oficyalistów zastąpi, bo on za piętnastu ma głowę. On potrafi nie jeść i nie spać, a pańskiego dopilnować. Przekona się pan, że ja mówię prawdę, nic nie przesadzam. Ja się znam na takich rzeczach, zęby na tem zjadłem, nogi schodziłem. Zresztą cóż? ja pana nie namawiam, ani nie przymuszam — dobry towar sam się chwali, a ten żydek właśnie jest dobry towar. Pan go

dziś nie chce, pan powiada, że się bez niego obejdzie, że on nie potrzebny jest... Bardzo dobrze, poczekajmy kilka miesięcy, pan się przekona, że jest inaczej, pan sam będzie się o niego starał — będzie się pan dopominał o niego.

Mówiąc to, Maneles śmiał się złośliwie, bo wiedział, że jego słowa się sprawdzą.

W takich razach nie trzeba być prorokiem, żeby umieć przyszłość odgadnąć.

Młody żydek osiedlił się w Stawiskach. Dał kaucyę, dał ratę za pół roku z góry, był usłużny, kłaniający się, pokorny, do posyłek, do wszelkich sprawunków jedyny.

Muchowicz klął okropnie, że żydzi się na folwark wdzierają, lecz Joel, tak było owemu młodemu żydkowi na imię, umiał trafić w słabą strony oficyalisty i gniew jego ułagodzić. Pod wpływem tych łagodzących środków, Muchowicz klął mniej, a natomiast częściej uskarżał się na ból głowy i senność. Były to cierpienia przemijające, ale powtarzały się dość często, tak, że pan Jan kilkakrotnie zmuszony był zapowiedzieć mu, że go wypędzi. Z tego powodu były rzewne sceny, przyrzekanie poprawy, wyprzysięganie się na całe życie wszelkich trunków — i za tydzień recydywa.

Joel dla siebie nigdy nic nie żądał. Był zupełnie bezinteresowny, stręczył tylko geszefta dla drugich. Osadził jednego krewniaka na dzierżawie ogrodu, innego wpakował na wiatrak, dla trzeciego wyrobił smolarnię. Dzięki temu, w Stawiskach zaprowadzona została pewnego rodzaju kontrola; w miasteczku, w głównym sztabie Manelesa, wiedziano doskonale o każdym korcu ziarna, snopku słomy, stożku siana; wiedziano, ile jest koni, wołów, krów, cieląt, owiec; policzono jak najdokładniej drzewa w lesie; wiedziano, ile potrzeba na nakłady w gospodarstwie, na wydatki domowe, na wszystko. Każda rzecz, aczkolwiek tylko na oko, była zważona, zmierzona i porachowana z zadziwiającą dokładnością.

O panu Janie mówili w tym sztabie głównym, że jest doskonałym ekonomem, i nie mylili się. Człowiek ten do dnia wstawał, późno w nocy kładł się na spoczynek, najdrobniejszej słomki nie dał zmarnować, pilnował całości mienia, jak źrenicy własnego oka, a wszystkie dochody oddawał jak najsumienniej w formie procentów. Dla siebie tyle miał tylko, że żył. Oszczędność posuwał do ostatecznych granic, w przeko-

naniu, że tą drogą stanie na własnych nogach, odzyska niezależność, zgromadzi fundusz na edukacyę dzieci, na zabezpieczenie starości. Nieraz nawet dawał się z tem słyszeć:

— Poczekajcie no—mówił,—rok, dwa, trzy, wszystko będzie inaczej.

Maneles uśmiechał się, potakiwał, życzył, żeby się to jak najprędzej urzeczywistniło, ale wiedział doskonale, że tak nie będzie, i tolerował w dalszym ciągu dobrego ekonoma.

Przerzedzone przez grad zboże podniosło się jakoś, dojrzało, padło pod ostrzem sierpów i kos, i zapełniło nowe stodoły, które Siodłowski na czas, jako był przyobiecał, wykończył. Świeżo sprowadzona młocarnia warczała i dudniła, poruszana czterokonnym kieratem; na polach krajały ziemię nowe pługi. Z chwilą zbliżającego się siewu nowa otucha w serce wstępuje, z ziarnem, rzuconem w rolę, kiełkują nowe nadzieje. Pan Jan żwawiej uwijał się po polach.

Jednego wieczoru, gdy od roboty już wracał, ujrzał nadjeżdżającego doktora.

— Dokądże to doktór kochany jedzie? —zapytał.

— Umyślnie do was...

— Doskonale, gdzież to zapisać? Na palcach można policzyć twoje u nas wizyty, doktorze.

— Nie moja wina, że nie chorujecie— odrzekł Ditto.

— Wiesz pan, że nie o takich wizytach mówię. Ile razy konie posłać po pana, gdy potrzeba zachodzi, natychmiast śpieszysz, nie dasz na siebie długo czekać, lecz rzadko nas odwiedzasz jako gość.

— To już wina mego zawodu, kochany panie Janie, nie zawsze mogę czasem swym rozporządzać. Cóż słychać u was, zdrowiście?

— Zdrowi, matka trochę niedomaga, ale to w jej wieku rzecz zwyczajna, lada co staruszce zaszkodzi. Zresztą, wszystko po dawnemu.

— Czy dawno wyszedłeś z domu, panie Janie?

— Po obiedzie.

— Więc nie wiesz, czy jest kto u was?

— Któżby miał być?

— No, nie wiem, tak się tylko pytam, przez ciekawość, może kto z sąsiadów?

— Nie widziałem, żeby kto jechał, z tej strony przynajmniej. Dla czego doktór o to pyta, czy może chodzi o wista?

— Nie jestem ja amatorem gry, ale... Więc mówisz pan, że nikt z tej strony nie jechał, mógł wszakże przybyć z przeciwnej...

— A, teraz jestem w domu! Przepraszam więc, doktorze, żem cię posądził o bezinteresowną wizytę...

Doktór zaczerwienił się i zmieszał.

— Nie rozumiem aluzyi — rzekł. — Do czego pan to stosujesz? Wybrałem się do was, no, i jestem, a że pytam się, czy kto nie będzie, to jest... czy kto nie jest, to prosta ciekawość, nic więcej. Nie trzeba przypisywać komuś myśli ukrytych.

— Więc dobrze, odrzucam wszelkie przypuszczenia, lecz naucz mnie, doktorze, komu mam przypisać, jeżeli sprawdzi się moje przeczucie...

— Jakie znów przeczucie! Czy i pan wierzysz w przeczucia?

— Niekiedy; dziś wierzę i gotów jestem trzymać pięć przeciw stu, że pani Malwina albo już jest u nas, albo lada chwila przybędzie.

— Jesteś, panie Janie, złośliwy... Wreszcie, choćby nawet przyjechała, czegóż to dowodzi? przypadek, zbieg okoliczności...

— Niespodziewany, a może i niepożądany dla pana...

— Ależ bo...

— Dajmy pokój sporom. Jedźmy, szkoda czasu. Może ona już jest, a w takich okolicznościach, każda minuta ma swoją wartość. Znamy się na tem.

Doktór milczał.

— Powiedz-no szczerze, jako człowiekowi zaufanemu i przyjacielowi — spytał pan Jan: — jakże tam? są jakie postępy, nadzieja?

— Alboż ja wiem...

— Tej odpowiedzi nie spodziewałem się po człowieku tak energicznym, jak doktór jesteś. Trzeba iść śmiało do celu.

— Ja też idę, ale powoli. Niekiedy zdaje mi się, że mam jakieś widoki, to znowu całkiem tracę nadzieję. Męczy mnie to, snu pozbawia, truje! Nieraz dziwię się i zastanawiam, co się ze mną dzieje, ale, mój panie, to jest zagadka, której, pomimo wszelkich wysiłków woli, nie potrafię rozwiązać.

— I na co rozwiązywać? iść za głosem, który woła.

— Mnie źle, mnie smutno, czegoś mi brak. Dokoła siebie widzę przerażającą pustkę, nicość; nawet, wstyd się przyznać, już mnie i książki nie zajmują tak, jak dawniej. Jestem zupełnie inny człowiek.

— Widzę, kochany doktorze, — rzekł pan Jan, — że przy swojej dziwnej nieśmiałości, nigdy do celu nie dojdziesz. Na szczęście, znajdziemy na to sposób.

— Sposób! słuchaj pan, żeby na to sposób się znalazł, to oddałbym.. pół życia.

— Nie potrzeba tak wielkiej ofiary. Oddam cię w opiekę kobiet; moja żona i matka, przy pomocy panny Gracyi, ożenią cię bardzo prędko.

— Wątpię, czy moja siostra zechce do tego rękę przyłożyć.

— Zostaw nam to, przerobimy pannę Gracyę, i stanie po naszej stronie.

Rozmawiając w ten sposób, dojechali do Stawisk, a może w kwadrans później, ukazał się przed dworkiem powozik pani Malwiny. Pan Jan znalazł sposobność powiedzenia kilku słów żonie, i wszystko tak się składało, że doktór był zachwycony. Siedział obok wdówki, prawie ciągle z nią

rozmawiał, bawił ją. Ledwie spojrzał na dzieci, które tak lubił. Maleństwa patrzały na doktora szeroko otwartemi oczyma i dziwiły się, że nie woła ich dziś do siebie, nie pieści, nie opowiada wesołych bajeczek. Byłyby może same przyszły do swego przyjaciela i zdobyły go szturmem, ale onieśmielała je obecność pięknej pani, z którą nie zaprzyjaźniły się jeszcze. Kiedy rozmowa szła w najlepsze, wywołano pana Jana.

W pokoju, w którym zwykle interesantów przyjmował, oczekiwał na niego chłop barczysty, wysoki, trochę przygarbiony, ze szpakowatemi włosami, które mu aż na ramiona spadały.

Gdy ujrzał pana Jana, ukłonił się i powiedział „pochwalony", a sięgnąwszy w zanadrze, całą pakę papierów ztamtąd wydobył.

— O, wójcie—rzekł pan Jan,—chybaście tu całą kancelaryę przynieśli!

— Ha — odpowiedział, — co mi pisarz dał, tom przyniósł. Niebardzo ja tam dużo z tych papierzysków wyczytałem, bo zdolności wielkiej do tego nie mam, i jeszcze mi ktoś, niech go Pan Bóg skarze, okularska ukradł. Śliczności statek, dwa złote pieniędzy dałem za nie, jak lodu, i teraz jestem

jak ślepy. W polu widzieć, bo widzę, choćby najmniejszą ptaszynę, ale co pisma, to nic, choć, po prawdzie, i z maleńkości niebardzo ci ja był do takich jenteresów chytry... Przecie co nieco, choć piąte przez dziesiąte, wiem, co tam stoi.

— Tu dużo rzeczy stoi, mój wójcie, i o niejedno będziemy się spierali.

Chłop zaczął się po głowie skrobać swoim zwyczajem i z nogi na nogę przestępować.

— Naprzód, chcecie ode mnie drzewa na jakiś most.

— A juści, tak pisarz powiadał, przecie mostu bez drzewa nie sporządzi, a już kaducznie zmarnowany. Żyd z biedką i z koniem zawalił się het! w wodę, ledwie go wyciągnęli, i jeszcze pomstował, wygrażał, że na skargę pójdzie.

— No, dobrze to jest, ale zkąd racya, żebym ja miał drzewo dawać?

— Juści, wielmożny dobrodzieju, ja tam gadać, że niby racya, nie gadam, jeno się żyd mało nie zatopił, to prawda. Baliki były zgniłe, żyd objazdu nie znał, wpakował się w sam środek i biedy narobił. Gdyby nie ten niedowiarek, most byłby jeszcze dwadzieścia lat mógł stać, bo nikt po

nim nie jeździł, aliści licho go przyniosło, i teraz my, gospodarze, musimy cierpieć przez niego. Nawet sołtys sprawiedliwie powiadał, że za taką psotę trzeba było żyda do kozy wsadzić i konia mu zafantować.

— Jednak, mój wójcie kochany, ja wam drzewa nie dam.

— A to jakże będzie, proszę pana dziedzica?

— Kupcie sobie.

Chłop zrobił wielkie oczy.

— Kupić? — zapytał — jakże to?

— Bardzo prostym sposobem: udać się do kogo, kto ma las, wybrać potrzebne drzewo i kupić, zapłacić pieniędzmi.

— Widzi mi się, wielmożny panie, że to nie gospodarska rzecz. Tyle lat na świecie żyję i nie słyszałem, żeby gospodarze kupowali drzewo na mosty. Jeszcze na chałupę, albo na stodołę, gdy się komu spali, to podobniej — ale na most... na most... Po sprawiedliwości, panie dziedzicu, nie ma w tem racyi. Od samego świata stworzenia chłopi byli i drzewa na mostki nie kupowali—to i nie będą.

— Ale dlaczegóż ja mam dawać darmo drzewo, skoro mnie do tego żadne pra-

wo nie obowiązuje? Wytłómaczże mi, mój wójcie, dlaczego?

— Ha, no, raz według tego, że pan dziedzic jest pan, a po drugie, że do pana dziedzicowego lasu jest najbliżej, a po trzecie, że tak pisarz powiedział.

— Cóż mnie pisarz obchodzi? Może mówić, co mu się podoba.

— Wielmożny panie — rzekł wójt, — kuty on na wszystkie cztery nogi, a kodeksa zna lepiej niż inszy żyd. Ja sam nieraz z nim mam sprzeczkę, ale on zaraz mi pokazuje książkę—i powiada: taki zakon, a taki zakon. I teraz to samo powiada, żebym poszedł do pana po drzewo i ja przyszedłem, a pan dziedzic powiada, że nie. Podług mego pomiarkowania, nikt tu nie winowajca, jeno ten żyd, który się na moście zawalił... Po co bestya przez most jechał? dlaczego nie mijał?... a teraz chwestya jest...

— O tem, mój wójcie, mówić co nie mamy. Drzewa ja nie dam, możecie mnie skarżyć, ale uprzedzam, że nie wygracie.

— Panie dziedzicu! toć będzie hambaras i mitręga. Zaczną nas wodzić do miasta, tak i siak, na sprawy... lepiej po dobro-

ci. Albo na taki mostek dużo trzeba, albo jakiego celnego drzewa?! Co nie bądź, byle sklecić most...

— Nie, ja daję tylko to, co się należy i mówić już o tem nie będziemy. Co macie do mnie więcej?

— O! nie brak. O podatki pisali z powiatu. Należy się...

— Wiem, będzie zapłacone wszystko.

— I do gminy składka też zalega...

— Zapłacę.

— A oto od sądu parę kwiteczków, podług różnych spraw, o szkody, o to, o owo, jak wiadomo. Dziś taki świat, że bez sądu ani rusz.

— Dajcież te wszystkie papiery i zostawcie je, jakoś to się pozałatwia, a teraz bądźcie zdrowi, gości mam i muszę do nich iść. Ale, ale, mój wójcie, byłbym na śmierć zapomniał...

— A co panie?

— Jakże ten Walek Sowa z Wólki, poratował się już trochę po ogniu?

— Bogać się poratował! zkąd? Stodoła mu się spaliła ze wszystkiem zbożem, bydłu nie będzie co dać jeść, on sam ledwo łazi, a jego kobiecisko od tygodnia leży jak bez duszy i pewnie zamrze.

— To niedobrze... to bardzo niedobrze... Nie będziecie wy w tych dniach w Wólce?

— A toć jutro do dnia pojadę za podatkami.

— Mój wójcie, proszę was, powiedzcie Walkowi, żeby do mnie przyszedł, a lepiej, żeby przyjechał. Dam mu parę korcy zboża i trochę drzewa na stodołę.

Wójt spojrzał na p. Jana zdumiony, w głowie mu się pomieścić nie mogło, dlaczego człowiek ten, który się spiera o drzewo na mostek, chce jednocześnie dać drzewa chłopu na stodołę.

— Wielmożny panie — rzekł nieśmiało,—jakoś mi to do głowy nie idzie, że pan na jedno tak, a na drugie inaczej...

Pan Jan rozśmiał się.

— Moi kochani—rzekł,—rozważcie to sami swoim rozumem, a jeżeli nie pomiarkujecie, to wam wolnym czasem wytłómaczę. A jakże nasze układy co do lasu?

— Namyślają się gospodarze, ale...

— O cóż chodzi?

— Ha, wielmożny dziedzicu, jak to u nas, między chłopami, jedni powiadają, że swój las dobra rzecz, drudzy, że serwitut też dobra rzecz, a zgody nie ma. Ten mą-

dry, tamten jeszcze mądrzejszy, a wszyscy ciemni, jak tabaka w rogu. Na mnie krzyczą, że za panem stronę trzymam, a ja przecie tylko za sprawiedliwością; zawdy co swoje, to swoje, to własne, nikogo nie trzeba się prosić, ani się kłaniać nikomu. Ja im to ciągle powiadam, ale co to to pomoże!...

Pan Jan westchnął, zależało mu bardzo na oswobodzeniu lasu od używalności chłopów, widział w nim bowiem środek jeżeli nie zupełnego ratunku, to przynajmniej chwilowej podpory i pomocy. Przeszkoda była trudna do usunięcia, stawała się powodem zwłoki, a zwłoka ciągnęła koszta i straty za sobą. Przyśpieszać nie było można, należało się uzbroić w cierpliwość i czekać. Tak też czynił. Nie nalegał, nie przyśpieszał; obojętnego udawał.

— Jak chcecie — mówił do wójta, — skoro wam dobrze tak jak teraz jest, pozostańcie przy tem. Mnie nie pilno. Może majątek sprzedam, mam nawet kupców.

— Nie słyszeliśmy o tem.

— Mówię, że mam. Chcą dobrze zapłacić, niech kupują.

— Któż ci kupcy?

— Rozmaici. Drobna szlachta, Niemcy. Kupią na kolonie, zrobią z folwarku wioskę i zamiast mnie jednego, będziecie mieli ze trzydziestu sąsiadów. Weselej wam będzie, moi kochani.

— Juści to być nie może — rzekł wójt.

— Dlaczego?

— Pan dziedzic nam takiej krzywdy nie zrobi.

— Alboż to krzywda?

— Może nie? Do kogóżby ludzie ze wsi chodzili na zarobek?

— Ha, będziecie go szukali u nowych dziedziców, może u Niemców kolonistów...

— Eh! wielmożny panie, co kto u tych kartoflarzy zarobi, to na palcu upiecze, a toć to idzie chmarą, jak szarańcza. Widziałem ja już onych dziedziców, jak jechali w nasze strony z gromadami dzieci. Plenne to jak pokrzywa, gdzie nie siane, tam wschodzi, a jak się ziemi uczepi, tak się trzyma niby perz, że ani go ruszyć nie sposób. Napatrzyliśmy się na onych dość: twardy naród, a już jak między naszymi osiądą, to życia od nich nie ma. Swojego pilnują jak oka w głowie, a na cudze łakomi jak psi.

Gdzie jeno folwark kupili, tam wieś wnet zbiedniała. Nie daj Boże, takieh sąsiadów kochanych. I wielmożny dziedzic nam tego nie uczyni, żeby ich tu sprowadzać miał, tych niedowiarków, na naszą zgubę.

— Ma się rozumieć, ochoty nie mam ale jeżeli będę przymuszony, choćby wbrew własnej woli to uczynię. Żal mi będzie, bo żal, ale cóż robić, mój wójcie? wiadomo, że wiele ten czyni, kto musi. Bywajcie zdrowi, ja mam gości, muszę iść do nich, a wy przyjdźcie jutro, pojutrze, kiedy wam czas pozwoli, pogadamy. Powtarzam wam, że ład jakiś koniecznie zrobić trzeba; nie zechcecie ze mną, to go zrobicie z Niemcami, albo z drobną szlachtą.

— To procesowicze zawzięte.

— Podobno, nie wiem, tak mówią. Mnie znacie, że krzywdy waszej nie żądam, owszem, w potrzebie broniłbym waszych interesów jak swoich własnych; co tamci za jedni, niewiadomo. Spróbujcie, może lepsi, może dogodniejsze warunki wam dadzą, albo ja wiem...

Chłop odszedł ciężko zafrasowany i, nie wstępując już ani do kancelaryi, ani do domu, udał się prosto do karczmy. Tam kilku gospodarzy siedziało, trochę rozmarzo-

nych gorzałką. Wójt powtórzył im, co słyszał. Radzili, kiwali głowami, nad niesprawiedliwością losu wzdychając i, blizko północy powlekli się do domów, robiąc niepewne kroki. Jeden, który szedł na ostatku, o płot się zahaczył, a sądząc, że ma z Niemcem do czynienia, zaczął wstrząsać kołkami, mrucząc gniewnie:

— Niedoczekanie twoje, kartoflarzu, żebyś ty dziedzicem miał być we wsi, niedoczekanie...

I tak się z nim mocował, tak szamotał, aż wyczerpany z sił zupełnie, runął na ziemię jak długi.

O świcie znalazła go baba, i z trudnością zapędziła do domu.

W saloniku, gdy pan Jan do gości powrócił, zastał towarzystwo ożywione niezmiernie. Doktór wymowny był jak nigdy, piękna, wdówka uśmiechnięta, pani domu, babcia, panna Gracya z wielkiem zajęciem podtrzymywały rozmowę.

Ujrzawszy wchodzącego pana Jana, doktór zawołał:

— Nareszcie pan przychodzisz, bądź moim sprzymierzeńcem, bo rady sobie nie dam.

— W czem panu mogę pomódz?

— W sporze. Cztery panie, a ja sam jeden, nie dziw więc, że jestem przegłosowany. Bronię się, jak mogę, lecz siła złego na jednego, powiada przysłowie...

— Dziękujemy za komplement, kochany braciszku — odezwała się panna Gracya. — Dowiedziałyśmy się przynajmniej z twojej łaski, że kilka kobiet, to jest siła złego, ciekawam, cobyś powiedział o kilkunastu, lub kilkudziesięciu.

— Ależ ja ani o jednej tak nie powiadam, źle zostałem zrozumiany...

— Racya—rzekła wdówka,—ponieważ jest nas tu cztery, więc każda, według ścisłego podziału, znaczy tyle, co szesnasta część złego.

— A pani! — zaprotestował doktór, — tak opacznie słów moich tłómaczyć się nie godzi... Jabym tak miał myśleć, ja! taki przyjaciel kobiet, taki ich wielbiciel, taki...

— Wszystkie pan uwielbiasz?!—spytała wdówka z uśmiechem.

— Pani — rzekł, — nie ma na świecie człowieka, któryby kobiet nie wielbił. Każdy ma lub miał matkę, siostry, które kochał i był przez nie nawzajem kochany; każdy lub prawie każdy miał... Zaciął się i nie dokończył... wyręczyla go siostra.

— Miał — rzekła, — lub będzie miał, a przynajmniej pragnie mieć towarzyszkę życia. Czy to chciałeś powiedzieć?

— To, lub prawie to samo, moja siostro — rzekł doktór, — prawie to samo. Któż nie marzy o szczęściu, jednemu uda się je schwycić... a są tacy, przed którymi ono ucieka.

Mówiąc to, doktór odważnie patrzył na wdówkę, która słuchała tych zwierzeń z uśmiechem na ustach.

Koło jedenastej, ekwipaż pani Malwiny zaturkotał przed domem i odjechał niebawem. Doktór, uproszony przez p. Jana, został jeszcze na chwilę. Poszli do drugiego pokoju na cygaro.

— Jak myślisz, panie Janie — spytał rozpromieniony eskulap, — czy ona mi sprzyja?

— Zdaje się.

— Coby to było za szczęście... wypowiedzieć nie umiem. Niech się co chce dzieje, jestem prawie zdecydowany; wahałem się długo, lecz już zwłóczyć nie będę— oświadczę się.

— Brawo! należało to od dawna uczynić. I kiedyż się doktór na ten krok heroiczny zdobędzie?

— Jak najprędzej... jutro, pojutrze, za tydzień. Postanowiłem i nie cofnę.

— Życzę z całego serca powodzenia.

— Dziękuję... ale wiesz co, panie Janie, aczkolwiek... to jest niezłomne, jednak lepiejby było, żeby ją tak ktoś przedtem delikatnie wyrozumiał.

Kilka lat upłynęło — i znów organista Kąkolski z dziadem Łukaszem po kościele się krzątał. Osadzano świece w ogromnych lichtarzach drewnianych, znoszono kwiaty, zasłaniano okna. Były to przygotowania do uroczystości żałobnej. Na środku kościołka ustawiony już był wysoki katafalk, pokryty czarnem suknem, i właśnie go Kąkolski z Łukaszem kwiatami ubierał. Śpieszyli się, aby na czas wydążyć, bo orszaku żałobnego spodziewano się lada chwila. Ze Stawisk nadciągnąć on miał; matka pana Jana umarła. Skończyła ciche i pracowite życie prawie niespodzianie, dwa dni tylko chorując. Nikt z otoczenia jej nie przypuszczał, że koniec tak blizki. Zgasła prawie bez cierpień, z uśmiechem na ustach, pobłogosławiwszy dzieci i wnuki.

Za trumną niewielki orszak postępował. Pan Jan prowadził żonę, panna Gracya wiodła starsze dzieci, dalej grono bliższych sąsiadów, służba ze Stawisk i chłopi. Dzwony jęczały żałobnie, wietrzyk daleko roznosił ich brzmienie. Po nabożeństwie złożono trumnę na cmentarzu, w podziemiach kapliczki, która za grób rodzinie od wielu już pokoleń służyła. Ksiądz staruszek przemówił rzewnie, w wielu oczach pokazały się łzy, z niejednej piersi uleciało westchnienie.

W gronie przyjaciół, którzy przyszli oddać ostatnią przysługę nieboszczce, brakowało doktora. Nie mieszkał już w tej okolicy, przeniósł się do Warszawy, a choć na wyjezdnem obiecywał, że dawnych znajomych odwiedzi, jednak przyrzeczenia dotrzymać nie mógł, czy nie chciał i od roku go już w tych stronach nie widziano. Czasem pisywał do pana Jana, ale bardzo rzadko. Pani Malwina także wyjechała. Giez trzymał dzierżawca. Jegomość ten miał swoje locum na folwarku, a szalecik szwajcarski był niezamieszkany; pilnował go stary lokaj gracyalista, razem ze swoją żoną... Sprzątał w pokojach, zimą w piecach palił, latem okna otwierał.

Pan Jan siwieć zaczął, skronie jego były jakgdyby przypruszone śniegiem, twarz czerstwa jeszcze, ale pochudła, rysy wydawały się ostrzejsze. Żona jego, zawsze piękna kobieta, nosiła na obliczu dość wyraźne ślady trosk. Twarzyczka jej zeszczuplała, na czole pokazała się zmarszczka, jak gdyby od nieustannego brwi ściągania, od wysiłku myśli, wśród włosów jedwabistych, gęstych, pojawiły się także nitki srebrne. U ludzi w troskach żyjących, szron siwizny pojawia się wcześniej; nim jesień życia nadejdzie, już jest. W sukni żałobnej, wyglądała pani Janowa jak uosobienie cierpienia; dopiero, gdy na męża, lub na dzieci spojrzała, w oczach jej nieco żywszy blask można było dostrzedz.

O mężu jej żydzi w miasteczku mówili, że już mu ciasno. Tak utrzymywał Maneles, tak twierdził Joel, takie było powszechne owych finansistów przekonanie. A i Joel już do finansistów się liczył. Wszedł do Stawisk z niczem prawie, z odrobiną kapitału, jaki po żonie dostał; wszedł, pobył kilka lat i w pierze porósł. Szczęśliwą rękę miał; czego dotknął, to do niej przylgnęło, a co przylgnęło, nie odpadało już nigdy, owszem, rosło jak na drożdżach.

Mówiono, że ma szczęście — i miał je istotnie. Różne interesa dla pana Jana robił— sam i na wspólkę; pan Jan rozmaicie na nich wychodził: czasem dobrze, czasem źle; niekiedy zyskał, częściej stracił — Joel zaś zawsze dobrze, zawsze zyskiwał. Stał się niezbędnym w Stawiskach, bez niego nie można było korca zboża sprzedać; jeżeli nie wpływał do interesu wprost, to pośrednio, przez drugą, trzecią osobę. Każdy żyd, który do Stawisk przyjeżdżał, nim do dworu poszedł, wpierw, pod pozorem potrzeby odpoczynku i pokrzepienia się, do mieszkania Joela wstępował, tam informacyi i rad zasięgał i, już z gotowym, we wszelkich szczegółach obmyślanym planem, do pana Jana szedł i układ, jaki chciał, przeprowadzał.

Nie obywało się to bez sporu, gdyż właściciel Stawisk buntował się, chciał zrzucić z karku jarzmo, które na niego włożono, protestował, szarpał się...

To samo, mniej więcej, robi koń rasowy, wierzchowiec, przyzwyczajony do ruchów swobodnych i przestrzeni — to samo robi, gdy poczuje na karku twarde chomonto, a po za sobą ciężki ładowny wóz. Szarpie się i mocuje, chce zerwać pęta, rozbić

wóz, ale wóz mocny, uprząż jakby żelazna. Więc po niefortunnym oporze, napręża muskuły, pochyla głowę i... idzie.

I człowiek ciągnie także, aż mu pot czoło zalewa.

Żydzi mówili, że panu Janowi zaczyna być ciasno, bardzo ciasno. Trudno o lepszą definicyę. Człowiek ten nie miał ani godziny dla siebie; nie znał, co chwila wytchnienia, lub radości. Ci, do których woza był zaprzęgnięty, wiedzieli, że może ciągnąć, że ma ogień i siłę, więc ciężary coraz większe kładli, nie folgując, pragnąc tę siłę aż do ostatka wyzyskać... Od rana, od świtu raczej, aż do nocy, on o nich tylko myślał, całą energię swoją, pracę, inteligencyę im poświęcał—a kiedy przyszła noc owa, noc upragniona, pożądana, która wyrobnikom najbiedniejszym przynosi spoczynek — on słodyczy tego spoczynku nie zaznał... myślał o nich — a te myśli sen z powiek płoszyły, odpędzały daleko... Było mu ciasno istotnie, bo nie miał chwili wolnej; czuł, że go jakiś niewidzialny łańcuch, jakaś ściana coraz bardziej opasuje, otacza, że po za nią już nic nie widać — nic, nic! Zrobi się coś, wypracuje, wykuje, to będzie dla tego, dla tamtego, owego, a dla siebie, a dla swoich?

Nic; w najlepszym razie, resztka nędzna. A co będzie jutro, pojutrze, co za rok?... W takiem położeniu i myślenie skrępowane bywa. Pytanie: co będzie za rok wydaje się szczytem ironii, w obec nierozwiązanej kwestyi jutra i dni najbliższych, wydaje się satyrą bolesną. Za rok!? Wolnoż myśleć o tem, gdy nad głową, na delikatnym włosku, wisi miecz, który lada chwila może się urwać i zdruzgotać całe istnienie? Smutna tragedya życia!

Tem smutniejsza, że prosta, zwyczajna, pospolita... szara, jeżeli takiego wyrażenia użyć wolno. Niemniej przeto, jest ona straszna, a może nawet straszniejsza od wielu z tych, jakie w arcydziełach mistrzów podziwiamy. W tamtych siła wyższa, fatum, czy ananke, druzgotały człowieka jednem uderzeniem, niby ciosem potężnej maczugi; w tych, człowiek pada od ukłócia tysiącznych szpilek, kona powoli, traci krew, kroplę po kropli, aż do zupełnego wyczerpania — a łudzi się do chwili ostatniej... i szarpie.

Ten bat, o którym mówił Maneles, bat upleciony z tego, co w sercu jest, co w duszy, popędza — a uderzenia jego są niesłychanie bolesne. Panu Janowi, jak żydzi

w miasteczku mówili, było ciasno. Ciasno i duszno. On czuł, że mu ziemia z pod nóg się usuwa, że mu powietrza braknie, że się coś dziwnego z nim dzieje. Na jawie widział troski swoje ciężkie, nie do zniesienia, we śnie dręczyły go najdziwaczniejsze widziadła. Zdawało mu się, że jest marnym, drobnym ptaszkiem, że osłania piersiami swe gniazdko i pisklęta, a ze wszech stron uderzają na niego jastrzębie, grożą ostremi szponami, zakrzywionemi dzioby, gotowe w jednej chwili rozszarpać i pożreć słabego. Podczas takich widzeń strasznych, podczas tych snów męczących, doznawał najprzykrzejszego wrażenia, jakiego człowiek doznawać może — wrażenia bezsilności i niemocy. Zdawało mu się, że jest dotknięty paraliżem, i że, posiadając zupełną świadomość i jasne pojęcie o tem, co się dokoła dzieje, leży bezwładny, jak drewno. Widzi, że mu zabierają mienie, że jego dzieciom grozi głód i nędza, chciałby się rzucić na ratunek, odwrócić niebezpieczeństwo, a ruszyć się nie może. Ogarnia go szał, wściekłość, rozpacz, a jednocześnie czuje we wszystkich członkach ciężkość kamienną i bezwład; widzi, że nie człowiekiem jest, lecz bryłą gliny martwej, i że odebrano mu

siłę, możność ruchu, czynów — a pozostawiono tylko... serce.

Gdy taki sen ciężki przeminie, gdy wschodzące słońce spłoszy go i odpędzi, wrażenie niemocy jeszcze przez pewien czas zostaje. Biedny człowiek, nie dowierza własnym zmysłom, nie może przyjść do siebie, w głowie mu się mąci. Chwilowo wątpi o własnem istnieniu; zdaje mu się, że już nie żyje, że jest w pozaziemskiej krainie cierpień i pokuty. Dopiero wstawszy, odświeżywszy zgorączkowane czoło zimną wodą, wraca do rzeczywistości smutnej — idzie znów na cały dzień do jarzma, do pracy, do szamotania się...

Pan Jan takie ciężkie koleje przechodził. Od lat kilku już rozwiązywał nigdy nieskończone zagadki: co temu dać? czem owego ułagodzić, tamtych zaspokoić? Wciąż jedno i to samo—napełniać beczki bezdenne, nasycać gęby wiecznie głodne, chciwe, pażerne, których apetyt, im go więcej zaspokajać, bardziej wzrasta.

Stary Maneles miał słuszność, mówiąc, że chciwość nie zna granic, i miał słuszność, przepowiadając, że na tego dużo kłaść będą, bo ten wiele może podźwignąć.

Dźwigał też, ale znać było po nim, że dźwiga za dużo. Z człowieka młodego jeszcze stosunkowo, zrobił się dziad, nie wiekiem, nie ciałem, lecz duchem. Na czole miał wypiętnowaną troskę, na twarzy nieustanny wyraz zakłopotania, uśmiech na jego ustach nie pojawiał się nigdy, chyba na widok żony i dzieci, a i w tym uśmiechu nie radość była, lecz raczej ból tłumiony, skryty... cierpienie na widok istot ukochanych, których przyszłość jest zagrożona, niepewna...

Letni wieczór był pogodny i ciepły; pan Jan z pola do domu powracał. Szedł pieszo, ścieżką między zbożem, która prowadziła do szerokiego, dość ożywionego gościńca. Bryczką, w parę spasionych koni zaprzężoną, jechał pan Karol. Ponieważ droga była piasczysta, konie szły stępa. W miejscu, gdzie ścieżka łączyła się z gościńcem, pan Jan spotkał się ze swoim sąsiadem, medykiem amatorem.

— Dobry wieczór—rzekł.

— Dobry wieczór, moje uszanowanie sąsiadowi dobrodziejowi, sługa uniżony! Chodziłeś pan zboża swoje oglądać. Słusznie, bardzo słusznie! jest co widzieć, śliczności! mało gdzie równie piękne spotkać

można. Kultura, panie, kultura, dobre gospodarstwo!

— Robi się co można. Zkądże Pan Bóg prowadzi i dokąd? Może zechce pan zawadzić o moje ubogie progi?

— Dziękuję, ani sposób! Wyobraź pan sobie, dwa tygodnie już w domu nie byłem, pojęcia nie mam co się dzieje. Wracam z Warszawy; rozumiesz pan, że mi pilno zobaczyć, jak moja bieda wygląda. Jakże tu u nas, w okolicy? Cicho, spokojnie, klęsk żadnych? Ogień, pomór, grad mijał?

— Nic podobnego, na szczęście, nie było, a zresztą wszystko po dawnemu. Jakież sąsiad dobrodziej nowości z wielkiego świata przywozi?

— Massę, powiadam ci, całą furę, pełny wóz! ale wyobraź sobie, panie Janie, kogo widziałem?

— Kogożby?

— Naszego Eskulapa. Utył, powiadam ci, wygląda jak ćwik.

— On zawsze dobrze wyglądał.

— Tak, ale teraz szczególnie. Utył, zrobił się gruby, jak beczka, i jest jeszcze nieprzyjemniejszy niż dawniej.

— Co też sąsiad mówisz! Mało znam równie miłych ludzi, jak on, a pod względem charakteru, prawości, uczynności...

— Być to może, kochany panie Janie, być może, ale dla mnie te wszystkie jego zalety są tak ukryte, że ich dostrzedz nie mogę. Widzę tylko niezmierną zarozumiałość i fanfaronadę. Teraz bardziej jeszcze niż dawniej, bo teraz, trzeba ci wiedzieć, pan doktór jest warszawski doktór, nie ma czasu nawet dla dawnych znajomych. Śpieszy się, pilno mu... Niech kogo chce na te plewy bierze, ale nie mnie. Znam się trochę na tem. Wszystko fałsz, blaga, udawanie. Mina poważna, złote okulary, sposób wyrażania się apodyktyczny, stanowczy. Myślałby kto, że to najuczeńszy człowiek w świecie...

— Czy pomiędzy panami co zaszło? — zapytał pan Jan.

— Cóżby miało zajść? Nic nie zaszło. Żałuję, żem go zaczepił, ale taką już mam naturę, że gdy spotkam kogo z dawnych znajomych, a zwłaszcza po długiem niewidzeniu, to lubię się rozgadać, wypytać: co? jak? to i owo, jak powinno być. Otóż właśnie idę ulicą Marszałkowską, patrzę, toczy się nasz eskulap. Choć nie należę do jego

wielbicieli, jednak ucieszyłem się. Witam go, dopytuję, wdaję się w gawędę... ale widzę, że mu to jakoś nie w smak. Zimny jest pan doktór jak lód. Myślę sobie: nie ma co mówić, grzeczny jesteś... Bo, osądź pan sam, czy nie powinien uradować się, zobaczywszy obywatela z okolicy, w której tak długo mieszkał? Czy nie powinien zaprosić mnie na obiad, a jeżeli nie na obiad, to choć na śniadanie, na buteleczkę wina. Nie wymawiając, wypił go u nas dość, u mnie zapewne mniej niż gdzieindziej, ale bądź co bądź, pił. Postanowiłem go zawstydzić i zapraszam do handlu. Wymawia się, że nie ma czasu, że idzie najprzód do szpitala, potem do chorych, potem na jakieś posiedzenie, myślałby kto, że prawda. Więc zapytuję: Czy pan nigdy czasu nie miewasz? czy nie jadasz, nie pijasz? Ba! jada raz na dzień, pija mało, sypia bardzo niewiele. Bagatela! taka znakomitość. Widzę, że nie życzy sobie mojej kompanii, więc mówię: „Bądź pan zdrów!"—i odchodzę. Wyobraź sobie, on mnie zatrzymuje, mówi, że w tej chwili nie może, ale wieczór mi poświęci, ponieważ ma pewną ideę, myśl, jednem słowem, coś osobliwego, z czem się chce, ze mną mianowicie, jako

z człowiekiem wpływowym i inteligentnym podzielić. W to mi graj! Bardzo dobrze, bo i ja również wpadłem na pewien, bez przechwałki mówiąc, genialny pomysł co do choroby zwanej „plica polonica“, więc mu go, jako lekarzowi, szczegółowo wyłożę. Zdawałoby się, że nic naturalniejszego nad to, gdy dwaj badacze, zajmujący się jednym i tym samym przedmiotem, porozumieją się wspólnie. Wszakże z takiej dyskusyi może być tylko pożytek, a nigdy szkoda. Nieprawdaż, panie?

— Zapewne...

— Otóż, uważasz, wyznaczył mi godzinę i miejsce. Stawiam się punktualnie co do minuty. Jużem go tam zastał, czekał na mnie w oddzielnym gabinecie, gdzie właśnie można było rozmawiać z całą swobodą, bo nikt nie przeszkadzał. Chciałem się spytać, czem mógłbym go uraczyć, ale pan doktór poprzednio już wszystko zadysponował.

— A mówiłeś pan...

— I wcale tego nie cofam. Wystąpił, bo wystąpił, ale dlaczego? dlatego, że mi chciał zaimponować. Niech szlachcic wioskowy wie, jak jada i pija sławny doktór

warszawski, niech wie, do czego przyzwyczajona jest znakomitość...

— Że też pan wszystko musi opacznie tłómaczyć! Jestem najpewniejszy, że zrobił to w najlepszej intencyi.

— Proszę pana, w dobrej intencyi, dla okazyi do wymiany zdań, do żywszej pogawędki, to się daje zwyczajną kolacyę z butelką węgierskiego wina, i dość na tem; ale morskiemi rybami, truflami, szampanem, likierami dziwnemi, których nazwy nie sposób spamiętać, to się imponuje. Podobało mu się wyrzucić sporo pieniądzy, żeby mnie olśnić — i wyrzucił pieniądze napróżno, gdyż wcale nie byłem olśniony, lecz zdziwiony, ze człowiek, niby to oszczędny i inteligentny marnuje grosz licho wie na co...

— Oj, panie Karołu, panie Karolu, czyż biedny nasz doktór przypuszczał, że jego intencya będzie tak źle widziana! Głowę daję o zakład, że to, o co go pan posądza nawet mu przez myśl nie przeszło.

— Ja się nie zakładam nawet o złamaną szpilkę, gdyż jestem swego pewny...

— I długo też bawiliście się panowie?

— Od dziewiątej wieczorem do trzeciej z rana...

— No, to wybornie.

— Zapewne, on bredził jak w gorączce i plótł niestworzone rzeczy, a ja wściekałem się z oburzenia i gniewu, musiałem używać całej siły woli, ażeby nie wybuchnąć.

— Że też pana zawsze medycyna tak entuzyazmuje.

— Jaka medycyna?!

— Przypuszczam, żeście panowie roztrząsali jakiś przedmiot naukowy z tej mianowicie dziedziny.

— Ani trochę. Pański przyjaciel o swojej specyalności bardzo niechętnie rozmawia, zwłaszcza ze mną. Widocznie zapomniał już o tem, czego się uczył, i jest w obawie, żebym mu jakiego kardynalnego bąka nie wykazał. To już zaważyłem od dość dawna: gdy tylko rozmowa na ten temat schodzi, pan doktór kręci, młynkuje, wywija się jak piskorz i na żadne pytanie wprost odpowiedzi nie daje. Taki już jego zwyczaj, taka chwalebna ostrożność.

— O czemżeście panowie przez tyle godzin mówili?

— Panie! o czem myśmy nie mówili?! O gruszkach na wierzbie, wspólności interesów, o rzucaniu pieniędzy w błoto, o assocyacyach, o niebieskich migdałach, słowem o ziemiaństwie, rolnictwie i ekonomii politycznej.

— Cóż to znowu!—zapytał pan Jan,— to, owo i tamto, istny bigos. Nie przypuszczam, żeby człowiek tej inteligencyi, on, doktór, mógł mówić na seryo o rzeczach nie mających z sobą najmniejszego związku. Jedno z dwojga, albo kochany sąsiad go nie zrozumiałeś, albo...

— Ho, ho, zrozumiałem go wybornie. Pan doktór sięga daleko, bardzo nawet daleko. Zamiast leczyć jednostki, jak to z jego fachu i powołania wypada, (dobrze, czy źle, o tem lepiej nie mówmy), on chce być lekarzem społeczeństwa! Wierz pan, że pękać ze śmiechu na widok tego pana w roli ekonomisty. Coś tak komicznego, że wyobrazić sobie niepodobna.

— Dziwi mnie to, doprawdy.

— Cóż pan chcesz, bywają zaslepienia, dziwne, niezbadane. Aberracye, monomanie, nazwij je wreszcie, jak ci się podoba. Jak komuś wbije się w głowę ćwiek,

zajedzie tak zwana fura siana, to już przepadło; nie wybijesz niczem. Temu recepciarzowi przywidziało się, że jest wielkim socyologiem i ekonomistą i, specyalnie wziął w opiekę naszą sferę.

— Naszą?

— Tak jest, sferę ziemiańską. Na to wystawił pyszną kolacyę, szampana, znakomite potrawy i napoje: 1) aby mnie przekonać, że on tylko o nas myśli, 2) aby mi dowieść, że w dzisiejszym położeniu ratunek sytuacyi, nie wesołej, jak panu dobrze wiadomo, zależy nie od urodzajów nie od okoliczności, nie od cen zboża, ale od nas i tylko od nas jedynie. Więcej od nikogo!

— Do pewnego stopnia, a nawet w znacznej części, ma on słuszność.

Pan Karol rzucił się gwałtownie, jak gdyby wąż go ukąsił. Zaczerwienił się po same białka oczu, potarł z niecierpliwością czuprynę i zawołał:

— A na Boga! czyż te kommunistyczne idee już i między nami zapuściły korzenie? Czy i pan z teoryami doktora trzymasz?

— Nie umiem na to odpowiedzieć — odrzekł pan Jan spokojnie, — gdyż teoryj

doktora nie znam; wiem tylko, że gdybyśmy się trzymali razem, myśleli i działali zgodnie, łączyli nasze siły, to naturalnie, odporność nasza przeciwko wyzyskującym nas aferzystom i spekulantom, byłaby większa. Nie ma czego dowodzić, boć to rzecz powszechnie wiadoma. Nasze siły są rozstrzelone, każdy broni się na własną rękę, a ci, którzy na naszą zgubę działają, którzy wyzyskują nas — idą ławą. Dwudziestu, trzydziestu, stu handlarzy jednoczy się na to, aby jednego z nas w swoje szpony pochwycić; my nie potrafimy się złączyć nawet we dwóch, aby przeciwko jednemu spekulantowi się bronić. Niestety, panie sąsiedzie, smutna to prawda, której nie ma sposobu zaprzeczyć. Jesteśmy niby rozbite stadko kuropatw: którą chce wziąć jastrząb, to weźmie, bo sama jest, odosobniona, nikt jej z ratunkiem nie pospieszy. Nie rozumiemy interesu własnego, idziemy samopas, na oślep. Nie obchodzi nas, co się dzieje obok, o miedzę, czy sąsiad nasz...

— A na Boga żywego! Panie Janie, albo pan jesteś uczeń doktora, albo on pański uczeń. Zmówiliście się chyba na jedno. Kubek w kubek to samo mi kładł w uszy przez cały wieczór, i nie mówił, jak pan,

nieosobiście, lecz przemawiał wpost ad personam, do mnie, uważasz pan, do mnie. A cóż u licha ja jestem winien, że komu źle na świecie, że kogoś tradują, subhastują, wyrzucają z majątku! Czy ja kazałem temu komuś podpisywać weksle, obciążać hypotekę, robić kontrakty na uciążliwych, a częstokroć na niemożebnych warunkach? No, powiedzże pan, czy ja kazałem?

— Przecież nikt panu tego zarzutu nie robi.

— Dobrze. dla czegoż więc ten teoretyk, ten doktryner strzela wprost do mojej kieszeni, dla czego powiada do mnie: — Pan jesteś obywatel zamożny, niezależny, masz w swojem kółku pewne wpływy i znaczenie, a zatem do pana należy inicyatywa zorganizowania pomocy, zjednoczenia rozstrzelonych sił... Ha! ha! miał mnie po co prosić na kolacyę. Więc dla tego, że ja mam kawałek chleba spokojny i trochę funduszu, to powinienem łączyć się z bankrutami, płacić za nich długi, czy poręczać, czy też pożyczać na wieczne nieoddanie to, co pracą i oszczędnością długoletnią zebrałem? Nie, kochany panie. Na tego rodzaju filantropię nikt mnie nie złapie. Żadnych współek, żadnych łączności, każdy dla sie-

bie! Z kim się mam łączyć, w jakim celu? po co? Ryzykować swoje mienie, swoje pieniądze, wiązać się w jakieś współki, stowarzyszenia, dla kogo? po co?

— Masz pan dobrodziej słuszność — odrzekł pan Jan ze smutnym uśmiechem— masz pan najzupełniejszą słuszność. Niegdyś bywało inaczej: o miedzę mieszkał brat, o dwie szwagier, dalej krewniak, cała okolica tworzyła jedną rodzinę niejako, złączoną węzłami krwi, pragnień, celów. Dziś cóż? obok żyd, który nabył na subhastacyi majątek, zbogacony szynkarz, aferzysta, — o jakiejże solidarności mówić mamy?

— Zdaje się, że w słowach pana przebija ironia ..

— Nie, panie, mówię szczerą prawdę, podług tego, co widzę. Doktór ma słuszność, to mu przyznaję, ma najlepsze chęci, ale wykonanie ich jest niemożliwe. Dajmy pokój tej kwestyi, bo zaprowadziłaby nas za daleko. Powiedz pan lepiej oto, czy doktór co o swojej żonie wspominał?

— A bąknął coś kilka razy.

— Czy szczęśliwy przynajmniej?

— Zdaje się, wygląda jak ćwik, uśmiechnięty, wesoły, no i widać nie ma swoich kłopotów, skoro się cudzemi zajmuje.

— To dowód dobrego zerca.

— Albo też aberracyi umysłu.

— No, tak mówić niemożna.

— Ach, mój panie Janie, doprawdy, ja nie pojmuję. Czego oni chcą od ludzi, ci... ci... nie wiem, jak ich nazwać, filantropowie, socyologowie, czy jak tam! Tu, mój panie, człowiek kontent, że sam żyje, że jako tako we własnych interesach sobie radzi; po co, pytam, ma się wdawać w cudze? Mnie takie mieszanie się w nieswoje interesa oburza.

— Więc też nie mówmy o tem—rzekł pan Jan,—chodźmy do domu, do mnie; sąsiad odpocznie trochę z drogi...

— Nie, nie; kiedyindziej i owszem, dziś śpieszę się, nie mogę. Obecność moja w domu jest konieczna. Bóg wie, co się tam mogło porobić. Zatrzymałem się, panie Janie, po to, aby się wygadać, aby ulżyć żalowi, bo zaiste, krew się burzy w człowieku. Ja z nim, jak z kim poczciwym, chciałem pomówić o kwestyach naukowych, które badam, studyuję, a ten, proszę cię, wyjeżdża z morałami, z naukami, z ekonomią poli-

tyczną, Bóg wie, z czem wreszcie! Otóż użaliłem się przed panem, i trochę mi lżej. Bądź zdrów, kochany sąsiedzie, a zajrzyj kiedy do mnie...

Po odjeździe sąsiada, pan Jan zamyślił się głęboko. Szedł do domu z pochyloną głową, smutny i strapiony, na ustach miał uśmiech goryczy pełny. Przyszedł mu na myśl doktór i długie z nim rozmowy na temat solidarności, jednoczenia sił, wspólnego działania... Nieraz poczciwy Ditto mówił: — Trzymajcie się za ręce, łączcie się, wspierajcie jeden drugiego, a będzie wam lepiej, będziecie silniejsi; niech mocniejszy słabszego podtrzymuje, niech każdy cegiełką chce być, a cały stan murem, ścianą... I dla czegóżby nie? jedna siła, choćby siła Samsona, nie jest tyle warta, co połączone siły gromady Pigmejów. Pan Jan rozumiał to wybornie, próbował, do tych i owych w tym duchu przemawiał, lecz to się na nic nie zdało, bo harmonii, poczucia wspólności interesów brakło. Kto z nim miał ręka w rękę iść, kto kogo wspierać i wspomagać? Ziemią handlowano i szynkowano w owym czasie, jak wódką, hurtowo i detalicznie. Jednych właścicieli wypędzali wierzyciele, drudzy ustępowali dobrowolnie,

byle jakie takie resztki ocalić. Na miejscu wydziedziczonych, a raczej wyzutych z mienia, osiadali ludzie ani z gospodarstwem, ani z ziemią nic wspólnego nie mający. Osiadali tymczasowo, na rok, dwa, trzy, w nadziei, że się kupiec trafi, że fortunę z zarobkiem będzie można przehandlować. I trafiał się aferzysta, wyniszczał ziemię, wysysał ją—i nowego amatora czekał. Ci zaś z dawnych właścicieli, którzy dobrowolnie ustępowali, pragnąc resztki fortuny ocalić, w kolonizacyi, w detalicznej sprzedaży ratunku szukali. I na miejsce folwarków potworzyły się kolonijki, wioski nowe, tak, że okolicę trudno było poznać. W obec tego, ci, którzy pozostali na miejscu, ci, którzy pracowali i szamotali się z losem przeciwnym, sami, na własną rękę, działać musieli. Na nich to uderzały klęski losowe, na nich napierał Maneles, a po nim zwarta, karna, wyćwiczona falanga, ożywiona jednym duchem, jednym celem, chciwa, nienasycona; żarłoczna. Pozwalała ona wegetować swoim ofiarom, bo lepszych nad nie ekonomów i rządców znaleźćby nie mogła, ale na dochodach kładła łapę żelazną i zabierała je wszystkie, prawie co do grosza. Każdy z pracowników tych, własnym pozo-

stawiony siłom, o oporze nawet marzyć nie mógł i poddawał się konieczności nieubłaganej, surowej... bo walczyć z nią nie miał ani możności, ani siły. Wolno mu było łudzić się nadziejami urodzajów nadzwyczajnych, zmianą okoliczności i stosunków, wolno mu było wysilać mózg nad wynajdywaniem nowych źródeł dochodu, podnoszeniem kultury... owszem, dawano nawet i kredyt, jeżeli pewnego rezultatu można się było spodziewać. Czego też pan Jan nie robił?! Całą inteligencyę, naukę, pracę kładł w ziemię, corok dochody podnosił, i corok Maneles z towarzyszami dochody zabierał jak swoje...

Miał słuszność stary żyd, mówiąc ongi do doktora, że w kim oni siłę spostrzegą, na tego dużo kłaść będą: niech ciągnie, niech dźwiga, dopóki nie padnie... Wiadomo, że nie ustanie, że jest taki bicz, co go popędza i popędzać będzie aż do ostatniej chwili, do ostatniego tchnienia, do końca...

Niech dźwiga!

Dźwigał też, aż mu włosy posiwiały, aż się grzbiet wyginał i garbił... Dźwigał, bo i cóż miał robić? Dzieci podrastały, naukę trzeba im było dawać, bo któż wie, może to jedyny ich posag, jedyna podsta-

wa przyszłości... a zkąd na to wziąć, zkąd dostać?

Maneles już od roku o lesie zagaduje. Chłopi ułożyli się o służebności, dostali co swoje, sprzedaży nic na przeszkodzie nie stoi.

— No, i na co pan to drzewo trzyma? —pyta Maneles,—co panu po tem?

— Nie może być majątek bez lasu...

— Przecież ja go całego nie wezmę, zostanie panu co drobniejsze drzewo, zostaną wierzchy.

— Cóż mi ztąd?

— Zapewnić mogę, że opału pan kupować nie będzie.

— To nie wiadomo.

— Wiadomo, panie, wystarczy... Niech się pan nie certuje, tak czy tak, ten las sprzedać pan musi.

— Któż to powiedział?

— Ja mówię.

— Zobaczymy.

— W każdym razie, ja się pamięci polecam...

Pan Jan w myśli polecił swego opiekuna i doradcę piekłu, a głośno odpowiedział, że nie ma nic pilnego. Las nie ucieknie.

— To pewno — odrzekł z uśmiechem finansista — las nie ucieknie, on stać będzie, chociaż go chłopi trochę podskubią, ale czy cena stać będzie — inna kwestya. Cena to lotny ptak, czasem wzbija się w górę, czasem spada nizko, a niekiedy chowa się, i wcale jej niema. Trzeba korzystać z czasu. Panu dobrodziejowi nie pilno, ja w to wierzę, ale znajdą się tacy, którzy bardzo lubią pośpiech i brzydzą się czekaniem, dla nich musi pan swoje upodobania zmienić. Zresztą, cóż mnie do tego? las nie mój, majątek nie mój, interesa Stawisk nie moje. Radzę jedynie przez przychylność... tak dawno się znamy, dawno handlujemy z sobą... Powie pan może, że moja życzliwość ztąd pochodzi, że ja potrzebuję drzewa na handel? Ja się z tem nie taję, potrzebuję istotnie, ale nie idzie za tem, żebym potrzebował koniecznie pańskiego drzewa. Nie, ja mam kontrakty ze znacznymi kupcami na drzewo, obowiązany jestem tego towaru dostarczyć, a zkąd go wezmę, to moja rzecz, to wszystko jedno. Nie kupię od pana, to od pańskiego sąsiada; lasy jeszcze są.

— Niebardzo...

— Tak się mówi tylko, ale jeszcze można drzewa dostać; są panowie, co sami

nastręczają się z kupnem. Powtarzam, że nie namawiam pana, tylko radzę, z życzliwości radzę; niech pan robi interes, póki czas, bo później może być sprzedaż ze stratą.

Pan Jan opierał się i bronił. Widział że sprzedaż jest nieunikniona, że innego środka nie ma, ale chciał się bez Manelesa obejść, innego kupca znaleźć, korzystniejsze warunki uzyskać. Chciał wojować z potęgą!...

Tymczasem „potęga" cofnęła się dyskretnie, zniknęła z horyzontu, wyjechała, ale towarzysze jej i wspólnicy rozmieśli po całej okolicy rozkaz, żeby nikt z panem Janem w interesa nie wchodził, a jednocześnie wierzyciele zaczęli nacierać gwałtownie. Żaden nie chciał słuchać o ustępstwach... Biedny człowiek głowę tracił. Uderzał tu i owdzie, rozsyłał faktorów, wszystko bez rezultatu.

Nakoniec, rad nie rad, zmęczony tą walką, wyczerpany z sił, do Manelesa przyszedł. Żyd przyjął go obojętnie...

— Sam pan sobie winien — rzekł, — dla czego pan nie chciał mnie słuchać? Czas płaci, czas traci. Wtenczas ja potrzebowałem drzewa, nawet bardzo potrzebowa-

łem, ofiarowałem dobrą cenę, potargowawszy się, byłbym dał i lepszą, a teraz... cóż jest teraz? teraz jest nic. Ja drzewa nie potrzebuję, ono byłoby mi tylko próżnym ciężarem. Cobym z niem robił? Niech pan sprzeda komu innemu...

— Chciałem to zrobić.

— Tak?... i nie udało się? Pana to dziwi? Mnie nie, ja wiem, że się udać nie mogło, bo teraz drzewa nikt nie nabywa.

— Więc pan nie chcesz kupić?

— Ja? Namyślę się, zobaczę, w każdym razie, takiej ceny, jaką wówczas dawałem, teraz ofiarować nie mogę. Straciłbym dużo, a ja nie lubię tracić. Ktoby chciał tracić?

Zwłóczył jeszcze kilka tygodni, targował się, kręcił i ostatecznie kupił, jak chciał i za ile chciał. Był panem położenia.

Pan Jan, dzięki tej tranzakacyi, mógł wegetować dłużej, mógł o wysłaniu dzieci dla edukacyi do miasta pomyśleć. Po odjeździe chłopców, w domu zrobiło się smutno i cicho, do wszystkich niepokojów przybył jeszcze nowy, obawa o dzieci. Matka szczególniej, dużo z tego powodu cierpiała, rozstać się z dziećmi ciężko jej było, nieraz miała oczy zapłakane. Co-

dzień posyłała na pocztę w nadziei, że ta jej wiadomość od dzieci przyniesie.

Joel coraz bardziej w pierze, jak to mówią, porastał. Z usłużnego, pokornego, nadskakującego żydka, stał się grubym, okazałym kupcem. Ubierał się porządniej, nosił wielką czapkę aksamitną lub pluszową, stosownie do pory roku, miał własną biedkę, konia i coraz bardziej rozszerzał sferę swej działalności... Już mu jeden folwark nie wystarczał, operował więc w szerszym promieniu. Kupował zboże do wspólki z Manelesem, potrosze i drzewo, okowitę—bogacił się.

Na Muchowicza, któremu dawniej kłaniał się nizko i łaski jego sobie jednał, teraz patrzał z góry i traktował go pogardliwie... Zdarzało się nieraz, że mu kazał co przynieść, albo posługę jaką spełnić.

— A niedoczekanie twoje! — oburzył się ekonom.

— No, no, nie gadać dużo, tylko słuchać. Ja Muchowiczowi każę.

— On mnie każe! a żebyś ty...

— Proszę nie pokazywać mi swoje fantazye. Wielki pan! takich pięciu można za rubla dostać. Niech Muchowicz idzie i każe mojego konia zaraz zaprzęgać.

Muchowicz spluwał z oburzenia, klął, zżymał się, ale ostatecznie robił, co mu żyd kazał, bo się go bał. Ekonom nie był bez grzeszków; sam Joel go nauczył, w jaki sposób można mieć różne postronne dochody; nauczył go, wiedział o jego sprawkach i trzymał go w ręku. Mógł go bardzo łatwo miejsca pozbawić, a tego się Muchowicz bardzo lękał, wiedział bowiem, że innej posady łatwoby nie znalazł. Pan Jan tolerował go trochę z litości, trochę przez wzgląd na długoletnią służbę, ale kto inny nie przyjąłby go wcale. Tak więc trzymał się Muchowicz Stawisk, jak pijany płotu, i był posłusznem w ręku Joela narzędziem.

Zdemoralizowany to już zupełnie człowiek i złym wpływom podległy, robił źle, gdy mu Joel rozkazał, bo opierać się nie umiał i nie mógł. Gdy niekiedy wyrzutów sumienia doznawał, wówczas zalewał robaka, we flaszce pocieszenia szukał; zalewał głowę i ogłupiał się do reszty.

Człowiek, który ma za wiele obowiązków, a pragnie je spełnić; aby honoru nie splamić, człowiek, który męczy się i walczy o każdy dzień, każdą godzinę egzystencyi, zamienia się z czasem w automat. Poruszany tą sprężyną, która nazywa się miłością i poczuciem obowiązków, zatraca zupełnie świadomość o własnem istnieniu i staje się machiną, która pracuje, pracuje i pracuje bez końca. Ma on tylko żal, że zamiast dwóch rąk nie posiada sześciu, zamiast dwóch rąk nie posiada sześciu, zamiast jednej głowy trzech, że doba ma zaledwie dwadzieścia cztery godzin, zamiast siedmdziesięciu dwóch, że po nocy następuje dzień jeden, a nie trzy dni przynaj-

mniej. W głowie takiego człowieka poczucie własnego *ja* zatraca się zupełnie, ono nie istnieje dla niego; chory, nie leczy się, zmęczony, nie odpoczywa, cierpiący, nie narzeka. Dźwiga swój ciężar z rezygnacyą, z poddaniem się, z przekonaniem, że tak, a nie inaczej być musi.

Biedny Syzyf!! Dźwiga, dźwiga swój kamień, wnosi go no stromą górę, już, już dosięga celu, aliści kamień stacza się napowrót, pada i znowuż dźwigać go trzeba na nowo.

Jakie to szczęście, żeśmy nie Grecy. Gdyby nam przypadło w udziale, tak jak im, mitologię tworzyć, Olimp zupełnie inaczejby wyglądał. Nie byłby tak poetyczny, obfity w nadzwyczajności i cuda, ale smutny, szary, posępny. Dobrze. żeśmy nie Grecy!

Pan Jan automatem też został, machiną do robienia dochodów lichwiarzom, ekonomem i parobkiem swoich wichrzycieli. Z myślą o Manelesie wstawał, z myślą o nim zasypiał, a w przerywanym, niespokojnym śnie czuł go na swoich piersiach, jak zmorę. Dla niego orał i zbierał, szczęśliwy, jeżeli mu jakaś odrobina, jakaś mała resztka dla żony i dla dzieci została.

W tym czasie umarł ojciec pani Janowej, ten sam, który był małżeństwu przeciwny i młodej parze przepowiadał ciężkie życie. Człowiek ten w opinii sąsiadów za zamożnego uchodził, ale po śmierci co innego się pokazało. Z sukcesyą spadły i różne ciążące na niej kłopoty, i tak pan Jan zamiast jednego brzemienia, do dźwigania miał dwa...

Jednego dnia od doktora list przyszedł.

„Kochany panie Janie! — pisał stary przyjaciel: — i żonie mojej i mnie sprzykrzyła się Warszawa, odbieramy folwark od dzierżawcy, wracamy na wieś, ja zaciągam się na starość w wasze szeregi. Chcę odpocząć, będę rolnikiem, liczę na twoją, kochany przyjacielu, pomoc i dobrą radę. Zdaje mi się, że zadaniu podołam, zwłaszcza posiadając kapitalik, jaki sobie uzbierałem przez długie lata praktyki. Chciałbym bardzo, żebyś się otrząsnął trochę z przygnębienia, żebyś nabrał ducha. Pójdziemy ławą, nie my dwaj tylko, ale wszyscy razem, i, mam nadzieję, że lżej wam będzie. Za kilka dni przyjeżdżam, a za kilka tygodni moja pani. Więc do rychłego zobaczenia się!"

Przeczytawszy list, pan Jan wzruszył ramionami.

— I ten także—pomyślał sobie,—i ten! Potrzebny mu kłopot; ha! niech próbuje, skoro chce...

W kilka dni później doktór był już w Stawiskaah, serdecznie przez wszystkich witany. Po herbacie, udał się z gospodarzem do ogrodu na poufną gawędkę.

— Cóż myślisz o zamiarach moich?— zapytał.

— Nie rozumiem ich dobrze.

— Wytłómaczę ci je — ale naprzód zróbmy przegląd okolicy. Znam ją nieźle, lecz od czasu mego wyjazdu zaszły zapewne jakieś zmiany.

— O! niemałe...

— Któż mieszka w Szczygłowie, bo słyszałem, że podobno sprzedany?

— Dwudziestu kilku kolonistów Niemców.

— Więc sprzedany na cząstki?

— Na drobniutkie. Od kilku lat; już Niemcy zabudowali i zagospodarowali swoje fortuny.

— A pan Michał co robi? gdzie mieszka?

— Wyniósł się do Warszawy, kupił sobie dom i powiada, że ma jedwabne życie. Nie lęka się deszczu ani suszy, dobrze mu jest. Słomków także sprzedany; państwo Henrykowie siedzą na bruku, on stara się podobno o posadę, ale jej dostać nie może; przejadają powoli resztki, i, Bóg wie, co ich czeka w przyszłości.

— Więc stracili?

— Prawie wszystko. Folwark zlicytowano, kupił go szwagier Manelesa, Szmul Miodownik, i gospodaruje po swojemu. Dwór rozebrał i sprzedał chłopom po kawałku, sam mieszka w karczmie. Prowadzi gospodarstwo przemysłowe, wycina resztki lasu na sążnie, przehandlował inwentarz, narzędzia rolnicze, a grunta wydzierżawia włościanom na morgi. Po kilku latach niebo i ziemia tylko z tego folwarku zostanie.

— No, no! a w Woli?

— W Woli też nowy dziedzic, pan Fajnsilber, z pod Lublina podobno; nie znam go wcale, niedawno przybył. Słyszę, że ogromną gorzelnię zakłada i browar. Przynajmniej takie są wieści. W ogóle nowych sąsiadów sporo mamy, corok przy-

bywają, a nas, niedobitków, na palcach można policzyć.

Doktór zamyślił się, kiwnął głową kilkakrotnie, a pan Jan mówił dalej z pewną goryczą w głosie:

— Tak, tak, mój przyjacielu, powtarzam, nas niedobitków niewielu, bardzo niewielu, trzymamy się ostatniemi siłami woli i energii... Każdy broni swego mienia, swego kawałka ziemi, jak może i jak umie...

— Przecież są tacy, którym dobrze się wiedzie, choćby, naprzykład, cierpiący na medycynę pan Karol.

— Istotnie, temu się dobrze wiedzie; kapitały ma, dobrze mu jest, ale takich niewielu, to wyjątki, mój doktorze. Pisałeś w liście ostatnim, żebym nabrał otuchy, że gdy przyjedziesz i osiądziesz między nami, to zrobisz coś takiego, że nam wszystkim lżej będzie: że pójdziemy ławą, nie my dwaj tylko, ale wszyscy. Ciekawy jestem, jak się do tego weźmiesz? bardzo ciekawy... Może zechcesz wtajemniczyć mnie w swoje plany: jestem dyskretny, nie zdradzę sekretu.

Doktór nie odpowiedział. Tarł szerokie czoło, ściągał brwi gniewnie, nareszcie po chwili, rzekł z wahaniem:

— Na razie nie wiem jeszcze, ale rozpatrzę się, zobaczę, muszę sam dokładnie zbadać położenie.

— Owszem, badaj pan, badaj; ze swej strony wszelką pomoc przyrzekam.

— Stary Maneles miał słuszność — rzekł, jak gdyby sam do siebie doktór,—nie posiadamy tego, co on kitem nazywał, brak nam spójności.

Im dłużej mieszkał na wsi, im dłużej gospodarował, tem dowodniej przekonywał się o prawdzie tych słów i sam tego doświadczył, że w tej sferze właśnie, w nieuchronnej walce o byt tylko na własne siły liczyć można — a tych sił potrzeba dużo, bardzo dużo — i sił, i odporności, i wytrwania.

Rok za rokiem biegnął. Były lata lepsze i gorsze, i znów lepsze; dawały odetchnąć swobodniej nieco, lub też gniotły całem brzemieniem ciężarów, przychodziły chwile nadziei, a po nich chwile rozpaczy i zwątpienia, i znowuż promyczek jakiś oddalony błyskał, znów energię pobudzał, otuchą serca napełniał... Pan Jan posiwiał zupełnie, jego żona, taka niegdyś piękna kobieta, postarzała się, zgarbiła, pobladła, kaszel ją męczył.

Oboje niedomagać zaczęli.

Doktór, sąsiad najbliższy i przyjaciel, odzywał się często:

— Na Boga! nie żartujcie, leczcie się, bo źle będzie z wami... po przyjacielsku radzę i ostrzegam — trzeba zapobiegać, póki czas...

Wówczas pan Jan odpowiadał:

— Przypomnij-no sobie, doktorze, coś mówił temu dwadzieścia kilka lat... pamiętasz, coś mówił o kwiecie lipowym i rumianku?

— Pamiętam... ale i te cudowne lekarstwa, o których, gdybym umiał, poemata pisałbym — niedługo pomagać wam będą... Wszystko ma swoje granice...

— Poczekaj pan, zaczniemy się leczyć gruntownie, ale wpierw dzieci niech edukacyę skończą, niech wyjdą na ludzi...

I czekali też oboje... Starszy chłopiec na rolnika się kształcił, młodszy na politechnikę uczęszczał. Dziewczynka, ta, która ongi maleńka, motylki po trawie goniła, wyrosła na dorodną pannę; matce pomagała w pracy... Młodzi ludzie bywali w Stawiskach, panna Gracya pocieszała się myślą, że wesela pupilki swej doczeka... Wielkie było prawdopodobieństwo po te-

mu, bo dziewczyna po matce urodę wzięła i w całej okolicy równie pięknej panny nie było...

Pan Jan coraz bardziej zapadał na zdrowiu... czuł coraz większy brak sił, męczył się prędko, nie mógł już, jak dawniej, uwijać się przez cały dzień po polu i folwarku. Zamykał się coraz częściej w swoim pokoju, kładł się spać wcześniej niż zawsze, a pomimo tego, gdy ranek przyszedł, nie miał siły zerwać się z łóżka do pracy...

Zmianę w zdrowiu najpierwsza zauważyła żona, a przyzwawszy doktora do pomocy, usiłowała wymódz na mężu słowo, że leczyć się zacznie. Tłómaczył się, że nic mu nie dolega, wreszcie, po długich certacyach, zdecydował się na jakieś proszki i pożywniejszą dyetę...

Jednego dnia, gdy żona z córką i panną Gracyą pojechały do Gza, sąsiadów odwiedzić, pan Jan do pisania zasiadł. Zrobił szczegółowy wykaz wartości majątku swego, inwentarzy, zbiorów, a zarazem spis wszelkich ciężarów i długów, wypisał to porządnie, podsumował, sporządził w krótkości cały bilans Stawisk... później, na osobnym arkuszu, drżącą nieco ręką, ale wyra-

źnie, napisał długi list zatytułowany: „Do moich synów"...

Najpierw przedstawił im w krótkości stan interesów, potem polecił ich opiece matkę i siostrę, wreszcie kończył rzecz temi słowy...

„Moi synowie! kiedy te słowa do was dojdą, mnie już nie będzie na ziemi. Czuję, że kres życia się zbliża, że śmierć prędzej niż myślałem nadchodzi... Posłuchajcie zatem głosu z po za grobu i zastosujcie się do niego, o ile możliwem to będzie. Kochajcie się i idźcie ręka w rękę, a jeżeli znajdą się ludzie, przyjaźni i zaufania waszego godni, łączcie się z nimi, bo siła w jedności. Kochajcie się i pracujcie, o ile można wspólnie. Dla rolnika i dla przemysłowca w Stawiskach będzie pole do działania. Te Stawiska są w naszej rodzinie od lat dwustu z górą—pragnąłbym, ażeby i nadal w niej pozostały. Był to niegdyś obszar duży, lecz zmniejszał się stopniowo. Dziadek mój miał jeszcze sporo, ojciec mniej, ja jeszcze mniej wam pozostawiam. To wszakże zmniejszenie nie z naszej winy, lecz z innych okoliczności pochodzi... W Stawiska włożyłem dużo, bo pracę całego życia, utrzymajcież je, choćby jeszcze ko-

sztem zmniejszenia obszaru. Są obowiązki, których przypominać wam nie potrzebuję. Ubytek przestrzeni zastąpcie pracą i znajomością rzeczy. To będzie, najstarszy mój synu, od ciebie zależało. Być może, iż wam lżej będzie niżeli mnie, a mnie było bardzo ciężko... jednak nie żal mi tego, bo zostawiam was, dzieci moje... Jedynym celem mego życia było wychowanie was na dobrych..."

Przerwał...

Nie miał siły dłużej pisać, a przytem opanowało go dziwne wzruszenie...

— Dokończę jutro, lub pojutrze, pomyślał, włożył papiery do biurka i na klucz je zamknął.

Nazajutrz rano podniósł się i, jak zwykle, poszedł na folwark... potem wsiadł na konia i w pole się udał. Aczkolwiek droga była równa, zdawało mu się, że koń stąpa po bardzo spadzistej pochyłości, i że, jednocześnie, ziemia się przed nim usuwa...

Było to wrażenie szczególne, z którego pan Jan na razie nie mógł sobie zdać sprawy.

Zdawało mu się, że płaszczyzna, po której koń jego stąpa, jest to równia pochyła, nachylona pod bardzo ostrym kątem, spa-

dzista, że koń ten nie stąpa, lecz stacza się w przepaść, że ziemia usuwa się z pod nóg jego. Machinalnie, odruchem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, szarpnął za cugle i na tył konia się pochylił. Przerażone tym nagłym ruchem zwierzę, nie wiedząc, czego żądają od niego, osadziło się na tylnych nogach, wspięło dębem... i znów pan Jan, również machinalnie i bezwiednie, uderzył je. Koń szarpać się zaczął i rwać naprzód, ale pan Jan nie wiedział już gdzie jest i co się z nim dzieje. Zdawało mu się, że tonie w ciemnościach, że otwiera się przed nim przepaść niezgłębiona, bezdenna. W oczach miał ciemność, w całem ciele niemoc i bezwład.

Stoczył się z siodła jak kłoda, a koń w szalonych skokach popędził ku domowi. Wypadek ten dostrzegli ludzie, pracujący na polu, i na ratunek pośpieszyli natychmiast.

Biedny człowiek leżał na ziemi na wznak, nieprzytomny, żadnych oznak życia nie dawał.

Muchowicz włosy sobie z głowy rwał, przysięgał, że konia własną ręką zastrzeli.

Na rękach przyniesiono bezwładnego do domu, fornal co tchu w koniach do Gza, po doktora pojechał.

Gdy Ditto przybył, pan Jan był już zimny zupełnie, przestał cierpieć — złamał się pod ciężarem, który przez całe życie dźwigał — umarł.

— Umarł — powtarzał doktór, badając śmiertelne szczątki przyjaciela,—umarł nie dlatego, że z konia spadł, bo już nie żył, gdy spadał; umarł, bo wyczerpany organizm przestał funkcyonować. Właściwie, pękła żyła sercowa, skończyło się. Tam cierpiały nerwy, cierpiał cały organizm, psuło się wszystko powoli, potrosze, naprawić nie było kiedy, kres nadszedł prędzej, niż należało, niżby spodziewać się można.

Nie dziw. Ten człowiek dużo cierpiał, nieraz w jeden dzień więcej przebolał, niż inny w przeciągu roku... Od młodości, aż do kresu dni swoich, dźwigał brzemię nad siły, dźwigał, dźwigał, aż przerwał się, i upadł.

Biedny Syzyf...

Pochowano go obok matki, w podziemiach kapliczki, która całemu temu rodowi za grobowiec służy, przeszedł przez życie cicho, a jednak pożytecznie, uczciwie; oddał rodzinie co miał, inteligencyę swoją, pracę życia...

Więc też łzy rodziny trumnę jego zrosiły.

Sąsiedzi zjechali się, ksiądz przemówił nad grobem, pan Karol śmierć przedwczesną niehygienicznemu życiu przypisywał.

— Nie raz ostrzegałem go — mówił — ostrzegałem, żeby takich drobnostek do serca nie brał, żeby nie myślał... ale on dobrą radę lekceważył, nie słuchał. Myślał ciągle—no, i umarł. Dziwak! nie chciał rozumieć, że człowiekowi w kłopotach myślenie szkodzi... sam sobie winien.

Doktór nie oponował. Był tak zmartwiony stratą przyjaciela, że miejsca sobie jak to mówią, znaleźć nie mógł; pocieszał wdowę i córkę, napisał listy do synów, żeby przyjeżdżali jak najprędzej.

Przyjechali.

Najstarszy gospodarstwo objął, młodszy postanowił, przy pomocy doktora, jakąś niewielką fabrykę założyć. Może we dwóch podźwignąą ten kamień, pod którego ciężarem ojciec ich się złamał.

Może im lepiej będzie.

Daj Boże!

Oni w to wierzą — i z ufnością, którą młodość daje, do pracy się biorą.

Daj Boże!

. . . . . .

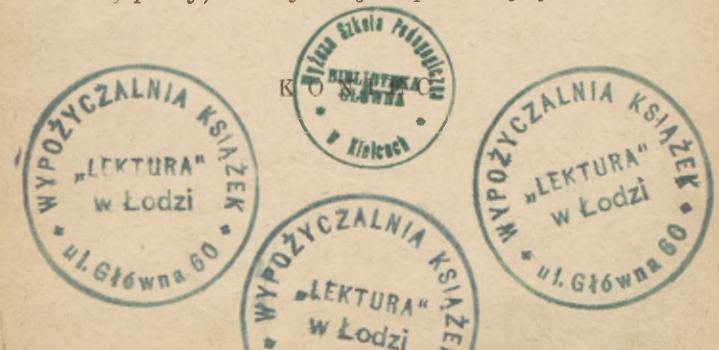
Czytelnik mniema zapewne, że powieść

czytał. Ja temu przeczę, — to nie powieść.

To tylko jedna kartka, wydarta z powszedniej, szarej księgi życia.

Szara i smutna, jak życie. Patrzymy na tę księgę codzień, boć i sami zapisujemy jej stronnice, jak kto może: ten dziesięć wierszy, ów sto. Patrzymy, bo jest ona przed nami nieustannie otwarta. Kto tylko okiem ją widzi, ten przechodzi obojętnie, jak obok powszedniego przedmiotu, kamienia lub drzewa przy drodze, kto sercem w nią wejrzy, więcej spostrzeże... i westchnie, i łzy mu się w oczach zakręcą...

Nie sam tylko Syzyf dźwiga ciężkie głazy życia; ma on liczne rodzeństwo. Znajdziecie je i w pałacach, i w chatach, i w kurtach, i w siermięgach, i na roli przy pługu, i przy warsztacie wśród miasta, i z maską na twarzy i z piórem w dłoni, i w świecie sztuki, i w świecie wiedzy, i w świecie ręcznej pracy,—wszędzie jest pełno Syzyfów.



×KSIĘGARNIA×
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI DOM
400
061966 F

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
191437

Biblioteka WSP Kielce
0054764